

**JULIA QUINN**

# **GWIAZDKA Z NIEBA**

*Lyssie Keusch, najwspanialszej redaktorce i opiekunce soczystych, malachitowych i majowych zieleni*

*I Paulowi, chociaż chciał zatytułować drugą część „Ciastka z nieba”*

*Anglia, hrabstwo Kent Czerwiec 1809 rok*

Emocje nigdy nie ponosiły Roberta Kemble, hrabiego Macciesfield, ale gdy nad jeziorem ujrzał tę dziewczynę, natychmiast się zakochał.

Nie z powodu urody. Oczywiście podobały mu się jej czarne włosy i zadarty nosek, ale na balach w Londynie widywał znacznie piękniejsze kobiety.

Nie z powodu inteligencji. Nie miał powodu uważać jej za głupią, ale ponieważ nie zamienił z nią ani słowa, nie mógł ocenić jej intelektu.

Z pewnością nie z powodu wdzięku. Ujrzał ją w momencie, gdy poślizgnęła się na mokrym kamieniu i zamachała rękami. Z głośnym plaśnięciem upadła na drugi kamień, a potem wstała i masując obolałe siedzenie, głośno krzyknęła: - A niech to!

Nie wiedział dokładnie, w czym rzecz. Czuł jednak, że ma przed sobą prawdziwy ideał.

Ruszył do przodu, ale nadal pozostawał pod ukryciem drzew. Dziewczyna właśnie przechodziła z jednego kamienia na drugi i każdy głupi domyśliłby się, że zaraz się poślizgnie, bo kamień pokrywał wilgotny mech i...

Chlup.

- O retyyyy!

Robert mimowolnie uśmiechnął się na widok zrezygnowanej dziewczyny brodzącej w wodzie do brzegu. Zamoczyła rąbek sukni i na pewno zniszczyła pantofle.

Gdy podszedł bliżej, zauważył pantofle leżące na słońcu, gdzie zapewne je zostawiła, zanim weszła na kamienie. Sprytna jest, pomyślał z uznaniem.

Dziewczyna usiadła na brzegu i zajęła się wyżymaniem sukni, odsłaniając przed Robertem wspaniały widok na nagie łydki. Zastanawiał się, gdzie podziła pończochy.

Nagle, jakby wiedziona szóstym zmysłem dostępnym tylko kobietom, gwałtownie podniosła głowę i rozejrzała się dokoła.

- Robert! - zawołała. - Robert! Wiem, że to ty!

Oślupiał. Był pewien, że nigdy wcześniej jej nie widział, że nigdy nie zostali sobie przedstawieni, a jeśli nawet, to nie zwracałaby się do niego po imieniu.

- Robert - mówiła dobitnie w jego stronę. - Masz natychmiast wyjść.

Zrobił kilka kroków do przodu.

- Do usług, moja pani - powiedział, kłaniając się w pas.

Dziewczyna ze zdziwienia otworzyła usta. Zamrugnęła oczami i zerwała się na równe nogi. Nagle zdała sobie sprawę, że nadal trzyma w dłoniach skraj sukni, odsłaniając kolana przed całym światem. Puściła materiał.

- Kim pan jest, do diabła?

Posłał jej najlepszy ze swych przekornych uśmiechów.

- Jestem Robert.

- Nieprawda, nie jest pan Robertem - odkrzyknęła.

- Muszę się z panią nie zgodzić - powiedział, nie kryjąc rozbawienia.

- No, nie jest pan moim Robertem. Ogarnęła go nieoczekiwana fala zazdrości.

- A kim jest twój Robert?

- On jest... On... A co panu do tego?

Robert uniósł głowę, udając, że starannie rozważa to pytanie.

- Można powiedzieć, że skoro to jest moja ziemia, a pani zmoczyła suknię w wodzie z mojego jeziora, to mam coś do tego.

Zbladła.

- O Boże, chyba nie jest pan jego lordowską mością.

Uśmiechnął się szeroko.

- Owszem, jestem.

- Ale jego lordowską mość jest stary! - Była zmieszana i zdezorientowana.

- Ach, rozumiem. Jestem synem starego lorda. A ty...

- A ja mam spory kłopot - jęknęła.

Wziął ją za rękę, chociaż jej nie wyciągnęła, i złożył ukłon.

- Wielki to dla mnie zaszczyt poznać panią, panno Mam Kłopot.

Uśmiechnęła się.

- Właściwie nazywam się panna Mam Spory Kłopot, jeśli pan tak łaskaw.

Jeżeli miał jakieś wątpliwości co do tego, że stojąca przed nim kobieta jest ideałem, to rozwiały się pod wpływem jej uśmiechu i poczucia humoru.

- Naturalnie, panno Mam Spory Kłopot. Nie powinienem być tak nieuprzejmy i skracać pani nazwiska. - Pociągnął ją za rękę w stronę brzegu. - Usiądźmy na chwilę.

Zawahęła się.

- Moja matka, święć, Panie, nad jej duszą, umarła trzy lata temu, ale przypuszczam, że odradzałyby mi ten pomysł. Pan wygląda na uwodziciela.

Zaintrygowała go.

- A pani zna uwodzicieli?

- Oczywiście nie znam żadnego. Ale gdybym znała, to na pewno wyglądałby tak jak pan.

- A to dlaczego? Zrobiła chytrą minkę.

- Czyżbyś, mój panie, domagał się komplementów?

- Jak najbardziej. - Uśmiechnął się, usiadł i poklepał miejsce obok siebie. - Nie ma się czego obawiać. Moja reputacja nie przedstawia się w aż tak czarnych barwach.

Raczej w odcieniach szarości.

Znów się zaśmiała, a Robert pod jej wpływem poczuł się jak władca świata.

- Tak naprawdę nazywam się panna Lyndon - powiedziała, siadając obok niego.

Pochylił się do tyłu i podparł na łokciach.

- Panna Lyndon Mam Spory Kłopot, jak mniemam.

- Na pewno mój ojciec tak uważa - odpowiedziała wesoło. Nagle spoważniała. - Muszę już iść. Gdyby tato zobaczył mnie tu z panem...

- Bzdura. - Robert nagle gorąco zapragnął zatrzymać ją przy sobie. - Nikogo tu nie ma. Usiadła z powrotem, ale nadal była trochę niepewna.

- Naprawdę nazywa się pan Robert? - zapytała po długiej przerwie.

- Naprawdę.

- Przypuszczam, że syn markiza ma wiele imion.

- Niestety. Westchnęła pocieszenie.

- O, ja biedulka! Mam tylko dwa.

- Jakie?

Odwróciła się w jego stronę i posłała wyraźnie zalotne spojrzenie. Poczuł się wniebowzięty.

- Victoria Mary - odpowiedziała. - A pan? Jeśli wolno spytać.

- Wolno. Robert Phillip Arthur Kemble.

- I jeszcze tytuł - przypomniała.

Pochylił się do niej i szepnął:

- Nie chciałem pani przestraszyć.

- O, taka bojaźliwa to ja nie jestem.

- Dobrze. Lord Macclesfield. Ale to tylko tytuł formalny.

- No tak - powiedziała Victoria. - Prawdziwy tytuł otrzyma pan dopiero po śmierci ojca. Arystokraci to dziwacy.

Uniósł brwi.

- W niektórych częściach kraju za takie słowa mogliby panią aresztować.

- Ale nie tutaj - odrzekła z chytrym uśmieszkiem. - Nie na pańskiej ziemi, nie nad pańskim jeziorem.

- Tak - przyznał, spoglądając w błękit jej oczu, który wydawał mu się niebem. - Na pewno nie tutaj.

Victoria nie wiedziała, jak zareagować na wyraźne pożądanie bijące z jego oczu. Odwróciła głowę. Upłynęła cała minuta, zanim Robert znów się odezwał.

- Lyndon... Hm... - Uniósł głowę w zamyśleniu. - Skąd ja znam to nazwisko?

- Mój tato został nowym pastorem w Bellfield - odparła Victoria. - Być może wspominał o nim pański ojciec.

Ojciec Roberta, markiz Castleford, miał obsesję na punkcie swojego tytułu i swoich włości, dlatego często prawił synowi kazania o wielkim znaczeniu jednego i drugiego. Robert nie wątpił, że ojciec wspominał o przybyciu nowego pastora w jednej z codziennych oracji. Nie wątpił również, że wcale go nie słuchał.

Pochylił się do Victorii i zagadnął z zainteresowaniem:

- A podoba się pani w Bellfield?

- O, tak. Przedtem mieszkaliśmy w Leeds. Tęsknię za przyjaciółmi, ale ta okolica jest piękniejsza.

- Proszę mi powiedzieć... - Zawahał się. - Kim jest ten tajemniczy Robert?

Uniosła głowę.

- Naprawdę to pana ciekawi?

- Naprawdę. - Ujął jej drobną dłoń. - Powinienem wiedzieć, jak się nazywa, bo wygląda na to, że będę musiał porachować mu kości, jeżeli jeszcze raz spróbuje spotkać się z panią sam na sam w lesie.

- Proszę przestać. - Roześmiała się. - Niech pan nie żartuje.

Robert uniósł dłoń dziewczyny do ust i złożył gorący pocałunek po wewnętrznej stronie nadgarstka.

- Jestem śmiertelnie poważny.

Victoria spróbowała cofnąć rękę, ale zrobiła to bez przekonania. W spojrzeniu młodego lorda było coś dziwnego, jego oczy błyszczały z taką siłą, że jednocześnie bała się i była podekscytowana.

- To Robert Beechcombe.

- Czy ma wobec ciebie jakieś plany?

- Robert Beechcombe to ośmioletni chłopiec. Mieliśmy razem iść na ryby, ale chyba zrezygnował. Wspominał coś, że być może będzie musiał pomóc mamie.

- Cóż za cudowna ulga, panno Lyndon. - Robert nagle się roześmiał. - Jestem strasznie zazdrosny. A to bardzo nieładne uczucie.

- Nie wiem... Nie wiem, czemu miałby pan być zazdrosny - wyjąkała Victoria. - Pan mi się nie oświadczył.

- Ale zamierzam.

- A ja niczego panu nie obiecywałam - powiedziała nagle stanowczym tonem.

- Trzeba będzie tę sytuację naprawić - odparł z westchnieniem. Jeszcze raz uniósł jej rękę i tym razem pocałował w dłoń. - Ja na przykład chciałbym, aby mi pani obiecała, że nigdy nawet nie spojrzysz na innego mężczyznę.

- Nie wiem, o czym pan mówi - powiedziała wyraźnie zakłopotana.

- Z nikim nie chcę się panią dzielić.

- Ależ panie! Dopiero co się poznaliśmy!

Odwrócił się do niej, w jego oczach na miejscu wesołości pojawiło się dziwne ożywienie.

- Wiem. Rozum mi mówi, że ujrzałem panią zaledwie dziesięć minut temu, ale serce zna panią całe życie. A dusza jeszcze dłużej.

- Ja... Nie wiem, co powiedzieć.

- Proszę nic nie mówić. Proszę usiąść koło mnie i cieszyć się słońcem.

Siedzieli na trawiastym brzegu, spoglądali na chmury, na wodę i na siebie nawzajem. Milczeli przez kilka minut, aż w pewnym momencie Robert wypatrzył coś w oddali i gwałtownie zerwał się na równe nogi.

- Nie ruszaj się - polecił. Żartobliwy uśmieszek ujmował surowości jego głosu. - Ani na krok.

- Ale...

- Ani na krok! - zawołał za siebie, biegnąc ku leśnej ścieżce.

- Robert! - zaprotestowała Victoria, zupełnie zapominając, jak powinna zwracać się do nowego znajomego.

- Zaraz wracam!

Wyciągnęła szyję i próbowała wypatrzeć, co robi. Wbiegł między drzewa i widziała tylko, że się pochyla. Spojrzała na dłoń. Niemal zaskoczyło ją, że jego pocałunek nie pozostawił czerwonego śladu jak po oparzeniu.

Czuła, że ten pocałunek przeniknął jej całe ciało.

- Proszę bardzo. - Robert wyłonił się z lasu i złożył ceremonialny ukłon. W prawej ręce trzymał bukiet dzikich fiołków. - To dla mojej damy.

- Dziękuję - wyszeptała Victoria, czując łzy napływające do oczu. Była niewiarygodnie wzruszona i miała wrażenie, że ten mężczyzna posiada dość sił, aby poprowadzić ją przez świat - nawet przez wszechświat.

Wręczył jej kwiatki, jednego zatrzymując w dłoni.

- Właśnie dlatego ich nazrywałem - szepnął, wsuwając jej ostatni kwiatek za ucho. - O tak, teraz wyglądasz idealnie. Victoria patrzyła na bukiet, który trzymała w dłoni.

- Jeszcze nigdy nie widziałam czegoś tak pięknego. Robert spojrzął na nią.

- Ani ja.

- Bosko pachną. - Pochyliła głowę i pociągnęła nosem. - Uwielbiam zapach kwiatów. W domu, tuż pod moim oknem, rośnie wiciokrzew.

- Naprawdę? - spytał z roztargnieniem i chciał dotknąć jej twarzy, ale w porę się powstrzymał. Była taka niewinna, że w żaden sposób nie chciał jej urazić.

- Dziękuję - powiedziała, podnosząc wzrok. Robert gwałtownie wstał.

- Proszę się nie ruszać! Ani na krok.

- Znowu? - zawołała, a na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. - Dokąd pan idzie?

Uśmiechnął się.

- Poszukać portrecisty.

- Kogo?

- Chcę uwiecznić ten moment na zawsze.

- O, pan to... - powiedziała Victoria. Gdy wstawała, nie mogła powstrzymać śmiechu.

- Robert - poprawił ją.

- Robert. - Był to bardzo nieformalny zwrot, ale bez trudu przeszedł jej przez gardło. - Jesteś taki zabawny. Nawet nie pamiętam, kiedy ostatnio tak się uśmieiałam.

Pochylił się i znów pocałował jej dłoń.

- O rety - zawołała, spoglądając na niebo. - Późno już. Jeśli tato zacznie mnie szukać i znajdzie mnie sam na sam z tobą...

- Najwyżej zmusi nas do małżeństwa - przerwał jej z rozmarzonym uśmiechem.

Uniosła oczy.

- Prędzej wyśle cię za granicę.

Pochylił się i delikatnym pocałunkiem musnął jej usta.

- Ciii. Ożenię się z tobą. Już postanowiłem. Rozchyliła wargi ze zdziwienia.

- Chyba oszalałeś.

Cofnął się i spojrzął na nią z miną wyrażającą coś pomiędzy zdumieniem i rozbawieniem.

- Prawdę mówiąc, Victorio, chyba jeszcze nigdy nie byłem rozsądniejszy niż w tej chwili.

Victoria pchnęła drzwi domku, w którym mieszkała z ojcem i młodszą siostrą.

- Tato! - zawołała. - Przepraszam, że tak późno. Zwiedzałam okolicę. Jeszcze tak wielu miejsc nie widziałam.

Wsunęła głowę do gabinetu ojca. Siedział za biurkiem i ciężko pracował nad nowym kazaniem. Machnął ręką, dając do zrozumienia, że nic się nie stało i nie powinna mu przeszkadzać. Po cichu się wycofała.

Poszła do kuchni zająć się przygotowywaniem posiłku. Gotowała kolację na zmianę z siostrą, a tego dnia przypadała jej kolej. Posmakowała potrawki wołowej, którą wcześniej wstawiła do piecyka, dosoliła, a potem usiadła na krześle.

On chce się z nią ożenić.

To na pewno sen. Robert jest lordem. Lordem!!! A kiedyś zostanie markizem. Mężczyźni z takimi tytułami nie żenią się z córkami pastorów.

Ale przecież ją pocałował. Dotknęła ust i wcale się nie zdziwiła, że drżą jej ręce. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że ten pocałunek był dla niego równie ważny jak dla niej. Mimo wszystko Robert był kilka lat starszy. I na pewno całował się już z wieloma kobietami.

Rysując palcem kółka i serca na stole, z rozmarzeniem odtwarzała w myślach całe popołudnie. Robert. Robert. Bezgłośnie wymówiła jego imię, a potem napisała je palcem na stole. Robert Phillip Arthur Kemble. Po kolei wymieniła wszystkie imiona.

Był niesłychanie przystojny. Miał pofalowane czarne włosy, zgodnie z modą nieco za długie. I te oczy. Po brunecie można by się spodziewać czarnych oczu, ale jego były błękitne. Jasnobłękitne, lecz nie lodowate, bo jego usposobienie dodawało im ciepła.

- Victoria, co ty robisz?

Podniosła wzrok i ujrzała w drzwiach siostrę.

- O, cześć, Ellie.

Eleanora, młodszą dokładnie o trzy lata, przemierzyła kuchnię i uniosła dłoń Victorii.

- Chcesz, żeby ci weszła drzazga?

Potem puściła rękę siostry i usiadła po drugiej stronie stołu.

Victoria patrzyła na Ellie, ale widziała Roberta. Pięknie wykrojone usta, zawsze skore do uśmiechu, ledwie widoczny cień zarostu na policzkach. Zastanawiała się, czy musi golić się dwa razy dziennie.

- Victoria!

Spojrzała nieprzytomnym wzrokiem.



- Mówiłaś coś?

- Pytałam cię... I to już drugi raz... Czy chcesz jutro zanieść ze mną jedzenie do pani Gordon? Póki jest chora, tato postanowił dzielić się z nią swoją dziesięciną.

Victoria skinęła głową. Jako proboszcz ojciec otrzymywał jedną dziesiątą dochodów okolicznych farm. Większość tej sumy szła na utrzymanie wiejskiego kościołka, ale mimo to w rodzinie Lyndonów nigdy nie brakowało jedzenia.

- Tak, tak - powiedziała. - Oczywiście, że z tobą pójde. Ach, Robert. Westchnęła. Tak wspaniale się śmieje.

- ... olić?

Victoria podniosła głowę.

- Przepraszam. Mówiłaś coś do mnie?

- Mówiłam - powiedziała Ellie, a w jej głosie było słycać zniecierpliwienie. - Mówiłam, że próbowałam potrawy i była mało słona. Czy mam ją dosolić?

- Nie, nie. Przed chwilą doprawiłam.

- Victoria, co się z tobą dzieje?

- O co ci chodzi?

Ellie westchnęła rozdrażniona.

- Nie słuchasz, co do ciebie mówię. Próbuję z tobą rozmawiać, ale ty tylko patrzysz w okno i wzdychasz.

Victoria pochyliła się do przodu.

- Umiesz dotrzymać tajemnicy? Ellie również się pochyliła.

- Przecież wiesz.

- Chyba się zakochałam.

- Ani trochę ci nie wierzę. Victoria otworzyła ze zdziwienia usta.

- To ja ci mówię, że właśnie przeżyłam najważniejszą przemianę w życiu kobiety, a ty mi nie wierzysz?

- A niby w kim z Bellfield mogłabyś się zakochać, co? - zapytała z drwiną Ellie.

- Umiesz dochować tajemnicy?

- Już mówiłam, że umiem.

- W lordzie Macclesfield.

- W synu markiza? - prawie krzyknęła Ellie. - Przecież to hrabia.

- Cicho! - Victoria spojrzała przez ramię, czy nie zwróciły na siebie uwagi ojca. - Doskonale wiem, że jest hrabią.

- Przecież nawet go nie znasz. Gdy markiz przyjmował nas w Casteleford, jego syn

był w Londynie.

- Dzisiaj go poznałam.

- I zakochałaś się? Victoria, tylko głupcy i poeci zakochują się od pierwszego wejrzenia.

- No to chyba jestem głupia - powiedziała hardo. - Bo Bóg mi świadkiem, że nie jestem poetką.

- Zwariowałaś, siostrzyczko. Doszczętnie zwariowałaś.

Victoria zadarła głowę i wyniośle spojrzała na siostrę.

- Prawdę mówiąc, Eleanor, chyba jeszcze nigdy nie byłam rozsądniejsza niż w tej chwili.

Tego wieczoru Victoria przez kilka godzin nie mogła usnąć, a gdy w końcu zmorzył ją sen, śniła o Robercie.

Całował ją. Najpierw delikatnie w usta, a potem przesuwając wargi po policzku. Szeptając jej imię.

- Victoria... Victoria... Nagle się obudziła.

- Victoria...

Czy to jeszcze sen?

- Victoria...

Wyszła spod kołdry i wyjrzała przez okno nad łóżkiem. Za oknem stał on.

- Robert?

Uśmiechnął się i pocałował ją w nosek.

- We własnej osobie. Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że mieszkasz na parterze.

- Co ty tu robisz?

- Szaleję z miłości.

- Robert! - Starła się zachować powagę, ale udzielił jej się jego dobry humor. - Co tak naprawdę tu robisz?

Złożył wytworny ukłon.

- Przybyłem w zaloty, panno Lyndon.

- W środku nocy?

- Doskonały moment.

- A gdybyś wybrał złe okno? Popsułybyś mi opinię.

Przechylił się przez parapet.

- Mówiłaś o wiciokrzewie. Wąchałem dokoła, aż wy - wahałem twój pokój. - Demonstracyjnie wciągnął powietrze nosem. - Mam bardzo wyostrzony zmysł węchu.

- Jesteś niepoprawny.

- Tak. - Skinął głową. - Albo po prostu zakochany.

- Nie możesz mnie kochać, Robercie. - Mówiąc te słowa, w głębi duszy błagała, żeby zaprzeczył.

- Nie mogę? - Sięgnął przez okno i wziął ją za rękę. - Torie, chodź ze mną.

- Nikt mnie nie nazywa Torie - odparła, próbując zmienić temat.

- A ja będę - szepnął. Dotknął jej podbródka i przyciągnął do siebie. - Chcę cię pocałować.

Roztrzęsiona Victoria skinęła głową. Nie potrafiła odmówić sobie pocałunku, o którym marzyła przez cały wieczór.

Musnął ją ustami jak delikatnym piórkiem. Drgnęła pod wpływem mrowienia, które poczuła na plecach.

- Zimno ci? - szepnął, całując jej usta.

Bez słowa pokręciła głową.

Cofnął głowę i objął dłońmi jej twarz.

- Jesteś taka piękna. - Wziął w palce kosmyk włosów Victorii i rozkoszował się ich jedwabistością. Po chwili znów zbliżył usta do jej warg, aby przyzwyczaiła się do jego bliskości, zanim posunie się dalej. Czuł, że dziewczyna drży, ale nie zamierzał się wycofać. Wiedział, że ta chwila ekscytuje ją tak samo jak jego.

Przeniósł dłoń za głowę Victorii, wsunął palce w gęste włosy i przesunął językiem wokół jej warg. Smakowała cytrynę i miętę. Powstrzymywał się, żeby nie wyciągnąć jej przez okno i nie kochać się z nią tu i teraz na miękkiej trawie. Przez całe swoje dorosłe życie nigdy nie odczuwał tego rodzaju pragnienia. Owszem, to było pożądanie, ale uzupełnione zadziwiająco silną falą czułości.

W końcu cofnął głowę, zdając sobie sprawę, że pragnie o wiele więcej, niż może tej nocy prosić.

- Chodź ze mną - wyszeptał.

Uniosła dłoń do ust.

Znów wziął ją za rękę i pociągnął do okna.

- Robercie, jest środek nocy.

- To najlepsza chwila do spotkania sam na sam.

- Ale... Ale ja jestem w nocnej koszuli! - Spojrzała na siebie, jakby dopiero w tej chwili zdała sobie sprawę z niestosowności swojego stroju. Spróbowała okryć się kołdrą.

Robert robił, co mógł, żeby zachować powagę.

- Załóż płaszcz - polecił łagodnym tonem. - I pośpiesz się. Mamy tej nocy wiele do zobaczenia.

Victoria wahała się nie dłużej niż sekundę. Postępowała niewłaściwie, ale wiedziała, że jeżeli teraz zamknie okno, przez resztę życia będzie się zastanawiać, co by mogło się wydarzyć tej księżycowej nocy.

Zeszła z łóżka i wyciągnęła z szafy długi ciemny płaszcz. Był zdecydowanie za gruby na ciepłą pogodę, ale przecież nie mogła włożyć się po polach w nocnej koszuli. Zapięła płaszcz, wspięła się na łóżko i z pomocą Roberta wyszła przez okno.

Powietrze było orzeźwiające i przepelnione wonią wiciokrzewu, ale nie miała czasu delektować się zapachami, bo Robert pociągnął ją za rękę i zaczęli biec. Ogarnęła ją euforia, gdy mknęli przez łąki do lasu. Jeszcze nigdy nie czuła się tak wolna i pełna ochoty do życia. Chciała wykrzyczeć drzewom swą radość, ale pamiętała o otwartym oknie w sypialni ojca.

Po kilku minutach dotarli do niewielkiej polanki. Robert zatrzymał się nagle i Victoria na niego wpadła. Przytrzymał ją mocno, przylegając do niej całym ciałem.

- Torie - powiedział. - O, Torie.

Raz jeszcze ją pocałował. Pocałował tak, jakby była jedyną kobietą na świecie, jakby po ziemi nie stąpała żadna inna.

Gdy wreszcie oderwali się od siebie, w ciemnych oczach dziewczyny pojawił się niepokój.

- To się dzieje tak szybko. Chyba tego nie rozumiem.

- Ja też tego nie rozumiem - powiedział Robert z westchnieniem szczęścia. - Ale nie będę się sprzeciwiał. - Usiadł na ziemi i pociągnął za sobą Victorię. Potem położył się na plecach.

Victoria przykucnęła i spoglądała na niego z wahaniem. Wskazał jej miejsce obok siebie.

- Połóż się i popatrz w niebo. Jest cudowne.

Spojrzała na jego przepelnioną szczęściem twarz i położyła się na ziemi. Z jej miejsca niebo wydawało się bezkresne.

- Czyż gwiazdy nie są najbardziej zdumiewającą rzeczą, jaką może zobaczyć człowiek? - zapytał Robert.

Victoria skinęła głową i przysunęła się bliżej, nie mogła oprzeć się bijącemu od niego ciepłu.

- One wszystkie świecą dla ciebie. Jestem pewien, że Bóg usiał je na niebie, żebyś ty co wieczór mogła na nie patrzeć.

- Robert, jesteś taki romantyczny.

Przekręcił się na bok, podparł łokciem, a wolną ręką odgarnął kosmyk z jej twarzy.

- Aż do dzisiaj nigdy nie byłem romantyczny - powiedział poważnym głosem. - I nigdy taki nie chciałem być. Ale teraz... - Przerwał, jakby szukał słów, które dokładnie przekażą jego uczucia. - Nie umiem tego wyjaśnić. Po prostu wydaje mi się, że tobie mogę powiedzieć wszystko.

- Oczywiście, że możesz. - Uśmiechnęła się.

- Nie. Tu chodzi o coś więcej. Cokolwiek powiem, nie wydaje się dziwne. Nawet wobec najbliższych przyjaciół nie mogę być w pełni otwarty. Na przykład... - Nagłym ruchem poderwał się na nogi. - Nie sądzisz, że to dziwne, że ludzie potrafią utrzymać równowagę, stojąc na stopach?

Victoria śmiała się tak, że nie mogła się podnieść.

- Przemyśl to - mówił, przenosząc ciężar ciała z pięt na palce. - Popatrz na swoje stopy. W porównaniu z resztą ciała są bardzo małe. Właściwie człowiek powinien przewracać się przy każdej próbie ustania.

Tym razem zdołała usiąść. Spojrzała na swoje stopy.

- Chyba masz rację. To dosyć dziwne.

- Nigdy dotąd z nikim o tym nie rozmawiałem - powiedział. - Myślę o tym przez całe życie, ale aż do dzisiaj nikomu o tym nie mówiłem. Pewnie bałem się, że ludzie wezmą mnie za głupca.

- Ja nie uważam, żebyś był głupi.

- Wiem. - Przyklęknął przy niej i dotknął jej policzka. - Wiem, że tak nie uważasz.

- Moim zdaniem jesteś inteligentny, bo w ogóle zastanawiasz nad taką sprawą.

- Oj, Torie, Torie. Nie wiem, jak to wyrazić, i zupełnie tego nie rozumiem, ale kocham cię.

Odwróciła głowę, żeby spojrzeć mu w oczy.

- Wiem, że cię kocham - powiedział dobitniej. - Nigdy wcześniej czegoś takiego nie doznałem. I niech będę przeklęty, jeżeli pozwolę, aby kierowała mną rozważa.

- Robert - wyszeptwała. - Ja ciebie chyba też kocham.

Poczuł, że brakuje mu tchu i ogarnia go tak silna fala szczęścia, że nie mógł spokojnie usiedzieć. Wstał z miejsca.

- Powiedz to jeszcze raz.

- Kocham cię. - Ogarnęło ją uniesienie, dała się ponieść czarowi chwili.

- Jeszcze raz.

- Kocham cię! - Słowa mieszały się ze śmiechem.
  - O, Torie, Torie. Obiecuję, że cię uszczęśliwię. Dam ci wszystko, co zechcesz.
  - Poproszę gwiazdkę z nieba! - zawołała, wierząc, że cuda naprawdę się zdarzają.
  - Dam ci wszystko, co zechcesz. I do tego jeszcze gwiazdkę z nieba - obiecał solennie.
- A potem ją pocałował.

Minęły dwa miesiące. Robert i Victoria spotykali się przy każdej okazji, wspólnie poznawali okolicę, a gdy tylko się dało, poznawali także siebie nawzajem.

Robert opowiadał o swojej fascynacji nauką, słabości do wyścigów konnych i obawach, że nigdy nie stanie się taki, jak wyobraża sobie ojciec.

Victoria opowiadała, że czytuje romanse, że potrafi szyć tak prosto jak pod linijkę i że się boi, że nigdy nie sprosta surowym wymaganiom moralnym stawianym przez ojca.

Ona uwielbiała ciastka.

On nienawidził grochu.

On przy siadaniu miał brzydki nawyk kładzenia nóg na stół, na łóżko, obojętnie gdzie, byle wysoko.

Ona zawsze przykładła ręce do ust, gdy była zdenerwowana, i mimo starań nigdy nie umiała zrobić dostatecznie surowej miny.

On uwielbiał, jak Victoria marszczy usta, gdy się czymś niepokoi. Lubił ją za to, że zawsze ma na uwadze cudze potrzeby, a także za to, że umie sprytnie mu dokuczyć, gdy za bardzo zadziera nosa.

Ona uwielbiała, jak on zaczesuje ręką włosy do góry, gdy jest rozdrażniony. Lubiła, gdy zatrzymuje się nagle, żeby podziwiać dzikie kwiaty, i gdy czasami próbuje się wywyższać ponad nią tylko po to, żeby sprawdzić, czy ją zirytuje.

Wspólne mieli wszystko, a jednocześnie nie mieli wspólnego nic.

Poznawali nawzajem swoje dusze, zwierzali się z tajemnic i myśli, których nigdy wcześniej nie umieli wyrazić.

- Ciągłe wypatruję swojej mamy - powiedziała kiedyś Victoria.

Robert spojrział zdziwiony.

- Co takiego?

- Jak umarła, miałam czternaście lat. A ty ile miałeś, jak umarła twoja?

- Siedem. Umarła przy porodzie.

Twarz Victorii stała się jeszcze łagodniejsza niż zwykle.

- Tak mi przykro. Prawie wcale jej nie poznałeś. I do tego straciłeś braciszka albo siostrzyczkę.

- Siostrę. Mama jeszcze zdążyła jej nadać imię: Anne.

- Tak mi przykro.

Uśmiechnął się w zadumie.

- Pamiętam, jak mnie przytulała. Ojciec zawsze mówił, że mnie rozpieszcza, ale ona nie słuchała.

- Lekarz stwierdził, że moja mama chorowała na raka. - Victoria czuła ściskanie w gardle. - Wiele wycierpiała przed śmiercią. Mam nadzieję, że znalazła spokoju tam na górze. - Wskazała ręką niebo. - Tam, gdzie nie ma już cierpień.

Poruszony do głębi Robert wziął ją za rękę.

- Czasami bardzo jej potrzebuję - mówiła. - Ciekawe, czy człowiek kiedykolwiek przestaje potrzebować rodziców. Rozmawiam więc z nią i rozglądam się za nią.

- Jak to?

- Myślisz, że zwariowałam.

- Wiesz, że to nieprawda.

Zapadła cisza, a po chwili Victoria powiedziała:

- No... Mówię takie rzeczy, jak: „Jeżeli mama mnie słyszy, to niech wiatr zaszeleści liśćmi na drzewie”. Albo: „Mamo, jeśli na mnie patrzysz, to spraw, żeby słońce zaszło za chmurę, i wtedy będę wiedzieć, że jesteś ze mną”.

- Ona jest z tobą - szepnął Robert. - Ja to czuję.

Victoria przytuliła się do jego ramienia.

- Nigdy nikomu o tym nie mówiłam. Nawet Ellie. Chociaż wiem, że tęskni za mamą tak samo jak ja.

- Zawsze będziesz mogła mi wszystko o wszystkim powiedzieć.

- Tak - odparła radośnie. - Wiem o tym.

Ich związku nie dało się utrzymać w tajemnicy przed ojcem Victorii. Robert przychodził do domu pastora niemal codziennie. Mówił, że uczy dziewczynę jazdy konnej, co teoretycznie było prawdą i poświadczył to każdy, kto widział, jak po zakończeniu lekcji Victoria niezgrabnie kuśtyka po domu.

Mimo to wszyscy wiedzieli, że tych dwoje łączy głębsze uczucie. Wielebny Lyndon sprzeciwiał się ich związkowi i nie omieszkął przepuścić żadnej okazji, żeby mówić o tym Victorii.

- On się nigdy z tobą nie ożeni! - grzmiał jak na kazaniu. Takim tonem zawsze udawało mu się onieśmielić córki.

- Tato, on mnie kocha - protestowała.

- Nie ma żadnego znaczenia, czy cię kocha czy nie. Nie ożeni się z tobą. On jest hrabią, a będzie markizem. Nie ożeni się z córką pastora.



Victoria wzięła głęboki oddech, starając się zachować spokój.

- Ojczy, on nie jest taki.

- Jest jak każdy mężczyzna. Wykorzysta cię i porzuci. Zarumieniła się pod wpływem bezpośrednich słów ojca.

- Tato, ja...

- Ty nie żyjesz w jednym ze swoich romansów - wszedł jej w słowo. - Przejrzyj wreszcie na oczy, dziewczyno.

- Nie jestem taka naiwna, jak myślisz.

- Masz siedemnaście lat! - krzyczał. - I właśnie jesteś naiwna.

Żachnęła się i wywróciła oczami, choć wiedziała, że ojciec nie znosi takich niegrzecznych min.

- Nie wiem, po co ja w ogóle z tatą o tym rozmawiam.

- Bo jestem twoim ojcem! I, na Boga, masz mnie słuchać. - Pastor pochylił się do przodu. - Victorio, widziałem kawałek świata i wiem, jak to jest. Hrabia nie ma czystych intencji, a jeśli ty pozwolisz mu na dalsze zaloty, to skończysz jak kobieta upadła. Słyszysz mnie?

- Mama by mnie zrozumiała - mruknęła Victoria. Ojciec zrobił się czerwony.

- Coś ty powiedziała? Victoria przez chwilę milczała.

- Mówiłam, że mama by mnie zrozumiała. - Twoja matka była bogoboijną kobietą i znała swe miejsce. Zgodziłyby się ze mną w tej sprawie.

Victoria pamiętała, jak matka żartowała z nią i Ellie za plecami pastora. Pani Lyndon nie była taka ponura i surowa, jak sobie wyobrażał jej mąż. Tak, uznała Victoria, matka na pewno by mnie zrozumiała.

Długą chwilę patrzyła na brodę ojca, a w końcu uniosła wzrok i zapytała:

- Zakazujesz mi spotykać się z nim?

Tak mocno zacisnął zęby, że Victoria myślała, że pęknie mu szczęka.

- Dobrze wiesz, że nie mogę ci tego zakazać - odparł. - Poskarży się ojcu i wylecę z posady bez referencji. Ty sama musisz z nim zerwać.

- Nie zrobię tego - powiedziała stanowczo. Spojrzała buntowniczym wzrokiem.

- Robert przyjdzie za dwie godziny. Idę z nim na spacer.

- Powiedz mu, że już nie chcesz się z nim spotykać. I to jeszcze dzisiaj. Inaczej się postaram, na Boga, żebyś pożałowała.

Poczuła, że jej opór słabnie. Ojciec nie uderzył jej od wielu lat, od czasów dzieciństwa, ale był tak rozwścieczony, że mógł stracić nad sobą panowanie. Nic nie mówiła.

- Dobrze - powiedział ojciec z satysfakcją w głosie, biorąc jej milczenie za zgodę. - I weź ze sobą Eleonor. Nie wyjdiesz z tego domu w jego towarzystwie bez swojej siostry.

- Tak, tato. - W tej kwestii mogła okazać posłuszeństwo. Ale tylko w tej.

Dwie godziny później przyszedł Robert. Ellie tak szybko otworzyła drzwi, że nawet nie zdążył drugi raz uderzyć kołatką.

- Witaj, mój panie - powiedziała z porozumiewawczym uśmiechem. Robert płacił jej całego funta za każdy spacer, podczas którego znikła zakochanym z oczu. Ellie zawsze liczyła na tę łapówkę, za co Robert był jej niezmiernie wdzięczny.

- Dzień dobry, Ellie - odrzekł. - Widzę, że masz naprawdę dobry dzień.

- O, bardzo dobry, panie. I liczę, że szybko stanie się jeszcze lepszy.

- Zuchwałe dziewczę - mruknął. Ale wcale tak o niej nie myślał. Lubił młodszą siostrę Victorię. Łączyło ich rozważne i praktyczne podejście do życia. On na jej miejscu za podobną przysługę zażądałby dwa funty.

- O, Robert. - Victoria wpadła do przedpokoju. - Nie wiedziałam, że już przyszedłeś.

- Ellie szybko otworzyła drzwi - uśmiechnął się.

- Domyślam się. - Victoria posłała siostrze ostre spojrzenie. - Zawsze niecierpliwie oczekuje na twoje przyjście.

Ellie uniosła głowę i pozwoliła sobie na nieznaczny uśmieszek.

- Lubię dbać o swoje interesy. Robert roześmiał się. Objął Victorię.

- Idziemy?

- Muszę jeszcze wziąć książkę - powiedziała Ellie. - Coś czuję, że dzisiaj będę miała dużo czasu na czytanie.

Wyszła z przedpokoju i znikła u siebie.

Robert przyglądał się, jak Victoria poprawia czepek.

- Kocham cię - wyszeptał.

Wiązała sznurki czepka.

- Mam to powiedzieć głośniej? - szepnęła z udawanym grymasem na twarzy.

Victoria natychmiast pokręciła głowę i spojrzała na zamknięte drzwi do ojcowskiego pokoju. A on twierdzi, że Robert jej nie kocha i nie może pokochać. Ale się myli. Tego była pewna. Wystarczyło spojrzeć w jaskrawy błękit oczu Roberta, aby poznać prawdę.

- Romeo i Julia!

Victoria drgnęła na głos siostry, bo przez chwilę myślała, że Ellie porównuje ją i Roberta do pary nieszczęśliwych kochanków. Ale w dłoni siostry zauważyła tom Szekspira.

- Dosyć ponura lektura jak na takie słoneczne popołudnie - skomentowała.

- Nie zgadzam się - odparła Ellie. - Moim zdaniem to bardzo romantyczna historia. Nie licząc tego końcowego kawałka, jak wszyscy umierają.

- Tak - wtrącił Robert. - Ten kawałek można uznać za mało romantyczny.

Victoria uśmiechnęła się i dała mu kuksańca w bok. Wyszli we trójkę z domu i przez łąkę zmierzali do lasu. Po mniej więcej dziesięciu minutach Ellie westchnęła.

- Ja chyba już tutaj zostanę - powiedziała.

Rozłożyła koc na ziemi i spojrzała porozumiewawczo na Roberta.

Wręczył jej monetę.

- Eleonoro - zwrócił się do niej oficjalnie. - Ty to masz duszę bankiera.

- O tak, nieprawdaż?

Usiadła na kocu i udawała, że nie widzi, jak Robert bierze Victorię za rękę i znikają między drzewami.

Dziesięć minut później znaleźli się na trawiastym brzegu w miejscu, gdzie spotkali się pierwszy raz. Victoria nie zdążyła rozłożyć koca, gdy Robert pociągnął ją na ziemię.

- Kocham cię - powiedział, całując ją w kącik ust.

- Kocham cię. - Pocałował w drugi kącik.

- Kocham cię. - Zsunął jej czepek.

- Kocham...

- Wiem, wiem! - Roześmiała się, powstrzymując go przed wyciągnięciem wszystkich szpilek z włosów.

Wzruszył ramionami.

- Bo tak jest.

Ale w jej głowie nadal brzmiało echo słów ojca. Wykorzysta cię.

- Naprawdę? - zapytała, patrząc mu prosto w oczy. - Naprawdę mnie kochasz?

- Jak w ogóle możesz o to pytać?

- Sama nie wiem - szepnęła. - Przepraszam cię. Bardzo. Wiem, że mnie kochasz. Ja też cię kocham.

- Okaż to - powiedział ledwie słyszalnym głosem.

Victoria ze zdenerwowania zwilżyła językiem wargi i przesunęła głowę o dzielący ich cal.

W chwili gdy zetknęły się ich usta, Robert był cały w ogniu. Położył dłoń na jej włosach i przytrzymał głowę.

- Boże, Torie - mówił - kocham cię dotykać, kocham twój zapach...

Odpowiedziała mu namiętym pocałunkiem, przesuwając językiem po jego wargach,

tak jak ją nauczył.

Zadrzał, czując, że ogarnia go rozpalona do białości żądza. Chciał złączyć się z Viktorią na zawsze, chciał, aby objęła go i nigdy nie puszczała. Trafił dłonią na guziki sukienki i zaczął rozpinać.

- Robert? - Drgnęła zdziwiona przekroczeniem kolejnej bariery intymności.

- Ciii, kochanie. - Pod wpływem namiętności drżał mu głos. - Chcę cię tylko dotknąć. Od tygodni o niczym innym nie marzę. - Położył dłoń na jej piersi i ścisnął cienką tkaninę letniej sukienki.

Victoria jęknęła z rozkoszą i pozwoliła mu dokończyć odpinanie guzików.

Ręce trzęsły mu się z podniecenia, ale jakimś cudem zdołał uporać się z tyloma guzikami, żeby uwolnić jej piersi spod sukienki. Victoria mechanicznie uniosła ręce, aby zasłonić nagość, ale on delikatnie je odsunął.

- Nie - szepnął. - Są takie wspaniałe. Cała jesteś wspaniała.

I wtedy, jakby na potwierdzenie swych słów, musnął dłonią jej piersi. Kolistymi ruchami pieścił je, a w pewnym momencie wstrzymał oddech, gdy poczuł, jak twardnieją jej sutki.

- Zimno ci?

Skinęła głową, potem pokręciła głową, a później znów skinęła.

- Nie wiem.

- Ja cię ogrzeję. - Położył całe dłonie na jej piersiach, ogrzewając je swym ciepłem. - Chcę cię pocałować - powiedział cichym głosem. - Pozwolisz mi się pocałować?

Victorii kompletnie zaschło w gardle. Przecież całował ją setki razy. Może nawet tysiące. Dlaczego więc teraz pyta o pozwolenie?

Zrozumiała, gdy powoli przesunął językiem wokół jej sutka.

- O Boże! - jęknęła, nie mogąc uwierzyć w to, co się dzieje. - Robercie!

- Pragnę cię, Torie. - Położył twarz między jej piersiami. - Nie masz pojęcia, jak bardzo cię pragnę.

- Musimy przestać - wydusiła. - Ja nie mogę... Moja reputacja... - Nie miała pojęcia, jak ubrać swoje myśli w słowa. W uszach cały czas miała ostrzeżenie ojca. *Wykorzysta cię i porzuci.* Popatrzyła na głowę Roberta spoczywającą między jej piersiami. - Nie, Robercie.

Z trudem łapiąc powietrze, pomógł jej poprawić sukienkę. Próbował pozapinać guziki, ale za bardzo trzęsły mu się ręce.

- Ja to zrobię - powiedziała i szybko odwróciła się, że by ukryć rumieniec na twarzy. Jej też trzęsły się ręce, ale okazały się sprawniejsze niż jego i zdołała doprowadzić swój

wygląd do porządku.

Robert jednak dostrzegł jej zaczerwienione policzki i ukłula go myśl, że Victoria wstydzi się tego, co zrobiła.

- Torie - odezwał się łagodnym tonem, a ponieważ nie odwracała głowy, delikatnie odwrócił ją do siebie.

Oczy lśniły jej od łez.

- Torie - powtórzył, pragnąc wziąć ją w ramiona. Powstrzymał się i tylko pogładził ją po policzku. - Nie rób sobie wyrzutów. Proszę cię.

- Nie powinnam ci pozwalać.

Uśmiechnął się słabo.

- Tak, pewnie nie powinnaś. A ja pewnie nie powinienem próbować. Ale Kocham cię. To żadne usprawiedliwienie, ale nie mogłem się powstrzymać.

- Wiem - wyszeptała. - A dla mnie nie powinno to być takie przyjemne.

W tym momencie Robert tak głośno krzyknął z radości, że Victoria była pewna, iż Ellie zaraz przybiegnie z lasu zobaczyć, co się dzieje.

- Och, Torie - powiedział, łapczywie chwytając powietrze. - Nie wstydź się tego, że lubisz mój dotyk. Błagam.

Victoria usiłowała skarcić go spojrzeniem, ale miała za dużo ciepła w oczach. Wrócił jej dobry humor.

- Dobrze, ale ty też nie krępuj się, że lubisz, jak ja cię dotykam - rzuciła.

W mgnieniu oka chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie. Uśmiechał się zalotnie i wyglądał na uwodziciela, którym kiedyś Victoria go nazwała.

- To, moja droga, nam nie grozi.

Roześmiała się, czując, że opada z niej resztką napięcia. Odwróciła się, dotykając plecami jego klatki piersiowej. W zamyśleniu bawił się jej włosami.

- Niedługo się pobierzemy - szepnął. Nie spodziewała się takiej stanowczości w jego głosie. - Niedługo się pobierzemy, a wtedy ci pokażę. Wtedy ci pokażę, jak bardzo cię Kocham.

Victoria zadrżała podekscytowana. Czowała za uchem ciepły oddech Roberta.

- Weźmiemy ślub najszybciej, jak się da - mówił dalej. - Ale na razie nie chcę, abyś czuła się zawstydzona tym, co ze sobą robimy. Kochamy się, a nie ma nic piękniejszego niż dwoje ludzi okazujących sobie miłość. - Odwrócił ją z powrotem do siebie i spojrzeli sobie w oczy. - Ja... - Przełknął ślinę. - Miałem już inne kobiety, ale nigdy nie znałem tego uczucia, póki nie spotkałem ciebie.

Głęboko poruszona Victoria pogładziła go po policzku.

- Nikt nas nie zastrzeli za to, że Kochamy się przed ślubem - powiedział.

Nie wiedziała, czy słowo „Kochamy” odnosi się do sfery duchowej czy fizycznej.

Zdołała tylko wymówić:

- Nikt prócz mojego ojca. Robert zamknął oczy.

- Co ci mówił?

- Że nie wolno mi się z tobą więcej spotykać. Zaklął bezgłośnie i otworzył oczy.

- Dlaczego? - zapytał głosem nieco ostrzejszym, niż zamierzał.

Victoria rozważała wiele odpowiedzi, ale w końcu zdecydowała się na najszczerzą.

- Powiedział, że się ze mną nie ożenisz.

- A skąd on to może wiedzieć? - krzyknął, Victoria cofnęła się o krok.

- Robert!

- Przepraszam. Nie chciałem podnieść głosu. To dlatego... Jakim cudem twój ojciec może znać moje zamiary?

Wzięła go za rękę.

- Nie zna. Ale tak mu się wydaje. I obawiam się, że teraz tylko to się dla niego liczy. Ty jesteś hrabią. Ja jestem córką wiejskiego pastora. Musisz przyznać, że takie pary rzadko widuje się na ślubnym kobiercu.

- Niezmiernie rzadko! - powiedział z zacięciem. - Ale nie jest to niemożliwe.

- Dla ojca jest - odparła. - Nigdy nie uwierzy w szczerą twoich intencji.

- A jeśli porozmawiam z nim i poproszę o twoją rękę?

- Może to by go uspokoiło. Już mu mówiłam, że chcesz się ze mną ożenić, ale on chyba uznał, że zmyślam.

Robert wstał, pomógł jej się podnieść, złożył wytworny ukłon i ucałował jej dłoń.

- A zatem jutro oficjalnie poproszę go o twoją rękę.

- Nie dzisiaj? - zapytała figlarnie.

- Najpierw muszę o swoich planach poinformować własnego ojca - oznajmił. - Jestem mu to winien.

Robert jeszcze nie mówił ojcu o Victorii. Nie dlatego, że markiz mógłby mu zabronić się z nią spotykać. Robert miał dwadzieścia cztery lata i sam podejmował decyzje. Wiedział jednak, że brak akceptacji ojca bardzo utrudniłby mu życie. Spodziewał się, że markiz, który często swatał go z córkami książąt lub hrabiów, nie będzie zadowolony z jego związku z córką pastora.

Dlatego pukał do drzwi ojcowskiego gabinetu z silnym postanowieniem, ale i z

odrobiną niepewności.

- Wejść. - Hugh Kemble, markiz Castleford, siedział za biurkiem. - A, Robert. O co chodzi?

- Masz trochę czasu, ojcze? Chcę z tobą porozmawiać. W oczach Castleforda pojawiło się zniecierpliwienie.

- Jestem trochę zajęty. To nie może poczekać?

- To bardzo ważna sprawa, ojcze.

Markiz z niechęcią wyraził zgodę. Robert nie zaczął mówić od razu, więc go ponaglił:

- A zatem...

Robert uśmiechnął się z nadzieją, że to poprawi ojcu nastrój.

- Postanowiłem się ożenić.

W zachowaniu markiza nastąpiła całkowita przemiana. Z twarzy zginęły ślady rozdrażnienia, a pojawiła się szczerza radość. Wstał zza biurka i chwycił syna w objęcia.

- Znakomicie! Znakomicie, synu. Wiesz, że tego właśnie pragnąłem...

- Wiem.

- Oczywiście jesteś młody, ale masz poważne obowiązki. Gdyby rodzina straciła tytuł, ja osobiście poniósłbym klęskę. Jeżeli nie dasz mi dziedzica...

Robert powstrzymał się od komentarza, że aby rodzina utraciła tytuł, ojciec musiałby umrzeć, więc nie dowiedziałyby się o tej tragedii.

- Wiem, ojcze.

Castleford oparł się o krawędź biurka i założył ręce na piersi.

- Powiedz zatem, kim ona jest. Albo sam zgadnę. Córka Billingtonów, ta wypomadowana blondynka.

- Ojcze, ja...

- Nie? W takim razie lady Leonie. Spryciarz z ciebie. - Szturchnął syna łokciem. - Jedynaczka starego księcia. Odziedziczy spory mająteczek.

- Nie, ojcze - powiedział Robert, starając się ignorować błysk chciwości w oczach markiza. - Nie znasz jej.

Castleford zbladł zaskoczony.

- Nie znam? Więc kto to jest, do diaska.

- Panna Victoria Lyndon, ojcze. Castleford zmrużył oczy.

- Skądś znam to nazwisko.

- Jej ojciec jest nowym pastorem w Bellfield.

Markiz nic nie powiedział. A po chwili parsknął śmiechem i przez dłuższą chwilę nie

mógł się opanować.

- Dobry Boże. Synu, udało ci się mnie nabrać. Córka pastora. Nie do wiary.

- Ojczy, ja mówię całkiem poważnie - oznajmił Robert.

- Córka pastora... Ha, ha, ha... Coś ty powiedział?

- Ze mówię całkiem poważnie. - Zamilkł, a po chwili dodał: - Ojczy.

Castleford mierzył wzrokiem syna, uparcie poszukując jakiegoś znaku, że to tylko żart. Ale gdy nie znalazł, krzyknął:

- Czyś ty oszalał?

Robert złożył ręce na piersi.

- Nie, jestem zdrow jak ryba.

- Zakazuję.

- Przepraszam bardzo, ojczy, ale nie wiem, w jaki sposób możesz mi zakazać. Jestem już dorosły. Poza tym... - Miał nadzieję, że odwoła się do łagodniejszej strony ojca. - ... zakochałem się.

- Idźże do diabła. Wydziedziczę cię.

Najwyraźniej ojciec nie miał łagodniejszej strony.

Robert uniósł brwi i niemalże czuł fizycznie, że błękit jego oczu zamienia się w stalową szarość.

- Proszę bardzo - oznajmił nonszalanckim tonem.

- Tak?!!! - parsknął Castleford. - Puszczę cię bez grosza przy duszy! Cofnę ci wszystkie dochody! Zostaniesz...

- A ty zostaniesz bez dziedzica. - Robert uśmiechnął się z hardością, o którą wcale się nie podejrzewał. - Co za nieszczęście, że matka już ci nie urodzi żadnego dziecka. Nawet córki.

- Ty! Ty! - Markiz poczerwieniał z wściekłości. Kilka razy głębiej odetchnął i przyjął łagodniejszy ton: - Być może sam dokładnie nie rozumiesz, że ta dziewczyna tutaj nie pasuje.

- Właśnie, że doskonale pasuje, ojczy.

- Nie będzie... - Castleford przerwał, gdy zdał sobie sprawę, że znów krzyczy. - Nie będzie umiała spełniać obowiązków żony arystokraty.

- Jest wystarczająco inteligentna. A jej manierom nie można nic zarzucić. Otrzymała stosowne wykształcenie. I jestem pewien, że będzie znakomitą hrabiną. - Robert zrobił łagodniejszą minę. - Jej osoba przyniesie zaszczyt naszemu nazwisku.

- Rozmawiałeś o tym z jej ojcem?

- Nie. Uznałem za stosowne najpierw cię poinformować o swoich planach.



- Dzięki Bogu. - Castleford odetchnął. - Jeszcze nie jest za późno.

Robert zacisnął pięści, ale nic nie powiedział.

- Obiecaj mi, że nigdy nie poprosisz o jej rękę.

- Nie ma mowy.

Castleford przeniósł surowy wzrok na syna i ujrzał jego stanowcze spojrzenie.

- Robercie, posłuchaj mnie uważnie - zaczął spokojnym głosem. - Ona nie może cię kochać.

- Nie wiem, skąd ty to możesz wiedzieć, ojczu.

- Do diaska, synu. Ona pragnie tylko pieniędzy i tytułu.

Robert czuł, że kipi w nim gniew. Jeszcze nigdy nie doznał takiego uczucia.

- Ona mnie kocha - oznajmił stanowczo.

- Nigdy nie da się powiedzieć, czy cię kocha. - Markiz uderzył dłonią w biurko. -  
Nigdy.

- A ja to wiem - rzekł cicho Robert.

- Co to w ogóle za dziewczyna? Dlaczego właśnie ona? Dlaczego nie żadna z tych, które poznałeś w Londynie?

Robert bezradnie wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Chyba dlatego, że wyzwala we mnie to, co najlepsze. Gdy ona jest obok, stać mnie na wszystko.

- Dobry Boże - jęknął ojciec. - Jak to się stało, że wychowałem takiego romantyka?

- Widzę, że ta rozmowa do niczego nie doprowadzi - powiedział oschle Robert i ruszył do drzwi.

Markiz westchnął.

- Robert, zostań.

Robert odwrócił się, bo po prostu nie był w stanie sprzeciwić się poleceniu ojcowskiemu.

- Proszę cię, posłuchaj mnie, synu. Musisz ożenić się z kobietą ze swojej sfery. Tylko wtedy będziesz mieć pewność, że nie wychodzi za ciebie z powodu pieniędzy i pozycji.

- Z mojego doświadczenia wynika, że to właśnie kobietom z wyższych sfer chodzi tylko o pieniądze i pozycję.

- Owszem, ale to co innego.

Robert uznał to za raczej słaby argument i powiedział o tym ojcu.

Markiz chwycił się za głowę.

- Skąd ta dziewczyna wie, co do ciebie czuje? Jak może nie być zauroczona twoim

tytułem i bogactwem?

- Ona nie jest taka, ojciec. - Założył ręce na piersi. - I ożenię się z nią.

- Zrobisz największy...

- Ani słowa więcej! - krzyknął Robert. Pierwszy raz w życiu podniósł głos na ojca.

Odwrócił się do wyjścia.

- Powiedz jej, że zostawiam cię bez grosza! - zawołał Castleford. - Zobaczmy, czy wtedy zechce za ciebie wyjść.

Robert odwrócił się. Wbił w ojca gniewny wzrok.

- Chcesz powiedzieć, że mnie wydziedziczasz? - zapytał chłodnym głosem.

- Niewiele brakuje.

- A więc tak czy nie?

- Mogę to zrobić w każdej chwili. Nie szarżuj.

- To nie jest odpowiedź.

Nie spuszczać wzroku z Roberta, markiz pochylił się do przodu.

- Jeżeli jej powiesz, że ślub z nią doprowadzi cię do utraty całej fortuny, to nie skłamiesz.

W tym momencie Robert nienawidził ojca.

- Rozumiem.

- Na pewno?

- Na pewno. - I prawie odruchowo dodał. - Ojciec.

Oddawał mu szacunek tym tytułem po raz ostatni.

Puk. Puk, puk, puk.

Victoria obudziła się i po sekundzie usiadła na łóżku.

- Victoria! - doleciał ją szept zza okna.

- Robert? - Uklękła na łóżku i wyjrzała przez szybę.

- Musimy porozmawiać. To pilne.

Uznała, że w domu wszyscy śpią, i powiedziała:

- Dobra. Wchodź.

Jeżeli Robert zdziwił się, że zaprasza go do pokoju - nigdy przedtem tego nie robiła - to nie wspomniał o tym ani słowem. Wszedł przez okno i usiadł na łóżku. O dziwo, nie próbował jej pocałować ani przytulić, chociaż zawsze tak się z nią witał, gdy byli sami.

- Co się stało, Robercie?

Długo milczał, patrząc przez okno na gwiazdę polarną. Położyła mu dłoń na przedramieniu.

- Robert?

- Musimy uciekać - oznajmił otwarcie.

- Co takiego?

- Przeanalizowałem sytuację z każdej strony. Nie ma innego wyjścia.

Dotknęła jego ramienia. Zawsze podchodził do życia racjonalnie, a każdą decyzję traktował jak problem do rozwiązania. To, że się w niej zakochał, było prawdopodobnie jedyną nielogiczną rzeczą, jaką w życiu zrobił. I za to jeszcze bardziej go kochała.

- Co się stało, Robercie? - zapytała spokojnie.

- Ojciec chce mnie wydziedziczyć.

- Jesteś pewien?

Spojrzał jej w oczy i wpatrując się w ich bajecznie błękitną głębię, podjął decyzję, z której nie był dumny.

- Tak - rzekł. - Jestem pewien. - Przemilczał, że ojciec dał mu szansę. Ale musiał zyskać pewność. Sam w to nie wierzył, ale jeżeli Victorii rzeczywiście bardziej zależy na bogactwie niż na nim?

- Przecież to nieludzkie. Jak ojciec mógł ci coś takiego zrobić?

- Posłuchaj mnie, Victorio. - Wziął ją za rękę i mocno i uściskał. - To się nie liczy. Ty jesteś dla mnie ważniejsza niż pieniądze. Jesteś dla mnie wszystkim. - Ale ty masz prawo...

Nie mogę cię prosić, abyś z te - go wszystkiego zrezygnował.

- To mój wybór, a nie twój. I wybieram ciebie.

Poczuła łyzy napływające do oczu. Nigdy nie przypuszczała, że Robert zechce dla niej utracić tak wiele. I wiedziała, jak ważny był dla niego ojcowski szacunek. Całe życie starał się zadowolić ojca i nigdy mu się do końca nie udawało.

- Jedno musisz mi obiecać - wyszeptwała.

- Co tylko zechcesz, Torie. Dla ciebie zrobię wszystko.

- Obiecaj mi, że po ślubie postarasz się jakoś dogadać z ojcem. Ja... - Zawahała się zdziwiona, że stawia warunki w takiej sytuacji. - W przeciwnym razie nie wyjdę za ciebie. Nie mogłabym żyć ze świadomością, że doprowadziłam między wami do niezgody.

Zrobił niewyraźną minę.

- Torie, ojciec to najbardziej uparty i...

- Nie powiedziałam, że musi ci się udać - dodała. - Ale musisz spróbować.

Podniósł jej dłoń do swych ust.

- Zgoda, moja damo. Masz moje słowo. Spojrzała z udawaną surowością.

- Jeszcze nie jestem „twoją damą”.

Robert tylko się uśmiechnął i jeszcze raz ucałował jej dłoń.

- Najchętniej uciekłbym z tobą jeszcze dzisiaj. Ale potrzebuję trochę czasu na zdobycie pieniędzy i zapasów. Nie chcę, żebyśmy włączyli się po kraju o chlebie i wodzie.

Pogładziła go po policzku.

- Ty zawsze wszystko musisz zaplanować.

- Nie chcę zdawać się na przypadek.

- Wiem. Między innymi za to cię kocham. - Uśmiechnęła się figlarnie. - Ja stale o czymś zapominam. Moja matka mówiła, że gdyby nie szyja, zapomniałabym głowy.

Oboje się roześmieli.

- Cieszę się, że masz szyję - powiedział Robert. - Podoba mi się.

- Nie czaruj. Mówię tylko, że dobrze mieć przy sobie kogoś, kto potrafi uporządkować moje życie.

Pochylił się i delikatnie pocałował ją w usta.

- Niczego bardziej nie pragnę niż tego, żeby cię uszczęśliwić.

Spojrzała na niego wilgotnymi oczami i wtuliła twarz w jego ramię.

- Będziesz gotowa za trzy dni?

Przytaknęła. Następna godzina minęła im na układaniu planów.

Drżąc na zimnym wietrze, Robert chyba po raz dwudziesty tej nocy spoglądał na

kieszonkowy zegarek. Victoria spóźniała się już pięć minut. Nie czuł niepokoju. Ona zawsze spóźniała się na spotkania.

Ale to nie było zwykłe spotkanie.

Robert zaplanował ucieczkę w najdrobniejszych szczegółach. Ze stajni ojca wziął dwukólkę. Na podróż do Szkocji wolałby bardziej praktyczny pojazd, ale ta dwukółka była jego osobistą własnością, a nie chciał się czuć zobowiązany wobec ojca.

Miał się spotkać z Victorią u wylotu drogi prowadzącej do jej domku. Postanowili, że wymknie się sama. Gdyby Robert podjechał dwukólką pod dom, powstałoby za dużo zamieszania, a ona nie chciała, aby ktoś ją zauważył. Dojście do miejsca spotkania powinno jej zająć zaledwie pięć minut, a okolica była bezpieczna.

A więc, gdzie ona jest, do diabła?

Victoria rozglądała się po pokoju w poszukiwaniu rzeczy, które chciała zabrać. Była już spóźniona. Robert czekał od pięciu minut, ale w ostatniej chwili postanowiła wziąć cieplejsze ubrania, więc musiała się przepakować. Nie co dzień młoda kobieta opuszcza dom w środku nocy. Musiała być pewna, że zabrała wszystko.

Miniatuurka! Klepnęła się w czoło, jakby właśnie uświadomiła sobie, że w żaden sposób nie może odjechać bez portretu matki. Istniały dwa portreciki pani Lyndon, a pastor często powtarzał, że każda z córek zabierze jeden, gdy będzie wychodzić za mąż, aby nigdy nie zapomniała o matce. Były to miniatuurki mieszczące się w dłoni.

Nie wypuszczając torby z ręki, wyszła na palcach z pokoju na korytarz. Ruszyła po dywanie w stronę pokoju dziennego, gdzie na stoliku stał portrecik matki. Zabrała go, schowała do torby i chciała wracać w kierunku swojego pokoju, gdzie miała wyjść przez okno.

Ale gdy się odwracała, zahaczyła torbą o mosiężną lampę, która z hukiem upadła na podłogę.

Kilka sekund później na progu pojawił się wielebny Lyndon.

- Co, u licha, tu się dzieje? - Nagle zauważył Victorię stojącą nieruchomo na środku pokoju. - Victoria, dlaczego nie śpisz? I dlaczego jesteś ubrana?

- Ja... ja... - bąknęła, ze strachu nie mogąc wykrztusić ani słowa.

Pastor dojrzał torbę.

- A to co? - Zrobił dwa kroki w głąb pokoju i wyrwał jej torbę. Wyrzucił ze środka ubrania, Biblię... I wtedy trafił na miniaturę. - Uciekasz - szepnął. Spojrzał na córkę, nie dowierzając, że może okazać mu nieposłuszeństwo.

- Nie, tato! - krzyknęła. - Nie!

Ale nigdy nie umiała kłamać.

- Na Boga - warknął Lyndon. - Następnym razem dobrze się zastanowisz, zanim spróbujesz mi się sprzeciwić.

- Tato, ja... - Nie zdążyła dokończyć, bo ojciec uderzył ją w twarz z taką siłą, że upadła na podłogę. Gdy podniosła głowę, zobaczyła w drzwiach nieruchomo stojącą Ellie z przerażoną miną. Posłała siostrze błagalne spojrzenie. Ellie odchrząknęła.

- Tato - odezwała się łagodnym tonem. - Coś się stało?

- - Twoja siostra postanowiła mi się sprzeciwić - burknął pastor. - A teraz pozna konsekwencje swojej decyzji.

Ellie jeszcze raz odchrząknęła, jakby tylko w ten sposób potrafiła zmusić się do mówienia.

- Tato, to na pewno jakieś nieporozumienie. Zabiorę Victorię do jej pokoju.

- Cicho!

Żadna z dziewcząt nie ośmieliła się odezwać. Po dłuższej chwili pastor złapał Victorię za rękę i gwałtownym ruchem podniósł ją na nogi.

- Nigdzie się dzisiaj nie wybierasz - rzucił z wściekłością. Zaciągnął ją do jej pokoju i rzucił na łóżko. Przerażona Ellie poszła za nimi i cichutko skuliła się w kątku.

Pastor Lyndon wbił palce w ramię Victorii.

- Nie ruszaj się - warknął. Ruszył w stronę drzwi i to wystarczyło, żeby Victoria spróbowała wymknąć się przez okno. Ale pastor był szybszy, a gniew dodawał mu sił. Jednym ruchem ściągnął ją z powrotem na łóżko i wymierzył kolejny policzek.

- Eleanor! - krzyknął. - Przynies prześcieradło. Ellie zamrugła oczami.

- Słucham?

- Prześcieradło! - wrzasnął.

- Tak, tato - powiedziała i poszła do szafy z bielizną. Po kilku sekundach wróciła z bielutkim prześcieradłem. Podała je ojcu, a on starannie podarł je na długie pasy. Najpierw związał Victorii nogi, a potem ręce w nadgarstkach.

- Proszę - oznajmił, sprawdzając węzły. - Nigdzie dzisiaj nie pójdzie.

Victoria popatrzyła na niego buńczucznie.

- Nienawidzę cię - powiedziała spokojnym głosem. - Za to, co zrobiłeś, będę cię nienawidzić do końca życia.

Pokręcił głową.

- Jeszcze mi kiedyś za to podziękujesz.

- Nie. Nigdy. - Przełknęła ślinę, próbując pozbyć się drżenia w głosie. - Kiedyś

myślałam, że jesteś drugi po Bogu, że jesteś dobry, prawy i łaskawy. Ale teraz... Teraz widzę, że jesteś małym człowieczkiem z małą duszą.

Wielebnego Lyndona ogarnęła kolejna fala wściekłości i zamierzył się, żeby znów uderzyć Victorię. Ale w ostatnim momencie opuścił rękę.

Ellie, która do tej pory stała w kąciku, przygryzając wargi, zrobiła dwa kroki do przodu.

- Tato, pozwól mi ją przykryć, bo się przeziębę. - Przykryła roztrzęsioną Victorię kocem. - Tak mi przykro - szepnęła jej do ucha.

Victoria spojrzała na nią z wdzięcznością i odwróciła się twarzą do ściany. Nie chciała dawać ojcu satysfakcji, nie chciała, by zobaczył jej łzy.

Ellie usiadła na brzegu łóżka i spojrzała na ojca prosząco.

- Posiedzę tu z nią, jeśli tata nie ma nic przeciwko temu - powiedziała. - Chyba nie powinna teraz zostawać sama.

Pastor spojrzał podejrzliwie.

- O, jeszcze czego? - huknął. - Rozwiążesz ją, żeby uciekła z tym zakłamanym łajdakiem. - Złapał Ellie za ramię i podniósł. - Że niby miał się z nią ożenić... - dodał, rzucając starszej córce ostre spojrzenie.

Wyciągnął Ellie z pokoju, a potem ją także związał.

- A niech to - zaklął Robert. - Gdzie ona się podziewa?

Victoria miała już ponad godzinę spóźnienia. Robert wyobrażał sobie, że została napadnięta, pobita, zgwałcona albo zamordowana, ale mało prawdopodobne, aby coś takiego zdarzyło się podczas krótkiej drogi od domu do miejsca spotkania. Mimo to był przerażony.

W końcu zostawił swoje rzeczy i dwukólkę bez nadzoru i pobiegł do domku. We wszystkich pomieszczeniach było ciemno. Podkraść się do okna Victorii. Było otwarte, a słaby wiatr lekko poruszał zasłoną.

Zajrzał do środka i poczuł ucisk w żołądku. Victoria leżała w łóżku. Była odwrócona do niego tyłem, ale blasku jej czarnych włosów nie pomyliłby z niczym. Spała zakopana pod kocem.

Śpi sobie. Ona sobie smacznie śpi w łóżku, a on czeka na nią po nocy. Nawet nie dała znać, że zmieniła decyzję.

Z płataniny myśli zaczęło się wyłaniać przekonanie, że mimo wszystko ojciec miał rację. Victoria na pewno uznała, że bez tytułu i pieniędzy Robert nie jest zbyt dobrą partią.

Przypomniał sobie, jak go prosiła, żeby spróbował ułożyć się z ojcem. A takie ułożenie musiałyby skutkować odzyskaniem majątku. Wtedy myślał, że chodzi jej o jego

dobro, ale teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo się pomylił.

Oddał jej całe serce i całą duszę. Ale to było za mało.

Osiemnaście godzin później Victoria szybkim krokiem szła przez las. Ojciec trzymał ją związaną przez całą noc i cały ranek aż do popołudnia. Uwalniając ją, zrobił suro - wykład o poprawnym zachowaniu i szacunku należnym ojcu, ale mimo to dwadzieścia minut później Victoria wyskoczyła przez okno i uciekła.

Musiała porozmawiać z Robertem, choć lękała się jego reakcji.

Gdy ujrzała pałac Castlefordów, zwolniła kroku. Nigdy tu nie była. To Robert zawsze przychodził do niej. Te - raz zdała sobie sprawę, że ponieważ markiz był przeciwny ich związkowi, Robert bał się, że może ją tu spotkać jakaś przykrość.

Drżącą ręką zapukała do drzwi.

Otworzył służący w liberii. Victoria przedstawiła się i powiedziała, że chce się widzieć z hrabią Macclesfield.

- Nie ma go, panienko - usłyszała w odpowiedzi. Zmarszczyła brwi.

- Słucham?

- Dziś rano wyjechał do Londynu.

- Ależ to niemożliwe!

Służący spojrzął na nią z wyższością.

- Markiz chce się z panią widzieć.

Ojciec Roberta chce z nią rozmawiać? To jeszcze bardziej niewiarygodne niż wiadomość o wyjeździe Roberta do Londynu. Oszołomiona Victoria została poprowadzona przez obszerny hol do niewielkiego pomieszczenia. Rozejrzała się dokoła. Jej rodziny nigdy nie byłoby stać na takie wyposażenie domu, a mimo to intuicyjnie czuła, że nie została przyjęta w najpiękniejszym z pałacowych pokoi.

Kilka minut później pojawił się markiz Castleford. Był mężczyzną wysokim i przypominał Roberta, jeśli nie liczyć zmarszczek wokół ust. I miał też inne oczy. Z jego spojrzenia bił chłód.

- Panna Lyndon, jak mniemam - odezwał się.

- Tak - odparła z dumnie uniesioną głową. Świat walił jej się pod nogami, ale nie zamierzała zdradzać swoich uczuć przed tym człowiekiem. - Przyszedłam porozmawiać z Robertem.

- Mój syn wyjechał do Londynu - rzekł markiz. Zrobił krótką przerwę i dodał: - Poszukać żony.

Victoria drgnęła. Nie potrafiła się opanować.



- Tak panu powiedział?

Markiz milczał. Musiał poświęcić chwilę na ocenę sytuacji. Syn przyznał się, że planował ucieczkę z tą dziewczyną, ale ona okazała się nieuczciwa. Jednak jej przybycie do Castleford i niemal zuchwałe zachowanie przeczyły temu, uznał markiz. Zapewne Robert nie znał wszystkich faktów, gdy w pośpiechu pakował torby i zaklinał się, że już nigdy nie wróci w te strony. Ale markiz byłby chyba ostatnim głupcem, gdyby pozwolił synowi marnować życie dla takiego nic.

- Tak - rzekł w końcu. - Najwyższy czas, aby się ożenił. Nie sądzi panienka?

- Nie do wiary, że pan właśnie mnie o to pyta.

- Panno Lyndon, chyba zdaje sobie pani sprawę, że była dla niego tylko chwilową rozrywką. Na pewno pani to wiedziała.

Nie odpowiedziała, ale w jej oczach odmalowało się przerażenie.

- Nie wiem, czy mój syn zdołał z panią osiągnąć, czego chciał. I szczerze mówiąc, nie dbam o to.

- Pan nie ma prawa mówić do mnie w ten sposób.

- Drogie dziewczę, mogę mówić do ciebie, jak mi się podoba. Powtarzam, że była pani tylko chwilową rozrywką. Oczywiście nie usprawiedliwiam czynów syna. Bardzo nieładnie jest odbierać cnotę córce miejscowego pastora.

- Niczego takiego nie zrobił!

Markiz spojrział z wyniosłą miną.

- Tak czy inaczej, obrona twojej cnoty należy do ciebie. A jeżeli mu uległaś, to twój kłopot. Mój syn niczego ci nie obiecywał.

- Owszem, obiecywał - powiedziała cichym głosem. Castleford zmarszczył brwi.

- A ty mu uwierzyłaś?

Victoria poczuła wate w nogach i musiała przytrzymać się oparcia fotela.

- O mój Boże! - wyszeptała. Ojciec miał rację. Robert wcale nie zamierzał się z nią żenić, inaczej na pewno starałby się wyjaśnić, dlaczego nie przyszedł na spotkanie. Pewnie uwiódłby ją gdzieś po drodze do Gretha Green, a wtedy...

Nawet nie chciała myśleć, co by ją wtedy czekało. Przypomniała sobie, jak Robert poprosił, aby „okazała” swoją miłość, jak żarliwie ją przekonywał, że nie ma nic grzesznego w bliskich kontaktach dwojga kochających się ludzi.

Wzdrygnęła się. W ułamku sekundy straciła całą swoją młodzieńczą ufność.

- Moja droga, radzę ci wynieść się z tych stron - rzekł markiz. - Daję słowo, że nikomu nie powiem o waszym romansie. Ale nie ręczę, że mój syn wykaże się taką samą dyskrecją.

Robert. Przeszły ją dreszcze na myśl, że miałyby ujrzeć go raz jeszcze. Bez słowa odwróciła się i wyszła z pokoju.

Późnym wieczorem tego samego dnia rozłożyła na łóżku gazetę i zaczęła przeglądać ogłoszenia o pracy. Nazajutrz wysłała kilka listów z prośbą o posadę guwernantki.

Dwa tygodnie później wyjechała.

*Norfolk, Anglia*

*Siedem lat później*

Biegając za pięcioletnim chłopcem po trawniku, Victoria tak często potykała się o spódnicę, że w końcu ją podciągnęła, nie bacząc na to, że całemu światu pokazuje łydki. Od guwernantki oczekiwano przyzwoitego zachowania, ale ona goniła tego małego łobuza już prawie godzinę i dla osiągnięcia celu gotowa była zrezygnować z dobrych manier.

- Neville! - zawołała. - Neville'u Hollingwood! W tej chwili przestań uciekać.

Neville nie zamierzał zwolnić.

Za rogiem domu Victoria przystanąła, by się zorientować, dokąd dzieciak pobiegł.

- Neville! - krzyknęła. - Neville! Żadnej odpowiedzi.

- Mała bestia - mruknęła.

- Co pani powiedziała, panno Lyndon?

Victoria odwróciła się i ujrzała swoją chlebodawczynię, lady Hollingwood.

- Och, przepraszam, proszę pani. Nie wiedziałam, że pani tu jest.

- Naturalnie - powiedziała zgryźliwie lady. - W przeciwnym razie nie nazwałabyś mojego synusia takim wulgarnym słowem.

Zdaniem Victorii określenie „mała bestia” nie należało do wulgarnych, ale nie miała zamiaru się sprzeczać.

- To z czystej sympatii, lady Hollingwood - oświadczyła. - Dobrze pani wie.

- Panno Lyndon, ja nie toleruję szyderczych komentarzy. Radzę, aby wieczorem przemyślała pani swoje zuchwalstwo. Nie do pani należy przypisywanie przydomków wyżej urodzonym. Do widzenia.

Victoria tylko wzruszyła ramionami, gdy lady Hollingwood odwróciła się plecami i odeszła. Nie obchodziło jej, że mężem lady Hollingwood był baron. Za nic w świecie nigdy nie uzna, że ten pięcioletni Neville Hollingwood jest „wyżej urodzony”.

Zacisnęła zęby.

- Neville! - krzyknęła.

- Panno Lyndon!

Victoria jęknęła w duszy. Znowu?

Lady Hollingwood ruszyła w jej stronę, ale zatrzymała się w pół drogi i wyniośle zadarła głowę. Victoria musiała do niej podejść.

- Tak, proszę pani?

- Nie aprobuję tych wrzasków. Dama nigdy nie podnosi głosu.

- Przepraszam, lady. Staram się tylko znaleźć panicza Neville'a.

- Gdyby pani dobrze go pilnowała, to nie doszłoby do takiej sytuacji.

Zdaniem Victorii ten chłopiec był zwinny jak piskorz i sam admirał Nelson nie upilnowałby go dłużej niż dwie minuty, ale zachowała tę opinię dla siebie.

- Przepraszam, proszę pani - powiedziała w końcu.

Zwężone źrenice oczu lady Hollingwood dobitnie świadczyły, że nie wierzy w szczerść przeprosin Victorii.

- Dziś wieczór proszę się starać o stosowniejsze zachowanie.

- Dziś wieczór?

- Panno Lyndon, urządzamy w domu przyjęcie. - Starsza kobieta westchnęła, jakby przynajmniej ze dwadzieścia razy mówiła o tym Victorii, chociaż w rzeczywistości nie wspomniała ani słowem. A że Victoria rzadko rozmawiała ze służbą, nie miała dostępu do plotek.

- Przez kilka dni będziemy mieli gości - mówiła dalej lady Hollingwood. - Bardzo ważnych gości. Kilku baronów, paru wicehrabiów i nawet jednego hrabiego. Lord Hollingwood i ja poruszamy się w wysokich kręgach.

Victoria drgnęła na wspomnienie sprzed lat, kiedy to sama miała okazję otrzeć się o arystokrację. Nie było to miłe wspomnienie.

Robert. Mimowolnie przywołała przed oczy jego twarz.

Chociaż minęło siedem lat, nadal pamiętała każdy szczegół. Łukowaty zarys brwi. Zmarszczki pojawiające się przy uśmiechu, gdy zapewniał o swej miłości w najbardziej nieoczekiwanej chwili.

Robert. Jego słowa okazały się fałszywe.

- Panno Lyndon!

Victoria oderwała się od wspomnień.

- Tak, proszę pani?

- Wołałabym, żebyś nie pokazywała się gościom na oczy, ale jeżeli to będzie konieczne, proszę starać się zachowywać przyzwoicie.

Victoria skinęła głową, żałując, że tak bardzo potrzebuje tej posady.

- A to oznacza, że nie wolno pani podnosić głosu.

Jakby podnosiła głos na kogoś innego niż na potwornego panicza Neville'a.

- Dobrze, proszę pani.

Victoria patrzyła, jak lady Hollingwood odchodzi, upewniając się, że tym razem naprawdę zniknie jej z oczu. A potem wróciła do poszukiwania Neville'a i z prawdziwą rozkoszą krzyknęła:

- I tak cię znajdę, ty przeklęta mała bestio.

Maszerując do zachodniego ogrodu, przy każdym kroku powtarzała w duchu to określenie. Ach, gdyby ojciec słyszał jej myśli! Westchnęła. Nie widziała się z rodziną od siedmiu długich lat. Pisywały do siebie z Eleanor, ale do Kent nie pojechała ani razu. Nie mogła przebaczyć ojcu, że związał ją tamtej feralnej nocy, a poza tym nie potrafiłaby spojrzeć mu w oczy, bo - jak się okazało - trafnie ocenił Roberta.

Praca guwernantki była cięższa, niż się spodziewała, toteż przez te siedem lat aż trzy razy zmieniała posadę. Najwyraźniej większość dam nie chciała, aby guwernantki miały jedwabiste, czarne włosy i ciemnoniebieskie oczy. Nie podobały im się guwernantki piękne i młode. Victoria szybko się nauczyła, jak nie ściągać na siebie uwagi mężczyzn z ich rodzin.

Praca u Hollingwoodów była dla niej jak dar od Boga. Lord Hollingwood interesował się tylko końmi oraz psami i nie miał starszych synów, którzy napastowaliby ją podczas wizyt składanych w domu w przerwach w nauce na uniwersytecie.

Niestety był Neville, który od pierwszego dnia napawał ją zgrozą. Ten krnąbrny i źle wychowany dzieciak praktycznie trząsał całym domem, a lady Hollingwood zakazała Victorii przywoływać go do porządku.

Westchnęła i weszła na trawnik, modląc się, aby Neville nie uciekł do labiryntu.

- Neville! - zawołała, starając się nie krzyżeć.

- Tu - taj, Lyndon!

Smarkacz nigdy nie zwracał się do niej „panno Lyndon”. Victoria poruszała tę sprawę z jego matką, ale lady Hollingwood tylko się roześmiała, stwierdzając z zadowoleniem, że ma takiego bystrego i oryginalnego syna.

- Neville! - Nie, błagam, tylko nie tam. Nigdy nie nauczyła się wychodzić z labiryntu.

- W labiryncie, kretynko.

Victoria jęknęła i mruknęła pod nosem:

- Nienawidzę być guwernantką.

To była prawda. Naprawdę nienawidziła tej pracy. Nienawidziła udawania pokory, nienawidziła pilnowania rozwydrzonych dzieci. Ale najbardziej nienawidziła faktu, że jest do tego zmuszona. Nie miała żadnego wyboru. Ani przez chwilę nie uwierzyła ojcu Roberta, że nie zacznie rozpuszczać o niej złośliwych plotek.

Musiała więc wyjechać i podjąć pracę.

Weszła do labiryntu.

- Neville? - powiedziała ostrożnie.

- Tutaj!

Głos dobiegał z lewej strony. Zrobiła kilka kroków w tamtym kierunku.

- Ej, Lyndon - krzyknął dzieciak. - Założę się, że mnie nie znajdziesz!

Victoria skręciła za róg, potem za następny i za kolejny.

- Neville! - krzyknęła. - Gdzie jesteś?

- Tutaj, Lyndon.

Chciało jej się wyc z bezsilności. Miała wrażenie, że chłopak znajduje się tuż za żywoplotem po prawej stronie. Problem jednak w tym, że kompletnie nie wiedziała, jak się tam dostać. Może za tamtym rogiem...

Jeszcze kilka razy skręciła, zawróciła i wreszcie uświadomiła sobie, że się zgubiła. Nagle usłyszała znienawidzony głos.

- Jestem wolny, Lyndon.

- Neville! - krzyknęła zdenerwowana. - Neville!

- Idę do domu - oznajmił. - Dobrej nocy, Lyndon.

Osunęła się na ziemię. Jak tylko się stąd uwolni, zabije bachora. I zrobi to z największą przyjemnością.

Osiem godzin później Victoria jeszcze nie znalazła wyjścia. Po dwóch godzinach poszukiwań usiadła i rozplakała się. Ostatnio coraz częściej płakała z bezradności. Z pewnością zauważono w domu jej nieobecność, ale nie przypuszczała, aby Neville przyznał się, że zwabił ją do labiryntu. Na pewno ten rozbestwiony dzieciak wysłał w przeciwnym kierunku każdego, kto ruszył na jej poszukiwanie. Będzie miała szczęście, jeżeli uda jej się spędzić na dworze tylko jedną noc.

Westchnęła i spojrzała w niebo. Zapewne dochodziła dziewiąta, ale jeszcze panował półmrok. Dzięki Bogu, że takie zabawy nie przyszły Neville'owi do głowy zimą, gdy dni są krótsze.

Z oddali dobiegały dźwięki muzyki zwiastujące, że przyjęcie już trwało. Zaginioną guwernantką oczywiście nikt się nie przejmował.

- Nienawidzę być guwernantką - mruknęła dwudziesty raz tego dnia. Wypowiadanie tych słów na głos w niczym nie pomagało, ale się nie przejmowała.

I w końcu, kiedy już zaczęła się zastanawiać, jaki skandal wybuchnie za trzy miesiące, gdy Hollingwoodowie znajdą w labiryncie jej trupa, usłyszała jakieś głosy.

Dzięki Bogu. Jestem uratowana. Zerwała się na równe nogi i już otwierała usta, żeby

zawołać, gdy nagle zaczęły do niej docierać poszczególne słowa.

Zasłoniła usta. Oj.

- Choć tu, ty mój wielki rumaku - szczebiotał damski głosik.

- Zawsze masz takie niekonwencjonalne podejście, Helenę. - W głosie mężczyzny słysząc było znużenie, ale także nutkę zainteresowania tym, co dama zamierza mu zaoferować.

To się nazywa mieć pecha. Po ośmiu godzinach w labiryncie pierwsi napotkani ludzie okazują się parą kochanków na schadzce. Nie przypuszczała, aby ucieszyli się na jej widok. A poza tym z pewnością uznają, że to ona postawiła ich w niezręcznej sytuacji.

- Nienawidzę być guwernantką - stęknęła, siadając z powrotem na ziemi. - I nienawidzę arystokracji.

Ucichł kobiecy chichot.

- Słyszałeś to?

- Daj spokój, Helenę.

Victoria westchnęła i złapała się za czoło. Oczywiście było, że ta parka ma się ku sobie, chociaż mężczyzna okazywał swego rodzaju leniwą oschłość.

- Nie. Jestem pewna, że coś słyszałam. A jeśli to mój mąż?

- Helene, twój mąż cię dobrze zna.

- Chcesz mnie obrazić?

- A obraziłem?

Victoria wyobrażała sobie, że mężczyzna siedzi oparty o żywopłot i trzyma ręce złożone na piersi.

- Jesteś nieprzyzwoity, wiesz? - powiedziała Helenę.

- Najwyraźniej lubisz mi o tym przypominać.

- Przy tobie sama czuję się nieprzyzwoicie.

- Nie sądziłem, że do takiego uczucia potrzebujesz towarzystwa.

- Ty mnie jeszcze popamiętasz!

O nie, błagam, myślała Victoria, zsuwając rękę na oczy. Helenę jeszcze raz zachichotała wysokim głosikiem.

- Złap mnie, jeśli zdołasz!

Victoria usłyszała przyspieszone kroki. Nagle odgłosy kroków zaczęły się przybliżać. Właśnie w momencie, gdy podnosiła głowę, ujrzała wybiegającą zza rogu blondynkę. Nie miała nawet czasu krzyknąć, bo Helenę potknęła się o nią i niezgrabnie runęła na ziemię.

- Ki czort? - pisnęła.

- Oj, oj, Helene - zza rogu dobiegł męski głos. - Takie słowa w twoich ustach?

- Zamknij się, Macclesfield. Tu jest jakaś dziewczucha. - Helene odwróciła się do Victorii. - Coś ty za jedna, do diabła? Mój mąż cię nastął?

Ale Victoria jej nie słyszała. W jej uszach brzmiało tylko słowo „Macclesfield”. Macclesfield? Przeżrana zamknęła oczy. O mój Boże. Tylko nie Robert. Każdy, tylko nie on. Błagam.

Zza narożnika zbliżały się ciężkie kroki.

- Helene, o co ci chodzi?

Victoria powoli otworzyła oczy i struchlała.

Robert.

Zaschło jej w ustach. Nie mogła oddychać. O Boże, to Robert. Postarzał się. Jak zawsze miał silną i władczą posturę, ale na twarzy pojawiły się zmarszczki, których nie miał siedem lat temu. W jego spojrzeniu dominowała surowość. Początkowo jej nie zauważył, koncentrując uwagę na rozzłoszczonej Helene.

- To pewnie ta zaginiona guwernantka, o której wspominali Hollingwoodowie. - Odwrócił wzrok na Victorię. - Podobno nie ma jej od...

Zbladł.

- To ty.

Victoria nerwowo zacisnęła zęby. Nie sądziła, że kiedykolwiek jeszcze go zobaczy, i nie przygotowała się na taką chwilę. Czuła się dziwnie i niczego nie pragnęła tak bardzo, jak zapaść się pod ziemię.

No, może nie do końca. Pragnęła też wykrzyknąć swoją złość i podrapać mu paznokciami twarz.

- Co ty tu, do diabła, robisz? - zapytał ostro. Victoria odzyskała równowagę i spojrzała buńczucznie.

- Jestem zaginioną guwernantką. Helene trąciła ją w bok.

- Ty lepiej mów do niego „panie hrabio”, jeśli zależy ci na posadzie. To hrabia i nie powinnaś o tym zapominać.

- Dobrze wiem, kto to jest. Helene odwróciła głowę do Roberta.

- Ty ją znasz?

- Znam.

Victoria wykorzystwała całą siłę woli, żeby nie skulić się pod lodowatym dźwiękiem jego głosu. Ale była teraz mądrzejsza niż siedem lat temu. Mądrzejsza i silniejsza. Podniosła się, stanęła wyprostowana i spojrzała mu prosto w oczy.



- Robert.

- Piękne powitanie - powiedział powoli.

- Co to ma znaczyć? - zapytała Helene. - Co to za jedna? Dlaczego ty... - Patrzyła to na Victorię, to na Roberta. - Ona mówi ci po imieniu?

Robert ani na chwilę nie odrywał wzroku od Victorii.

- Helene, lepiej idź stąd.

- Ani mi się śni. - Założyła ręce na piersiach.

- Helene. - W jego głosie pojawiła się ostrzegawcza nuta.

Victoria słyszała w tym słowie furję, ale blondynka widocznie nie wyczuwała takich niuansów, bo powiedziała:

- Nie mogę sobie wyobrazić, o czym będziesz rozmawiał z taką... taką... guwernantką.

Robert odwrócił się do Helene.

- Odejdź stąd! - warknął. Zrobiła nadęsaną minę.

- Nie znam drogi.

- W prawo, dwa razy w lewo i znów w prawo. Helene otworzyła usta, jakby chciała powiedzieć coś jeszcze, ale najwyraźniej się rozmyśliła. Ostatni raz obrzuciła Victorię pogardliwym spojrzeniem i odeszła. Victoria chciała natychmiast ruszyć za nią.

- W prawo, dwa razy w lewo i znów w prawo - powtórzyła do siebie.

- Nigdzie nie pójdziesz - oznajmił stanowczo.

Jego ton przekonał Victorię, że nie ma szans na uprzejmą konwersację.

- Przepraszam bardzo - powiedziała, próbując go ominąć. Z prędkością błyskawicy złapał ją za ramię.

- Wracaj tu, Victoria.

- Nie rozkazuj mi - odrzyknęła. - I nie mów do mnie takim tonem.

- Co za wrażliwość - sztychł. - Zachciało się szacunku. Dość dziwne jak na kobietę, której idea wier...

- Przestań! - krzyknęła. Nie wiedziała, o co mu chodzi, ale nie mogła dłużej znieść jego ostrego tonu. - Przestań!

Niespodziewanie zamilkł. Sprawiał wrażenie, jakby jej wybuch go poruszył. Nie dziwiła się. Dziewczyna, którą znał siedem lat temu, nigdy nie podnosiła głosu. Nie miała powodu. Oswobodziła ramię i powiedziała:

- Zostaw mnie, proszę.

- Nie mam zamiaru. Uniosła głowę.

- Co ty powiedziałaś?

Wzruszył ramionami i zmierzył ją od stóp do głów pożądlwym wzrokiem.

- Ciekawe, co mnie minęło siedem lat temu. Ładna jesteś.

- Gdybym wiedziała...

- Wtedy nie odmówiłabyś mi tak pochopnie - przerwał jej. - Oczywiście na ślub nie miałaś co liczyć, ale teraz nie ma już obawy, że zostanę wydziedziczony. Teraz, moja droga, jestem przeraźliwie bogaty.

Jego ojciec też zwracał się do niej „moja droga”. I tym samym wyniosłym tonem. Powstrzymała się, żeby nie splunąć Robertowi w twarz.

- A to się cieszysz - powiedziała tylko.

Puścił jej słowa mimo uszu.

- Muszę przyznać - ciągnął - że nie spodziewałem się spotkania w takich okolicznościach.

- Ja miałam nadzieję, że nigdy do niego nie dojdzie.

- Guwernantka - mówił, udając zamyślenie. - Jakież ważne i interesujące zajęcie. I jaka pozycja w domu: ani rodzina, ani służba.

Zmarszczyła brwi.

- Wątpię, żebyś wiedział tyle co ja na temat tego „ważnego i interesującego zajęcia”.

Z udawaną sympatią potrząsnął głową.

- Od jak dawna tym się zajmujesz? Zabawne, że angielska elita powierza ci moralną edukację swoich dzieci.

- Na pewno mnie wychodzi to lepiej, niż wychodziłoby tobie.

Wybuchnął nagłym śmiechem.

- Ale ja nigdy nie udawałem szczerości i dobroci. Nie udawałem, że zamierzam spełnić sny innego człowieka. - Pochylił się i grzbietem dłoni pogładził ją po policzku.

Zrobił to niezmiernie delikatnie. - Nie udawałem anioła.

- A właśnie, że tak - wykrztusiła. - Właśnie, że udawałeś to wszystko. Marzyłam tylko o tobie i niczego innego nie pragnęłam. A ty chciałeś jedynie...

Przysunął się bliżej, w jego oczach pojawił się złowróżbny błysk.

- Czego chciałem, Victorio?

Odwróciła głowę, nie zamierzała mu odpowiadać. Puścił ją.

- Raczej nie ma potrzeby odgrzebywania wszystkich moich głupich nadziei.

Zaśmiała się, ale w tym śmiechu nie było radości.

- Twoich nadziei? Och, jaka szkoda, że nie udało ci się za ciągnąć mnie do łóżka. To musiał być prawdziwy cios w serce.

Pochylił się i groźnie popatrzył.

- Na marzenia nigdy nie jest za późno, prawda?

- To jedyne marzenie, które ci się nigdy nie spełni.

Wzruszył ramionami. Jego mina mówiła, że niewiele go to obchodzi.

- Boże, naprawdę tak niewiele dla ciebie znaczyłam? - wyszeptała.

Wpatrywał się w nią, nie przyjmując do wiadomości jej słów. Ona była dla niego wszystkim. Wszystkim. Obiecał jej gwiazdkę z nieba i zamierzał dotrzymać słowa. Kochał ją tak bardzo, że znalazłby sposób, aby przynieść jej tę gwiazdkę na tacy, gdyby tylko zażądała.

A ona wcale go nie kochała. Podobała jej się myśl poślubienia bogatego arystokraty.

- Torie - rzekł, przygotowując się do pełnej wyrzutów przemowy.

Nie dała mu na to szansy.

- Nie mów do mnie „Torie” - wybuchła.

- O ile sobie przypominam, to ja cię tak nazwałem.

- Wszystkie prawa straciłeś siedem lat temu.

- Straciłem wszystkie prawa? - Nie wierzył, że ona próbuje zrzucić winę na niego.

Wrócił wspomnieniami do tamtej okropnej nocy. Czekał na nią na zimnym wietrze. Czekał przez ponad godzinę, a każda jego cząstka żyła miłością, pragnieniem i nadzieją. A ona sobie smacznie spała. Poszła spać, mając go w nosie.

Zawrzał w nim gniew, przyciągnął ją do siebie, wbił się palcami w jej ciało.

- Najwyraźniej zapomniałaś, jak naprawdę wyglądał nasz związek, Torie.

Zaskoczyła go siłą, z jaką się wyswobodziła z uścisku.

- Mówiłam, że masz się tak do mnie nie zwracać. Już nie jestem żadną Torie. Od wielu lat.

Na jego ustach zamajaczył uśmiech.

- Więc kim teraz jesteś?

Patrzyła na niego i zastanawiała się, czy odpowiedzieć na to pytanie.

- Jestem panną Lyndon - odezwała się w końcu. - A ostatnio najczęściej Lyndon. Nie jestem już nawet Victorią.

Błądził wzrokiem po jej twarzy, nie wiedząc, jak zinterpretować jej minę. Biła z Victorii siłą, której nie posiadała jako siedemnastolatka. A w jej oczach była stanowczość, która go drażniła.

- Masz rację - rzekł z wystudiowanym znużeniem. - Nie jesteś Torie. I chyba nigdy nią nie byłaś.

Zacisnęła wargi i nie miała zamiaru odpowiadać.

- I za to ci dziękuję - mówił dalej, przybierając wyniosły ton.

Spojrzała na niego.

On wyciągnął rękę, jakby wznosił toast.

- Za Victorię Mary Lyndon, która zapewniła mi edukację, jaką powinien przejść każdy mężczyzna.

Poczuła ogarniające ją mdłości. Zrobiła krok do tyłu.

- Przestań, Robert.

- Za to, że pokazała mi, jak próżne i samolubne są kobiety...

- Robert...

- ... którym chodzi tylko o jedno. - Powolnym ruchem przyłożył kciuk do jej ust. -  
Chociaż muszę przyznać, że wywiązała się ze swego obowiązku znakomicie.

Victoria tkwiła w miejscu nieruchomo jak kamień. Starła się nie zwracać uwagi, że serce zaczęło jej mocniej bić, gdy dotknął jej ust.

- Ale przede wszystkim muszę ci podziękować, panno Victorio Lyndon, za to, że pomogłaś mi zrozumieć, jakie znaczenie ma serce. Zupełnie inne, niż mi się wydawało.

- Robert, nie chcę tego słuchać.

Z zadziwiającą szybkością chwycił ją za ramiona i przycisnął do żywopłotu.

- Ale będziesz. Wysłuchasz wszystkiego, co mam do powiedzenia.

Ponieważ nie mogła zasłonić uszu, zamknęła oczy. Jednak nie udało jej się od niego odgrodzić.

- Serce istnieje tylko po to, aby sprawiać ból. Miłość to marzenie poetów, a ból... -  
Zacisnął palce na jej ramionach. - Ból to coś bardzo, bardzo realnego.

- O bólu - odezwała się z zamkniętymi oczami - wiem więcej, niż ty się kiedykolwiek dowiesz.

- Bólu spowodowanego tym, że fortuna przeszła ci koło nosa? Raczej nie o tym mówię. Ale... - Puścił ją i uniósł rękę. - ... ja już nie czuję bólu.

Victoria otworzyła oczy. Patrzył prosto na nią.

- Ja już niczego nie czuję.

Nie odwracała oczu. Patrzyła tak samo stanowczym wzrokiem jak on. Oto człowiek, który ją oszukał. Obiecał gwiazdkę z nieba, a ukradł duszę. Zabrakło jej szlachetności, aby nie cieszyć się z jego goryczy i nieszczęśliwego życia.

Niczego już nie czuje?

- I dobrze - odpowiedziała prosto z serca. - Widzę, że nie pomyliłam się co do ciebie.

Uniósł brwi, zdziwiony gorzką satysfakcją w jej głosie.

- Żegnaj, Robert. - W prawo, dwa razy w lewo i znów w prawo. Odwróciła się i odeszła.

Jeszcze długo Robert stał ze spuszczoną głową. Nie patrzył na nic.

Torie. Już sam dźwięk tego imienia przyprawiał go o dreszcz.

Skłamał, mówiąc, że niczego nie czuje. Na jej widok, gdy siedziała skulona w labiryncie, poczuł niewiarygodny przypływ szczęścia i ulgi. Zupełnie jakby ona wypełniła pustkę, która powstała w nim siedem lat temu.

Ale to oczywiście ona była odpowiedzialna za pustkę w jego sercu.

Próbował wymazać ją z pamięci, rzucając się w objęcia innych kobiet, ale - ku niezadowoleniu ojca - nigdy nie myślał o małżeństwie. Wiązał się z wdowami, kurtyzanami i śpiewaczkami operowymi. Unikał nawet kobiet z czarnymi włosami i niebieskimi oczami, jakby te kolory raniły mu duszę. A czasami, gdy serce bolało szczególnie mocno, zapominał się i w chwili rozkoszy krzyczał jej imię. Było to nieco krępujące, ale żadna z kochanek nie okazała się na tyle niedyskretna, aby o tym wspominać.

Przy żadnej z nich nie znalazł zapomnienia. Nie było dnia, żeby Victoria nie pojawiała się w jego myślach. Słyszał jej śmiech, jej głos.

I wspominał zdradę Victorii. Tego nigdy jej nie przebaczył.

Torie. Jej gęste czarne włosy. I niebieskie oczy. Upływ lat podkreślił jej urodę.

Pragnął jej.

Na miłość Boga, on nadal jej pragnie.

Ale pragnie także zemsty.

I sam nie wiedział, czego pragnie bardziej.

Następnego dnia rano Victoria po przebudzeniu pragnęła tylko jednego. Trzymać się jak najdalej od Roberta Kemble, hrabiego Macclesfield.

Nie łaknęła zemsty. Nie zależało jej na przeprosinach. Po prostu nie chciała go widzieć. Miała nadzieję, że Robert myśli podobnie. Poprzedniej nocy zareagował niesłychanie gwałtownie. Wzruszyła ramionami, nie mając pojęcia, co go właściwie tak rozwścieczyło. Przypuszczała, że uraziła jego męską godność. Prawdopodobnie była jedyną porażką w jego podbojach.

Ubrała się w pośpiechu, przygotowując się w myślach na śniadanie z Neville'em, które zawsze było przykrym przeżyciem. Ten chłopiec uczył się marudzenia od mistrzyni w tej dziedzinie - od swojej matki. Jeżeli jajka nie były za zimne, to herbata za gorąca albo...

Nagle rozległo się głośne pukanie do drzwi, a serce Victorii zaczęło bić w zdwojonym tempie. Z pewnością Robert nie ośmieliłby się nachodzić ją w pokoju. Zagryzła dolną wargę, przypominając sobie jego pewność siebie.

Chyba jednak byłby zdolny do popełnienia takiego nierozsądnego kroku.

Ogarnęła ją złość. Lekkomyślne postępowanie Roberta może ją kosztować utratę posady, a ona w przeciwieństwie do niego nie jest przeraźliwie bogata. Szybkim krokiem przemierzyła pokój i otworzyła drzwi.

- Czego? - warknęła gniewnie.

- Ależ panno Lyndon...

- Och, lady Hollingwood. Przepraszam. Myślałam, że to... To znaczy... - Zrozpaczona Victoria nie wiedziała, co powiedzieć. W takiej sytuacji mogła stracić posadę i bez udziału Roberta. Sama sobie na to zapracuje.

Lady władczo uniosła głowę i bez czekania na zaproszenie weszła do pokoju.

- Przyszedłam porozmawiać o twoim nieszczęsnym zniknięciu wczoraj wieczorem.

- Panicz Neville zwabił mnie do labiryntu, proszę pani. Nie mogłam się wydostać.

- Proszę nie próbować zrzucać winy za swoje postęпки na pięcioletnie dziecko.

Victoria zacisnęła pięści.

- Czy zdajesz sobie sprawę - ciągnęła lady Hollingwood - na jakie naraziłaś mnie nieprzyjemności? Dom pełen gości, a ja sama musiałam kłaść syna do łóżka. A to należy do twoich obowiązków.

- To prawda, proszę pani - odezwała się Victoria przez zaciśnięte zęby. - Ale byłam

uwięziona w labiryncie. Na pewno pani...

- Panno Lyndon, proszę to potraktować jako ostatnie ostrzeżenie. Jestem niezadowolona z twojej pracy. Jeszcze jeden występki, a będę zmuszona cię wyrzucić. - Lady Hollingwood odwróciła się plecami i wyszła do holu. Na koniec obejrzała się za siebie. - I to bez referencji.

Victoria kilka sekund wpatrywała się w otwarte drzwi.

W końcu wzięła głęboki oddech. Musi sobie poszukać innej pracy. Tu jest nie do zniesienia. Nie da się wytrzymać. Tu...

- Victoria. - W drzwiach pojawił się Robert.

- O nie, gorszego początku dnia nie można sobie wyobrazić - mruknęła.

Robert gniewnie zmarszczył czoło i spojrzał na zegar na nocnym stoliku.

- Cóż złego cię spotkało o tak wczesnej porze?

- Muszę wrócić do swoich obowiązków - próbowała się go pozbyć.

- Nakarmić małego Neville'a? - Złapał ją za ramiona i nogą zamknął za sobą drzwi. -

Nie ma pośpiechu. Neville wyjechał na przejażdżkę konną z moim przyjacielem Ramsayem, który zgodził się opiekować bachorem do południa.

Zamknęła na moment oczy, nagle wróciły wspomnienia. Robert zawsze umiał zapanować nad sytuacją, nie zapominał o najmniejszym szczególe. Powinna się domyślić, że jeśli chce się z nią zobaczyć sam na sam, to znajdzie sposób, żeby pozbyć się Neville'a.

Gdy otworzyła oczy, on bez większego zainteresowania oglądał książki na nocnym stoliku.

- Żadnych romansów? - zapytał, biorąc do ręki naukową rozprawę o astronomii.

Na moment mocniej zacisnęła zęby.

- Nie czytuję już romansów. Przestały mnie bawić. Robert przejrzał książkę.

- Nie wiedziałem, że pasjonujesz się astronomią. Powstrzymała się od wyznania, że patrząc na księżyc i gwiazdy, czuje się bliżej niego. A raczej bliżej osoby, za którą kiedyś go uważała.

- Drogi panie - powiedziała z westchnieniem. - Czemu pan to robi?

Wzruszył ramionami i usiadł na jej małym łóżku. Niby co?

- A to! - Uniosła ręce. - Wchodzisz do mojego pokoju. Siadasz na moim łóżku. - Zmrużyła oczy, jakby dopiero w tej chwili uświadomiła sobie całą niestosowność jego zachowania. - Siedzisz na moim łóżku. Złaż z niego, na litość boską.

Bez pośpiechu się uśmiechnął.

- Możesz mnie zgonić.

- Nie jestem naiwna, żeby się nabrać na takie numery.

- Nie? - Oparł głowę na jej poduszce i położył nogi na łóżku. - Nie przejmuj się, mam czyste buty.

Victoria zmarszczyła brwi, chwyciła miskę z wodą po myciu i chlusnęła mu na głowę.

- Cofam się w rozwoju - odezwała się zjadliwie. - Jak jest okazja, staję się dziecinna.

- Jezu Chryste! Kobieto! - jęknął Robert, podrywając się z łóżka. Po twarzy spływały mu strużki wody, mocząc krawat i koszulę.

Victoria oparła się o ścianę i zadowolona z siebie założyła ręce na piersi.

- A wiesz, że czasami myślę, że jednak jest na świecie sprawiedliwość? - mówiła z pełnym satysfakcji uśmiechem.

- Ani się waż powtórzyć tego wyczynu.

- A bo co? Bo uwłaczam twojemu honorowi? Nie wiedziałam, że go masz.

Ruszył w jej stronę z groźną miną. Victoria zerwałaby się do ucieczki, gdyby za plecami nie miała ściany.

- Jeszcze tego pożałujesz - wycedził groźnie.

Nie mogła się powstrzymać od śmiechu.

- Robert - odezwała się z udawaną życzliwością. - Nigdy w życiu tego nie pożałuję. Zawsze będę cieszyć się tą chwilą. Będę ją traktować jak prawdziwy skarb. To przypuszczalnie ostatnia rzecz, jakiej mogłabym pożałować.

- Lepiej nic nie mów - rzucił oschle.

Zamilkła, ale nie przestała się uśmiechać.

Podchodził coraz bliżej, aż znalazł się o włos od niej.

- Jak mnie jeszcze raz polejesz - mówił zniżonym i ochrypłym głosem - to, do jasnej cholery, będziesz mnie musiała wysuszyć.

Umknęła na bok.

- Może ręcznik? Chętnie ci pożyczę swój.

Odwrócił się i znów stanął naprzeciw niej. Końcami palców dotknął jej podbródka. Rozpalony był cały, ale oczy wręcz pałały ogniem.

- Czekałem na to całe życie - szepnął, napierając na nią ciałem.

Sukienka pomoczyła się od jego ubrań, ale Victoria nie czuła nic prócz gorącego Roberta.

- Nie - zaprotestowała cicho. - Nie rób tego.

Z jego oczu biła dziwna desperacja.

- Nie mogę się powstrzymać - wydusił. - Jak mi Bóg miły, nie mogę.



Powoli zbliżał usta do jej ust. Na moment się zawahał, jakby przypomniał sobie, co się stało przed chwilą. A potem lekkim ruchem objął Victorię, chwycił za głowę i pocałował.

Nie zwracając uwagi na to, że spinki spadają na podłogę, wplótł dłoń w jej gęste włosy. Były w dotyku takie same jak dawniej - jedwabiste i gęste, a ich zapach doprowadzał go do szaleństwa. Cicho wymawiał jej imię, zapominając na moment o nienawiści do niej - za to, że go opuściła i sprawiła, że przez tyle lat jego serce było martwe. Zdał się wyłącznie na instynkt, a ten uznał, że miejsce Torie jest i będzie w ramionach Roberta.

Całując ją namiętnie, próbował spić z niej esencję tego wszystkiego, co ominęło go przez siedem lat. Wodził dłońmi po całym ciele, jakby próbował przypomnieć sobie wszystkie jej kształty.

- Torie - wyszeptał, przesuwając wargami po jej szyi. - Nigdy... Żadna kobieta...

Victoria odchyliła głowę do tyłu. Cały rozsądek uleciał z niej wraz z pierwszym pocałunkiem. Sądziła, że już zapomniała, jak to jest być w jego ramionach i czuć na skórze jego usta.

Ale nie. Każdy dotyk był znajomy i zdumiewająco podniecający. A gdy kładł ją na łóżko, nawet przez myśl jej nie przeszło, żeby zaprotestować.

Ciężarem swego ciała przycisnął ją do materaca. Jedną ręką sięgnął pod jej kolano i delikatnie przesunął do góry.

- Chcę się z tobą kochać, Torie - powiedział drżącym z namiętności głosem. - Kochać się z tobą, aż nie będziesz w stanie myśleć. - Jego dłoń wędrowała coraz wyżej po udzie aż do miejsca, gdzie kończyła się pończocha. - Chcę się z tobą kochać tak, jak powinienem się kochać wtedy.

Victoria jęknęła z rozkoszy. Od siedmiu lat nikt jej nie przytulał i czuła głód fizycznego kontaktu. Wiedziała, co znaczy być pieszczoną i całowaną, ale aż do tej chwili nie miała pojęcia, jak bardzo jej tego brakowało. Robert zabrał rękę i Victoria poczuła, że odpina sobie bryczesy...

- O, nie! Boże! - krzyknęła, próbując go odepchnąć. - Nie, Robercie - powtórzyła, wysuwając się spod niego. - Nie mogę.

- Nie rób tak - ostrzegł wpatrzony w jej oczy. - Nie zwódź mnie...

- Ty chcesz tylko jednego, prawda? - powiedziała wstając z łóżka. - Zawsze chodziło ci tylko o jedno.

- Oczywiście o to też - mruknął z miną wyrażającą cierpienie.

- Boże, ale jestem głupia. - Złożyła ręce na piersi i przyjęła pozycję obronną. - Można by powiedzieć, że dopiero teraz dostałam nauczki.

- Ja też - rzekł z goryczą.

- Odejdź, proszę.

Idąc do drzwi, odwrócił się na chwilę.

- Prosisz? Piękne maniery.

- Bardziej uprzejma być nie potrafię.

- Ale dlaczego mam odejść? - Ruszył w jej stronę. - Dlaczego z tym walczyć? Sama wiesz, że mnie pragniesz.

- Nie w tym rzecz! - Nagle z przerażeniem zdała sobie sprawę, że się zdradziła. Nie wiedziała, jak się wycofać z tych słów, więc ściszyła głos i powiedziała: - Robert, na miłość boską, czy ty rozumiesz, co robisz? Chcą mnie wyrzucić z tej posady. A ja nie mogę sobie na to pozwolić. Gdyby ktoś zastał cię w moim pokoju, to wyleciałabym z hukiem.

- Naprawdę? - Sprawiał wrażenie zaintrygowanego tą perspektywą.

- Zdaję sobie sprawę - mówiła spokojnie i starannie ważyła słowa - że nie darzysz mnie zbyt ciepłym uczuciem. Ale proszę cię, wyjdź stąd dla naszego wspólnego dobra! - Nie podobało jej się, że te słowa brzmią jak prośba o jałmużnę, ale nie miała wyboru. On wyjedzie i wróci do swego życia. A ona musi tu zostać i tu żyć.

Pochylił się, w jego niebieskich oczach dominowały skupienie i determinacja.

- Dlaczego tak ci zależy na tej posiadzie? Nie wydaje mi się, żebyś była nią zachwycona.

Victoria zachnęła się.

- Oczywiście, że nie jestem zachwycona. Czy myślisz, że przyjemnie jest spełniać zachcianki najbardziej krnąbrnego pięciolatka na świecie? Myślisz, że lubię, jak zwraca się do mnie jak do maminego kundla? Zastanów się. Na to chyba cię stać.

Zignorował tę obraźliwą uwagę.

- Więc dlaczego nie odchodzisz?

- Bo nie mam wyboru! - wybuchła. - Czy ty rozumiesz, co to znaczy nie mieć wyjścia? Rozumiesz? Oczywiście, że nie. - Odwróciła się plecami, aby nie zdradzać swoich emocji.

- Dlaczego nie wyjdiesz za mąż?

- Bo... - zająknęła się. Jak mu mogła powiedzieć, że nigdy nie poznała mężczyzny takiego jak on? Chociaż ją okłamywał, wiedziała, że nikt nigdy nie da jej tyle szczęścia, ile zaznała przez tamte dwa krótkie miesiące.

- Idź już - powiedziała ledwie słyszalnym głosem. - Idź.

- Torie, to jeszcze nie koniec.

Udała, że nie słyszy tego pieszczotliwego zdrobnienia.

- To koniec. To powinno się skończyć, zanim jeszcze się zaczęło.

Wpatrywał się w nią całą minutę.

- Zmieniłaś się - rzekł w końcu.

- Nie jestem tą samą dziewczyną, którą próbowałeś wykorzystać, jeśli o to ci chodzi. - Stała wyprostowana i dumna. - Minęło siedem lat. Jestem inną osobą. Ty pewnie także.

Wyszedł z pokoju bez słowa i szybko przemknął z części dla służby do skrzydła gościnnego, w którym otrzymał pokój.

Na co on, do diabła, liczył?

Nie przemyślał wszystkiego do końca. Innego wyjaśnienia nie było. Bo po co organizował przedpołudnie podopiecznemu Victorii, a potem zakradał się do jej pokoju?

- Ponieważ przy niej czuję, że żyję - szepnął do siebie.

Nie pamiętał, kiedy ostatnio doznał takiej harmonii uczuć. Nie pamiętał, kiedy ostatnio czuł taki przyływ energii.

No, niezupełnie. Pamiętał doskonale. To było wtedy, gdy po raz ostatni trzymał ją w objęciach. Siedem lat temu.

Pocieszał się nieco, że ona także nie zaznała szczęścia przez te wszystkie lata. Ukartowała sobie, że wyjdzie za mąż za bogacza, a skończyła na marnej posadce guwernantki.

Jej sytuacja nie wygląda różowo. On być może jest w środku martwy, ale przynajmniej wolno mu robić, co zechce. A Victoria zarabia na życie pracą, której nienawidzi, a na dodatek stale się boi, że może ją stracić.

I wtedy przyszedł mu do głowy szatański pomysł, jak za jednym posunięciem dokonać zemsty i zdobyć Victorię.

Drgnął na myśl, że znów weźmie ją w ramiona i będzie całował każdy zakątek jej delikatnego ciała.

Doszedł do wniosku, że jeśli w takiej niedwuznacznej sytuacji zastaną ich jej chlebodawcy, to nie pozwolą, aby dalej troszczyła się o ich ukochanego Neville'a.

Victoria pójdzie na bruk. Nie przypuszczał, żeby chciała wracać do ojca. Jest na to zbyt dumna. Zostanie sama jak palec. Nie będzie miała nikogo.

Oprócz niego.

Tym razem musiał opracować precyzyjny plan.

Dwie godziny leżał bez ruchu na łóżku, nie zwracał uwagi na pukanie do drzwi ani gong oznajmujący koniec śniadania. Z rękami pod głową wpatrywał się w sufit i planował.

Jeśli chce zwabić Victorię do łóżka, musi ją zauroczyć. Nie przewidywał, by miał z

tym kłopoty. Siedem ostatnich lat mieszkał w Londynie i nauczył się korzystać ze swojego czaru.

Uchodził za mężczyznę obdarzonego największym urokiem osobistym w całym towarzystwie i dlatego nigdy nie brakowało mu kobiet.

Ale Victoria stanowiła innego rodzaju wyzwanie. Nie ufała mu i najwyraźniej była przekonana, że chodzi mu tylko o to, żeby ją uwieść. Co oczywiście było prawdą i wcale nie zamierzał przekonywać jej do czystości swoich zamiarów.

Najpierw musi odzyskać jej przyjaźń. To konieczne, chociaż nie czuł się zbyt dumny z siebie, myśląc o swych zamiarach.

Victoria na pewno będzie chciała go odepchnąć. Nie miał wątpliwości. Hmm... Powinien zatem być nie tylko uroczy, ale i wytrwały. I prawdopodobnie bardziej wytrwały niż uroczy.

Wstał z łóżka, skropił twarz zimną wodą i wyszedł z pokoju. Miał przed sobą tylko jeden cel.

Odszukać Victorię.

Siedziała w cieniu drzewa, wyglądała cudownie i niewinnie, ale Robert starał się tego nie zauważać. Dwadzieścia metrów dalej Neville wykrzykiwał coś o Napoleonie i zawzięcie machał zabawkową szabelką. Nie spuszczał podopiecznego z oka, Victoria powoli pisała coś w notatniku.

- Nie wydaje się, że to taka straszna praca - zagadnął, siadając obok niej na ziemi. - Siedzisz w cieniu drzewa i rozkoszujesz się słonecznym popołudniem...

Westchnęła.

- Chyba mówiłam, żebyś się ode mnie odczepił.

- Niezupełnie. Zdaje się, że tylko wyprosiłaś mnie z pokoju. I wyszedłem.

Popatrzyła na niego jak na największego durnia świata.

- Robert. - Nie musiała nic dodawać. Jej gniewny ton mówił wszystko.

Wzruszył ramionami.

- Zateśniłem za tobą. Pochyliła głowę.

- Lepiej wymyśl coś bardziej przekonującego. Podparł się na łokciach.

- Podoba ci się na wsi?

- Jak śmiesz przychodzić tu i wdawać się w pogaduszki?

- Myślałem, że między przyjaciółmi to normalne.

- Nie jesteśmy przyjaciółmi. Uśmiechnął się zawadiacko.

- Ale moglibyśmy być.

- Nie - powiedziała zdecydowanym tonem. - Nie moglibyśmy.

- Ojej, Torie, nie musisz się unosić.

- Nie... - Przerwała, bo zdała sobie sprawę, że właśnie się unosi. Przełknęła ślinę i przybrała spokojniejszy ton. - Nie unoszę się.

Uśmiechnął się czarująco.

- Robert...

- Lubię, jak wypowiadasz moje imię. - Westchnął. - Zawsze lubiłem.

- Drogi panie... - zaczęła.

- Jeszcze lepiej. Sugeruje podległość, która wydaje mi się bardzo pociągająca.

Zrezygnowana odwróciła się tyłem.

- Co tam piszesz? - zapytał, spoglądając jej przez ramię. Znieruchomiła, gdy poczuła na szyi jego oddech.

- Nic ci do tego.

- Dziennik?

- Nie. Odejdź stąd.

Zrezygnował z uroku osobistego na rzecz wytrwałości i wyciągnął szyję, żeby lepiej widzieć.

- Piszesz o mnie?

- Już mówiłam, że to nie dziennik.

- Nie wierzę. Odwróciła się.

- Mógłbyś przestać wtykać... - Przerwała, bo znalazła się ledwie kilka milimetrów od jego twarzy. Cofnęła głowę.

Uśmiechnął się.

Cofnęła się jeszcze bardziej.

Uśmiechnął się szerzej.

Cofnęła się jeszcze bardziej i... Upadła.

Robert zerwał się na równe nogi i podał jej rękę.

- Pomóc ci?

- Nie! - Wstała, zabrała koc i przeniosła się pod inne drzewo. Miała nadzieję, że Robert zrozumie ten gest Oczywiście nie zrozumiał.

- Nie powiedziałaś jeszcze, co piszesz. - Usiadł obok niej.

- Na miłość boską. - Wcisnęła mu notes do rąk. - Poczytaj sobie, jeśli musisz!

Przeczytał kilka linijek i uniósł brwi.

- Konspekt lekcji.

- Jestem guwernantką - przypomniała mu szyderczym tonem.

- I to dobrą - pochwalił.

Odwróciła oczy.

- Skąd wiadomo, jak być guwernantką? - zapytał. - Chyba nie ma specjalnych szkół.

Victoria na moment zamknęła oczy i próbowała zwalczyć przyływy nostalgii. Dokładnie takie same pytania Robert zadawał, gdy byli młodszy.

- Nie wiem - odpowiedziała w końcu. - Ja staram się naśladować matkę. Zanim umarła, uczyła mnie i Ellie. Później ja przejęłam jej rolę i uczyłam Ellie aż do momentu, gdy już nic więcej nie mogłam jej przekazać.

- Nie mogę sobie wyobrazić, żeby zabrakło ci tematów do nauczania.

Uśmiechnęła się.

- Jak Ellie skończyła dziesięć lat, to ona zaczęła mnie uczyć matematyki. Zawsze miała... - Przerwała przerażona, uświadomiwszy sobie, jak miło jej się z nim gawędzi.

Przywołała się do porządku. - Nieważne...

Robert uśmiechnął się kąciakiem ust, jakby dokładnie wiedział, o co jej chodzi. Zajrzał do notatnika i przewrócił kartkę.

- Widać, że jesteś dumna z tego, co robisz. A myślałem, że nienawidzisz tej pracy.

- Nienawidzę. Ale to nie oznacza, że mam ją wykonywać byle jak. Postępowałabym nieuczciwie wobec Neville'a.

- Neville to łobuziak.

- Tak, ale zasługuje na dobre wykształcenie. Wyglądał na zaskoczonego jej słowami. Ta spryciara, która próbowała wyjść za mąż dla majątku, teraz z całym sercem oddaje się pracy nad zapewnieniem wykształcenia małemu, nieznośnemu chłopcu. Oddał jej notatnik.

- Szkoda, że nie miałem takiej guwernantki jak ty.

- Byłeś pewnie jeszcze gorszy od Neville'a - odparła.

Ale powiedziała to z uśmiechem.

Serce mocniej mu zabiło. Musiał sobie na nowo przypomnieć, że jej nie lubi i ma zamiar uwieść ją i zrujnować.

- Przypuszczam, że temu chłopcu potrzeba odrobiny dyscypliny.

- Ach, gdyby to było takie proste. Lady Hollingwood zakazała mi go upominać.

- Wiesz, jak moja młodsza kuzynka Harriet mówi o lady Hollingwood? Że ma kielbki we łbie.

- Więc dlaczego przyjechałeś do niej na przyjęcie? Puszyła się jak paw, że będzie gościć pana hrabiego.

- Sam nie wiem. - Zawahał się i pochylił do przodu. - Ale cieszę się, że przyjechałem.

Przez kilka sekund trwała w bezruchu, jakby to mogło ją ocalić.

- Nie rób tego - wyszeptła w końcu.

- Tego? - Wyciągnął szyję i delikatnie musnął ustami jej policzek.

- Nie! - powiedziała ostro, przywołując cały gniew, jaki czuła przed laty po jego nagłym wyjeździe. Nie chciała, by znowu złamał jej serce. Jeszcze nie wydobrzało po tamtym ciosie. Obejrzała się za siebie i wstała. - Muszę Zająć się Neville'em. Nigdy nie wiadomo, co mu przyjdzie do głowy. - Neville! Neville!

Chłopiec przybiegł do niej.

- Czego, Lyndon? - zapytał niegrzecznie.

Victoria zacisnęła zęby, próbując ignorować jego zuchwałość. Już dawno zrezygnowała z przypominania, że ma się do niej zwracać „panno Lyndon”.

- Neville...

Nie dane jej jednak było dokończyć zdania, bo w ułamku sekundy Robert wstał i podszedł do chłopca.

- Jak ty się odzywasz, co? - zapytał ostro. - Jak ty się zwracasz do guwernantki?

Neville rozdziawił usta.

- Powiedziałem do niej... To znaczy... Eee...

- Zwróciłeś się do niej „Lyndon”, tak?

- Tak, proszę pana. Ja...

- Czy wiesz, że to jest elementarny brak szacunku? Tym razem Victoria otworzyła usta ze zdumienia.

- Nie, proszę pana. Nie wiem...

- Panna Lyndon ciężko pracuje, żeby zapewnić ci wykształcenie. Tak czy nie?

Neville próbował się odezwać, ale słowa nie chciały przejść mu przez gardło.

- Od tej pory masz mówić „panno Lyndon”. Rozumiesz?

Neville patrzył na Roberta wzrokiem, w którym podziw mieszał się z przerażeniem. Energicznie pokiwał głowę.

- Dobrze - rzekł stanowczo Robert. - No to dawaj rękę.

- Dawać... rękę?

- Tak. Uściśnięcie ręki będzie oficjalnym potwierdzeniem obietnicy, że będziesz odnosić się do panny Lyndon stosownie. Żaden dżentelmen nie złamie takiej obietnicy, prawda?

Neville wyciągnął przed siebie drobną rączkę.

Uścisnęli sobie ręce i Robert poklepał chłopca po plecach.

- A teraz idź do swojego pokoju. Panna Lyndon przyjdzie tam za chwilę.

Neville prawie biegiem pomknął do domu. Victoria stała osłupiała ze zdumienia.

Odwróciła się do Roberta jak w transie.

- Co ty... Jak ty to...

Robert złożył ukłon.

- Udzieliłem ci odrobinę pomocy. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

- Nie! - odparła głosem pełnym emocji. - Nie mam. Dziękuję ci. Bardzo dziękuję.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

- Lepiej już zajmę się Neville'em. - Zrobiła kilka kroków w stronę domu, a potem odwróciła się wciąż zdumiona. - Dziękuję.

Robert stał oparty o drzewo. Był zadowolony z poczynionych postępów. Victoria nie mogła się powstrzymać od podziękowań. Taki stan rzeczy w pełni go satysfakcjonował.

Już dawno powinien był przywołać tego chłopca do porządku.



Minął cały dzień, zanim Victoria ujrzała Roberta ponownie. Cały dzień czekała, myślała i marzyła o nim, chociaż doskonale wiedziała, że postępuje źle.

Robert Kemble raz jej złamał serce i nie ma powodu sądzić, że nie uczyni tego ponownie.

Robert. Nie potrafiła nazywać go w myślach inaczej, choć był hrabią Macclesfield i dlatego postępował zgodnie z zasadami, których ona nigdy nie zrozumie.

Właśnie dlatego ją porzucił. I nigdy poważnie nie myślał o ślubie z córką biednego pastora. Prawdopodobnie dlatego ją okłamywał. W ostatnich latach dowiedziała się, że uwodzenie młodych i niewinnych kobiet uchodzi wśród arystokratów za swego rodzaju sport. A Robert po prostu postępował zgodnie z regułami obowiązującymi w tym świecie.

W jego świecie. A nie jej.

Mimo to pomógł jej z Neville'em. Wcale nie musiał tego robić. Teraz chłopiec traktuje ją jak królową. Takiego spokojnego dnia jak dzisiaj nie pamiętała w całej swojej karierze guwernantki.

Wiedziała, że herosi ścinają głowy smokom, cytują wiersze i tak dalej, ale być może w rzeczywistym świecie wystarczy poskromić niesfornego pięciolatka, by zostać bohaterem.

Pokręciła głową. Nie powinna wynosić Roberta na piedestał. I jeśli jeszcze raz spróbuje się z nią spotkać, powinna kazać mu pójść własną drogą. Nieważne, że na jego widok raduje się dusza, serce szybciej bije i...

Odpędziła od siebie te myśli i zajęła umysł bieżącymi sprawami. Odbywała z Neville'em codzienny spacer po posiadłości Hollingwoodów. Po raz pierwszy, odkąd pamięta, nie podkładał jej nogi ani nie podtykał jakichś owadów na patyku. I przy każdej sposobności zwracał się do niej „panno Lyndon”. Cieszyła się, że w końcu nauczył się dobrych manier. Być może mimo wszystko jeszcze będą z niego ludzie.

Neville wyrwał do przodu, odwrócił się i przybiegł z powrotem.

- Panno Lyndon - odezwał się ze śmiertelną powagą. - Jakie mamy na dzisiaj plany?

- Cieszę się, że pytasz, Neville - odpowiedziała. - Dzisiaj pogramy w nową grę.

- W nową grę? - Spojrzał na nią z odrobiną podejrzliwości, jak gdyby doskonale znalazł się na wszystkich wartych uwagi grach w Wielkiej Brytanii.

- Tak - potwierdziła ochoczo. - Zajmiemy się omawianiem kolorów.

- Kolorów? - Powtórzył z taką odrazą, na jaką tylko stać chłopca w jego wieku. -

Przecież ja znam się na kolorach. - Zaczął wyliczać: - Czerwony, niebieski, zielony, żółty...

- Tak, ale dzisiaj zaczniemy się uczyć o nowych kolorach - przerwała mu.

- ... purpurowy, pomarańczowy... - wykrzykiwał.

- Neville'u Hollingwood! - upomniała go surowym głosem.

Ucichł, chociaż przed interwencją Roberta na pewno by tego nie zrobił.

- Słuchasz mnie?

Skinął głową.

- Znakomicie. Na początek zajmiemy się kolorem zielonym. Istnieje wiele odcieni tego koloru. Na przykład liście z tego drzewa są inaczej zielone niż trawa, na której stoimy. Prawda?

Neville wodził wzrokiem od drzewa do trawy i z powrotem.

- Rzeczywiście - powiedział, jakby nie wierzył w to, co widzi. - Są inaczej zielone. - Nie krył podekscytowania. - I zupełnie inaczej zielone niż pasek na pani sukience!

- Bardzo dobrze. Jestem z Ciebie dumna.

Uklonił się.

- Zobaczymy, ile nam się uda znaleźć odcieni zieleni. I spróbujemy nadać im nazwy.

- Na przykład zieleń mchu na kamieniach przy stawie.

- Dobrze. Nazwijmy ją zieleń mchowa.

- A jak się nazywa zieleń na pani sukience? Victoria spojrzała na swoją codzienną sukienkę.

- Myślę, że to może być zieleń leśna.

Spojrzał na nią niepewnie.

- Jest o wiele ciemniejsza od lasu.

- Nie od lasu w nocy.

- Nigdy nie byłem nocą w lesie. Uśmiechnęła się.

- A ja byłam.

- Naprawdę? - Popatrzył na nią z podziwem.

- Uhm. A teraz wracamy do kolorów.

- Jak nazwać zieleń na sukience mamy? Na tej takiej burej, ale przecież też zielonej.

Victoria zgadzała się z oceną sukni lady Hollingwood, ale zachowała to dla siebie.

- Neville, twoja mama nie nosi sukienki „burej” - powiedziała dyplomatycznie. - Ten kolor można nazwać zielenią matową.

- Matowa... - Zamyślił się nad tym słowem, a potem wyciągnął przed siebie palec. - A zieleń stroju jaśniepana?

Poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła. Odwróciła się i westchnęła. To nie musiał być Robert. W gości przyjechało przynajmniej z dziesięciu „jaśniepanów”. Ale niestety w ich stronę zmierzał właśnie Robert.

Nie uznała tego za zbieg okoliczności.

- Dzień dobry, panno Lyndon. Dzień dobry, paniczku Neville. - Ukłonił się wytwornie.

Victoria skinęła głową, starając się zignorować to, że serce jej mocniej zabiło.

- Och - jęknęła mimowolnie. Była z siebie niezadowolona.

- Oto wspaniałe powitanie - rzekł Robert, śmiejąc się z jej reakcji.

Spojrzeni sobie w oczy i Victoria poczuła, z jakim trudem przychodzi jej oddychanie. Pewnie staliby tak wpatrzni w siebie całe popołudnie, gdyby nie przerwał im Neville.

- Panie hrabio! Panie hrabio! - dobiegło ich z dołu. W końcu Victoria i Robert skierowali wzrok na chłopca.

- Uczę się o kolorach - powiedział z dumą.

- Naprawdę? - Robert przykucnął. - A wiesz, że kolory przedmiotów zależą od właściwości padającego na nie światła? W ciemności nie widać kolorów. Naukowcy nazywają to zjawisko falową teorią światła. To dosyć niedawne odkrycie.

Neville zmarszczył brwi.

- Panie hrabio - odezwała się Victoria, nie mogąc powstrzymać się od uśmiechu. Zawsze fascynował się nauką. - Taka wiedza chyba trochę wykracza poza poziom pięciolatka.

Spojrzał na nią zmieszany.

- A tak, rzeczywiście.

Neville zakasłał, dając do zrozumienia, że chce wrócić do tematu.

- Dzisiaj - rzekł stanowczo - omawiamy zieleń.

- Zieleń, powiadasz? - Robert uniósł rękę i udawał, że z zainteresowaniem ogląda rękaw. - Ja mam zielony frak.

Neville był zachwycony uwagą, jaką mu Robert poświęcił.

- Tak, o panu hrabim też rozmawialiśmy.

Robert posłał Victorii porozumiewawcze spojrzenie.

- Naprawdę?

- Tak. - Neville także spojrzał na Victorię. - Panno Lyndon, prawda, że mówiliśmy o stroju pana hrabiego?

- Ty mówiłeś - rzuciła oschle, bo wcale ją ta rozmowa nie bawiła.

Chłopiec wskazał na rękaw Roberta.

- Jaki to odcień zieleni?

Spojrzała na tak doskonale skrojony frak, że mógłby uchodzić za dzieło sztuki.

- To zieleń butelkowa. Tak to się nazywa.

- Zieleń butelkowa - powtórzył. - Poznałem już zieleń mchową, butelkową, matową, którą ja nazywam burą...

- Neville - upomniała go.

- No dobrze - westchnął. - Nie będę mówił „bura”. Ale... - Spojrzał uważnie na Roberta. - A wie pan, jak się nazywa odcień paska na sukience panny Lyndon?

Robert wstał i badawczo przyjrzał się paskowi, który akurat znajdował się na wysokości piersi dziewczyny.

- Nie wiem - przyznał, nie odwracając się do Neville'a.

Victoria powstrzymała się przed zasłonięciem piersi.

Wiedziała, że to absurd, bo jest ubrana. Ale miała wrażenie, że Robert widzi przez tkaninę.

- To zieleń leśna - oznajmił chłopiec. - Panna Lyndon wie, bo była w lesie nocą.

Robert uniósł brwi.

- Naprawdę?

Victoria starała się odpędzić wspomnienia tamtej magicznej nocy sprzed lat, gdy w Kent wymknęła się z pokoju i biegła z Robertem po lesie. Ale to było niemożliwe. Wspomnienia powracały do niej codziennie i codziennie zadawały jej ból.

- Pan hrabia twierdzi, że w ciemności nie widać kolorów - rzuciła opryskliwie.

- Ale przecież mówiła pani, że leśna zieleń jest tak ciemna jak las nocą.

- Może w świetle księżyca - wtrącił Robert. - Wtedy widać trochę kolorów i jest bardzo romantycznie.

Victoria zmierzyła go wzrokiem i spojrzała na chłopca.

- Neville - powiedziała głosem zdradzającym, że jest bliska łez. - Pana hrabiego raczej nie interesują nasze lekcje.

Robert uśmiechnął się bez pośpiechu.

- Interesuje mnie wszystko, co robicie. Victoria ścisnęła podopiecznego za rękę.

- Nie będziemy zatrzymywać jego hrabiowskiej mości. Na pewno ma na głowie ważniejsze sprawy. Sprawy, które nie dotyczą nas.

Neville nie dawał za wygraną. Spojrzał do góry na Roberta.

- Jest pan żonaty?

Victoria odchrząknęła i zbierała się do odejścia.

- Neville, to nie nasza sprawa.

- Nie, Neville - odparł. - Nie jestem żonaty. Chłopiec potrząsnął głową.
  - Może oświadczyłby się pan pannie Lyndon. Wtedy mieszkałby pan u nas w domu.
- Robert z trudem się powstrzymywał, żeby nie parsknąć śmiechem.
- Już raz się oświadczyłem.
  - O Boże - jęknęła Victoria. Nigdy w życiu nie czuła się tak okropnie.
  - Naprawdę? - zapytał Neville. Robert wzruszył ramionami.
  - Nie chciała mnie.

Neville wlepił wzrok w Victorię.

- Odmówiła pani? - prawie krzyknął.
- Ja... Ja... - Wydukała, mając w głowie kompletną pustkę.
- Co, panno Lyndon? - naciskał Robert. Sprawiał wrażenie, że od lat się tak wybornie

nie bawił.

- Ja nie odmówiłam... Na litość boską. - Spojrzała groźnie na Roberta. - Powinien się pan wstydzić, panie hrabio.

- Wstydzić się? Czego? - Udawał niewiniątko.
- Wykorzystywania chłopca do... Do zaspokojenia swojej... Swojej...
- Czego?
- Nieświadomej potrzeby wyrządzenia mi krzywdy.
- Oskarża mnie pani, panno Lyndon, że tak nisko upadłem? Czuję się urażony.
- Nigdzie nie musiałeś upadać. Zawsze błądziłeś między rysztykiem a piekłem.
- Powiedziała pani „piekłem”? - odezwał się chłopiec.

Robert trząśnięty od tłumionego śmiechu.

- Neville, w tej chwili wracamy do domu - poleciła stanowczo Victoria.
- A co z kolorami? Nie dokończymy lekcji? - spytał Neville.

Pociągnęła go za rękę w stronę domu.

- Wypijemy herbatę w zielonym salonie. - Ani razu nie obejrzała się za siebie. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, był widok Roberta zanoszącego się od śmiechu.

Jeżeli postanowił zamęczyć ją na śmierć, myślała tego samego dnia, to dobrze mu to wychodzi.

Nie wyobrażała sobie, że ponownie ośmieli się przyjść do jej pokoju. Wyraźnie dała do zrozumienia, że sobie tego nie życzy. Ale on widocznie nic sobie z tego nie robił, bo o pierwszej po południu, gdy Neville brał lekcję jazdy konnej, bez cienia zażenowania wślizgnął się do pokoju.

- Robert! - odezwała się karcąco.

- Jesteś zajęta? - zapytał z niewinną miną, zamykając za sobą drzwi.

- Tak, jestem zajęta! - burknęła. - Wynoś się!

- Jeśli szukasz samotności, zamykaj drzwi na klucz.

- Możesz być pewien, że na przyszłość będę o tym pamiętać. - Przerwała, aby rozluźnić mięśnie szczęki. Ale nie udało się. - Czego tu chcesz? - syknęła.

Wyciągnął przed siebie talerz.

- Przyniosłem ci ciasto czekoladowe. Wiem, jak lubisz słodczyce, a nie sądzę, aby lady Hollingwood częstowała ciastem guwernantki.

- Wyjdź stąd, Robert.

Zignorował ją.

- Zapewne zdaje sobie sprawę, że jesteś od niej o niebo piękniejsza. Ale nie przyszło jej do głowy, że od ciasta trochę byś utyła.

- Czyś ty postradał zmysły?

- Ależ Victorio, co za niewdzięczność. Rozczarowałaś mnie swoimi manierami.

Miała wrażenie, że znalazła się w przedziwnym śnie. On śmie dawać jej lekcje dobrego zachowania?

- Ja chyba oszalałam - mruknęła. - Jeśli nie ty, to ja.

- Bzdura. Nic w tym złego, że dwoje przyjaciół dobrze się bawi w swoim towarzystwie.

- Taka sytuacja nie dotyczy nas, dobrze o tym wiesz. - Położyła dłonie na biodrach. - I chcę cię prosić, żebyś nigdy więcej nie wdawał się w głupie gadki w obecności Neville'a. To nie fair.

Uniósł rękę do przysięgi.

- Nigdy więcej w obecności Neville'a.

- Dziękuję.

- Ale przekonałem go, żeby zwracał się do ciebie „panno Lyndon”, czyż nie?

Jego błazeństwa doprowadzały ją do pasji, ale musiała szczerze przyznać, że jest mu winna podziękowania.

- Tak, bardzo ci dziękuję za wczorajszą interwencję, ale...

Machnął ręką.

Nic takiego.

Mimo wszystko dziękuję. Jednak...

- Chłopcu trzeba silnej ręki.

- Zgadzam się, tylko...

Niedobrze, że ja się muszę za to brać. To zadanie dla rodziców.

Czy ty mnie chcesz powstrzymać przed powiedzeniem tego, co mam do powiedzenia?

Być może... - Oparł się o futrynę. - Bo wiem, że zamierzasz mnie wyrzucić.

- No właśnie.

- Marny pomysł.

- Co takiego?

- Mówię, że to marny pomysł. Odradzałbym. Poirytowana ściągnęła brwi.

- To chyba mój najlepszy pomysł od długiego czasu.

- Przecież nie chcesz pozbawiać się mojego towarzystwa.

- Dokładnie do tego dążę.

- Rozumiem. Ale beze mnie będzie ci smutno.

- Z całą pewnością ja lepiej od ciebie potrafię ocenić swoje emocje.

- Wiesz, na czym polega twój największy problem z Neville'em?

- Ty mi powiesz?

- Nie umiesz być surowa.

- Co takiego? Jestem guwernantką. Żyję z tego, że jestem surowa.

Wzruszył ramionami.

- Słabo ci to idzie.

Ze zdumienia otworzyła usta.

- Jestem guwernantką od siedmiu lat. I zaledwie wczoraj sam mówiłeś, że jestem w tym dobra.

- W robieniu konspektów lekcyjnych i tym podobnych. - Lekceważąco machnął ręką. - Ale jeśli chodzi o dyscyplinę... Cóż, nigdy nie byłeś w tym najlepsza.

- Nieprawda.

- Nigdy nie umiałaś okazać surowości. - Dotknął jej policzka. - Dokładnie pamiętam z tamtych czasów. Próbowałaś być dla mnie bezwzględna, ale w oczach zawsze pozostawało wiele ciepła. Przypuszczam, że nawet nie umiesz zrobić naprawdę srogiej miny.

Patrzyła na niego podejrzliwie. O co mu chodzi? Gdy wczoraj wpadł do jej pokoju, rozsadzała go furia. A teraz jest miły i przyjazny. I uroczy.

- Mam rację? - zapytał, wchodząc jej w myśl. Spojrzała w jego stronę przenikliwym wzrokiem.

- Znów chcesz mnie uwieść, tak?

Niczego nie jadł, niczego nie pił, a mimo to się zakrztusił. Victoria musiała uderzyć go w plecy.

- Nie do wiary, że tak sądzisz - powiedział w końcu.

- To prawda?

- Ależ skąd.

- A więc to prawda.

- Victoria, czy ty słuchasz, co do ciebie mówię? Zanim zdążyła odpowiedzieć, rozległo się pukanie do drzwi. Victoria z przerażeniem spojrzała na Roberta, który przyłożył palce do ust, chwycił talerz z ciastem i podszedł na palcach do szafy. Victoria z niedowierzaniem patrzyła, jak wciska się do środka. Musiało mu być bardzo niewygodnie.

- Panno Lyndon, proszę natychmiast otworzyć! - Lady Hollingwood nie sprawiała wrażenia zadowolonej. - Wiem, że tam jesteś.

Victoria podbiegła do drzwi, dziękując Stwórcy, że Robert okazał się na tyle bezczelny, aby przekręcić klucz.

- Przepraszam, lady Hollingwood - powiedziała, otwierając drzwi. - Zdrzemnęłam się trochę. Często tak robię, gdy Neville idzie na konie.

Lady Hollingwood badawczo rozejrzała się po pokoju.

- Z całą pewnością słyszałam tu czyjeś głosy.

- Ach, pewnie musiałam mówić przez sen - szybko wyjaśniła Victoria. - Siostra zawsze się skarżyła, że pół nocy nie śpi przez to moje gadanie.

- Co za dziwactwo - stwierdziła z odrazą lady Hollingwood.

Victoria wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Przychodzi pani w sprawie lekcji Neville'a, prawda?

- O jego postępy zapytam cię we środę. Jak zwykle. Przyszłam tu w poważniejszej sprawie.

Serce Victorii zamarło. Lady Hollingwood chce ją odprawić. Widziała ją z Robertem. A może nawet zauważyła, jak dziesięć minut temu wchodzi do jej pokoju. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale nie umiała znaleźć nic na swoją obronę. W każdym razie nic, co przemówiłoby do lady Hollingwood.

- Zachorowała panna Hypathie Vinton - oświadczyła chlebodawczyni.

Victoria zamrugła oczami. Tylko tyle?

- Mam nadzieję, że to nic poważnego.

- Nie. Rozstrój żołądka czy coś takiego. Moim zdaniem przeszłoby jej do rana, ale uparła się, żeby wracać do domu.

- Rozumiem. - Victoria zastanawiała się, jaki to ma związek z jej osobą.

- I teraz brakuje nam jednej damy na jutrzejszą kolację. Będziesz musiała zająć jej



miejsce.

- Ja? - jęknęła.

- To rzeczywiście okropne. Ale nie widzę innego wyjścia.

- A co z dzisiejszym wieczorem? Też będzie brakowało jednej kobiety.

Dama spojrzała z wyższością na Victorię.

- Tak się złożyło, że jeden z panów zaoferował się odwiedzić Hypatię do domu, więc będzie nas po równo. Nie musisz mnie naciągać na drugie zaproszenie. Nie chcę narażać gości na twoją obecność częściej niż to konieczne.

Victorię ciekawiło, czemu więc ją prosi, skoro to takie kłopotliwe.

- Tylko pytam, proszę pani.

Lady Hollingwood zmarszczyła czoło.

- Umiesz zachować się w towarzystwie, prawda?

- Moja matka była damą w każdym calu - powiedziała chłodno. - Ja również.

- Jeżeli mnie zawiedziesz, bez krzty wahania cię wyrzucę. Rozumiesz?

Jak mogłaby tego nie zrozumieć? Przecież chlebodawczyni każdego dnia groziła, że ją wyrzuci.

- Oczywiście, proszę pani.

- Dobrze. Pewnie nie masz w co się ubrać.

- Nie mam nic stosownego na taką okazję.

- Przyślę ci jedną z moich starych sukni. Powinna pasować.

Victoria powstrzymała się od komentarza, że lady jest od niej grubsza, bo uznała, że to nie leży zbyt w jej interesie. Poprzestała na wyrażeniu zgody.

- Kilka lat temu wyszła z mody, ale nikt nie będzie tego komentował. W końcu jesteś tylko guwernantką.

- Oczywiście.

- No dobrze. O ósmej podajemy napoje, a pół godziny później kolację. Nie chcę, abyś miała z moimi gośćmi kontakt dłużej niż to konieczne.

Victoria musiała ugryźć się w język.

- Zatem do widzenia. - Lady Hollingwood wymaszerowała z pokoju.

Ledwie Victoria zamknęła drzwi, z szafy wyskoczył Robert.

- Ale krówsko! - stwierdził. - Jak ty ją znosisz?

- Nie mam wyboru - odparła. Popatrzył na nią w zamyśleniu.

- Nie. Chyba nie masz.

Victoria poczuła, jak narasta w niej gniew. Jej trudna sytuacja życiowa to jedno. Ale

jego uwagi to zupełnie coś innego.

- Lepiej już idź.

- Tak, oczywiście - zgodził się. - Na pewno masz swoje obowiązki. Obowiązki guwernantki.

Założyła ręce na piersi.

- I więcej tu nie przychodź.

- Dlaczego? Całkiem wygodnie w tej szafie.

- Robert... - zaczęła ostrzegawczo.

- No dobrze. Ale najpierw podziękowania za czekoladowe ciasto. - Pochylił się i śmiało ją pocałował. - To będzie mi musiało wystarczyć na całe popołudnie.

Wytarła usta grzbietem dłoni.

- Podlec.

Zachichotał.

- Nie mogę się doczekać jutrzejszego wieczoru, panno Lyndon.

- Nawet się do mnie nie zbliżaj. Uniósł brwi.

- Chyba tego nie unikniesz.

Przez cały wieczór i poranek następnego dnia nie było żadnych wieści od Roberta i Victoria zaczęła się łudzić, że w końcu dał jej spokój.

Mylła się.

Znalazł ją kilka godzin przed planowaną porą kolacji. Energicznym krokiem szła przez hol, gdy nagle pojawił się przed nią Robert. Podskoczyła przerażona.

- Robert! - zawołała, przykładając dłoń do piersi, aby uspokoić skołatane serce. Wzięła głęboki oddech i rozejrzała się, czy w pobliżu nikogo nie ma. - Nigdy więcej nie strasz mnie w ten sposób.

Uśmiechnął się szelmowsko.

- Chciałem ci zrobić niespodziankę.

- Obejdzie się - burknęła.

- Sprawdzam tylko, jak ci idą przygotowania do wielkiego debiutu.

- Nie jestem debiutantką - odparła. - A jeśli musisz wiedzieć, to boję się przeraźliwie. Nie przepadam za arystokratami i na myśl, że spędzę kilka godzin w ich towarzystwie, cierpnie mi skóra.

- A co ci zrobili arystokraci, że tak ich nie lubisz? Któryś nie chciał się z tobą ożenić?

- Spojrzał świdrującym wzrokiem. - Szkoda, że wszystkie twoje plany wzięły w łeb. Nieźle się natrudziłaś, knując, jak postawić na swoim.

- Nie wiem, o czym mówisz - odparła zdziwiona.

- Nie?

- Muszę już iść. - Chciała ominąć go lewą stroną, ale zastąpił jej drogę. - Robert!

- Nie mogę się doczekać kolacji w twoim towarzystwie.

- Daj spokój - powiedziała, lekceważąc jego słowa, jego oczach widziała wyraźną niechęć.

- Nie wierzysz mi? - zapytał.

- Twoje usta mówią co innego niż oczy. A poza tym dawno temu nauczyłam się nie wierzyć w ani jedno twoje słowo. Zawrzała w nim złość.

- Co to ma znaczyć, do diabła?

- Już ty dobrze wiesz.

Ruszył do przodu i przyparł ją do ściany.

- To nie ja kłamałem - powiedział niskim głosem, wbijając palce w jej ramiona.

Podniosła wzrok.

- Zejdź mi z drogi.

- Żebym stracił okazję do tak pouczającej konwersacji? Nie ma mowy.

- Robert, jeśli ktoś nas zobaczy...

- Dlaczego ty ciągle się boisz, że ktoś nas zobaczy?

Złość wezbrała w Victorii już do takiego poziomu, że zaczęła dygotać.

- Jak w ogóle śmiesz o to pytać? - syknęła.

- Nie brakuje mi śmiałości, kochanie.

Świerbiła ją ręka. Jego policzek był blisko. I wyglądałby wspaniale z czerwoną pręgą.

- Po raz ostatni proszę...

- Już po raz ostatni? To dobrze. Trochę mnie to znudziło.

- Zacznę krzyczeć.

- I sprowadzisz wszystkich, którym tak bardzo nie chcesz się pokazywać?

- Robert...

- Och, na Boga. - Otworzył najbliższe drzwi, chwycił ją za rękę i pociągnął do środka.

- Proszę. Teraz jesteśmy sami.

- Oszalałeś? - Nerwowo rozglądała się dokoła, żeby ustalić, gdzie są.

- Spróbuj się uspokoić. - Stał przy drzwiach w pozycji nieubłaganego bóstwa. - To mój pokój. Nikt nas tu nie znajdzie.

- To nie jest skrzydło gościnne - zauważyła.

Wzruszył ramionami.

- Lady Hollingwood skończyły się pokoje, więc umieściła mnie w części rodzinnej.

Podobno ze względu na mój hrabiowski tytuł.

- Dobrze wiem o twojej pozycji i płynących z niej przywilejach - wycodziła lodowatym tonem.

Pominał ten przytyk milczeniem.

- A więc teraz jesteśmy sami i możemy swobodnie dokończyć rozmowę.

- Nie przyszło ci nigdy do głowy, że ja cię po prostu nie lubię? I że właśnie z tego powodu nie chcę zostać sam na sam z tobą?

- Nie.

- Robert, ja mam swoje zajęcia. Nie mogę tu być.

- Ciekawe, jak wyjdiesz - rzekł, opierając się o drzwi.

- Nie narażaj mnie na utratę posady. Ty sobie możesz wrócić do Londynu i dalej wieść

beztroskie życie - mówiła gniewnym głosem. - Ja takiej możliwości nie mam.

Delikatnie pogładził ją po policzku.

- Miałaś wyjście, gdybyś tylko się zdecydowała.

- Przestań. - Nienawidziła siebie za to, że jego dotyk sprawia jej przyjemność.

Odwróciła się plecami. - Sprawiasz mi ból.

Łagodnie położył dłonie na jej ramionach.

- To dla mnie najcudniejszy z komplementów.

- Komplement? - krzyknęła, wrywając mu się z rąk. - Masz wypaczoną moralność.

- Nadzwyczaj dziwne, że to właśnie ty mówisz takie słowa.

- Ja nie trwonię całego czasu na uwodzenie niewinnych dziewczyn.

- A ja nie próbuję sprzedawać ciała i życia za tytuł i majątek.

- I kto to mówi? Ty, który już zaprzedałeś duszę!

- Może to wyjaśnisz? - warknął.

I w tym momencie poczuła, że ma dosyć jego tonu głosu, więc powiedziała: - Nie.

- Nie prowokuj mnie, Victoria.

- To ty mnie nie prowokuj - ostrzegła. - Nie masz najmniejszego prawa wydawać mi polecenia. Mogłeś mieć... - Załamał jej się głos i przerwała, żeby wziąć się w garść. - Wszystko mogłeś mieć, ale się zrzekłeś.

- Czyżby?

- Nie ma sensu o tym rozmawiać. Sama nie wiem, po co zaczęłam.

- Nie wiesz?

- Nie dotykaj mnie. - Cofnęła się kilka kroków, ale on ruszył za nią. Promieniował charakterystycznymi dla siebie ciepłem i męskością. Poczwała ciarki na skórze.

- Mów dalej - rzekł łagodnie. - Dobrze wiesz, że sprawy między nami nigdy nie zostały do końca rozwiązane.

Wiedziała, że to prawda. Ich związek urwał się nagle. I pewnie dlatego to spotkanie po latach jest tak trudne. Ale teraz nie chciała na Roberta patrzeć. Pragnęła tylko zapomnieć.

Bała się, że po raz drugi złamie jej serce, jeżeli znowu będą się spotykać.

- Zaprzecz temu - szepnął. - Nalegam.

Milczała.

- A więc nie zaprzeczasz? - Przeszedł przez pokój, wziął ją w ramiona i oparł brodę na jej głowie. Setki razy stali tak objęci, ale nigdy wcześniej nie odczuwali przy tym tak wiele gorczy. Robert nie wiedział, dlaczego ją przytula. Wiedział tylko, że nie może zachować się inaczej.

- Czemu to robisz? - szepnęła. - Czemu?

- Sam nie wiem. - I na Boga, to była prawda. Powtarzał sobie, że chce ją zrujnować. Część jego duszy nadal pragnęła zemsty. Przecież Victoria tak bardzo go zraniła i przez wiele lat jej za to nienawidził.

Ale przytulanie tej dziewczyny było tak stosowne. Nie znajdował na to innego słowa. Żadna inna kobieta tak idealnie do niego nie pasowała, a przez minione siedem lat próbował dopasować wiele z nich, gdy w desperacji chciał pozbyć się z pamięci tej jednej.

Czy naprawdę można jednocześnie kochać i nienawidzić? Wcześniej w to nie wierzył, ale teraz nie był już tego pewien. Przesunął usta po ciepłej skórze jej skroni.

- Czy inni mężczyźni tak cię przytulali? - szepnął, z lękiem oczekując odpowiedzi. Choć sądził, że Victorii zależało tylko na jego majątku, to czuł zazdrość na myśl o innym mężczyźnie u jej boku.

Nie odpowiedziała od razu. Robert był cały spięty. Po chwili pokręciła głową.

- Dlaczego? - zapytał z odrobiną rozpaczony w głosie. - Dlaczego?

- Nie wiem.

- Ze względu na pieniądze? Struchlała.

- Co takiego?

Przesuwając usta w stronę szyi dziewczyny, całował ją namiętnie.

- Nie spotkałeś nikogo dość bogatego, żeby cię satysfakcjonowało?

- Nie! - wypaliła. - Nie jestem taka. Dobrze wiesz, że taka nie jestem.

W odpowiedzi tylko uśmiechnął się, a ona poczuła jego oddech na skórze.

- O mój Boże - jęknęła, wrywając mu się z objęć. - Ty myślałeś... Ty myślałeś...

Złożył ręce na piersiach i spoglądał na nią. Wyglądał jak uosobienie wielkomięskiego szyku.

- Co ja myślałem? Powiesz mi, Victoria?

- Myślałeś, że zależy mi na twoich pieniądzach? Ze czyham na majątek?

Stał nieruchomo i tylko lekko uniósł prawą brew.

- Ty... ty... - W Victorii eksplodowało siedem lat gniewu. Rzuciła się na Roberta i zaczęła tłuc go pięściami po klatce piersiowej. - Jak śmiałeś tak myśleć? Ty potworze!

Nienawidzę cię. Nienawidzę!

Uniósł ręce w obronie przed niespodziewanym atakiem, a potem zręcznie złapał ją jedną ręką za dwa nadgarstki.

- Trochę za późno na udawanie złości, nie sądzisz?

- Nigdy nie chciałam twoich pieniędzy - mówiła podniesionym głosem. - Nic dla mnie

nie znaczyły.

- Daj spokój, Victoria. Myślisz, że nie pamiętam, jak mnie prosiłaś, abym pojednał się z ojcem? Stwierdziłaś nawet, że nie wyjdiesz za mnie, jeśli nie postaram się z nim dogadać.

- Tylko dlatego... A właściwie dlaczego mam się przed tobą tłumaczyć?

Przysunął bliżej głowę.

- Próbujesz się tłumaczyć, bo chcesz zdobyć to, co siedem lat temu przeszło ci koło nosa. Czyli mnie.

- Teraz zaczynam rozumieć, że od samego początku nie byłeś dobrą partią - oznajmiła. Roześmiał się szyderczo.

- Być może. To by wyjaśniało, dlaczego wtedy nie przyszedłeś na umówione miejsce. Ale pieniądze i tytuł nadal są atrakcyjnym kąskiem.

Wyrwała rękę z jego uścisku. Zdziwiła się, że tak łatwo ustąpił. Usiadła na łóżku i schowała twarz w dłonie. Porozrzucone fragmenty jej życia zaczynały układać się w całość. Gdy nie pojawiła się na spotkaniu, on uznał, że się wycofała z planów małżeńskich, bo ojciec go wydziedziczył. Pomyślał... Boże, jak on mógł tak o niej pomyśleć.

- Nie znałeś mnie - wyszeptła, jakby dopiero w tym momencie to sobie uświadomiła.

- Nigdy naprawdę mnie nie poznałeś.

- Pragnąłem cię - mówił zachrypłym głosem. - Boże, jak ja cię pragnąłem. I, na rany Chrystusa, nadal pragnę.

Doszła do wniosku, że nie ma sensu niczego wyjaśniać. Prawda już się nie liczy. On już jej nie wierzy i nic nie zasypie dzielącej ich otchłani. Zadawała sobie tylko pytanie, czy kiedykolwiek zaufał jakiegokolwiek kobiecie.

- Rozpamiętujesz swoje grzechy? - rzucił przez pokój.

Podniosła głowę, spojrzała na niego z dziwnym błyskiem w oku.

- Jesteś zimnym człowiekiem, Robercie. I przypuszczam, że także samotnym.

Znieruchomiał. Trafiła w sedno. W ułamku sekundy dopadł do niej i złapał ją za ramiona.

- Przez ciebie taki jestem.

- Nie - powiedziała, smutno kręcąc głową. - Sam sobie zgotowałeś taki los. Gdybyś mi zaufał...

- Nie dałaś mi do tego powodów - wybuchnął.

- Dałam ci wszystkie możliwe powody. - Drżał jej głos. - Tylko ty je zignorowałeś.

Odsunął się z odrazą. Udaje niewinną ofiarę, a on nienawidzi hipokryzji.

Najbardziej bolało go to, że i on był takim samym hipokrytą. Bardziej niż

kogokolwiek na świecie pragnął Victorii - kobiety, której powinien unikać jak ognia.

Zaczynał jednak rozumieć, że nie potrafi zapanować nad tym pragnieniem. A właściwie, czemu, do diabła, miałby panować? Victoria pragnęła go tak samo jak on jej. Widział to w jej oczach za każdym razem, gdy na nią patrzył. Głosem pełnym pożądania i nadziei wypowiedział jej imię.

Victoria wstała i podeszła do okna. Przyłożyła czoło do szyby. Za mało sobie ufała, żeby móc na niego spojrzeć. Z jakichś powodów myślał, że nigdy jej nie wierzył, bolała ją bardziej niż przekonanie, że zamierzał tylko ją uwieść.

Powtórzył jej imię. Tym razem był blisko. Na tyle blisko, że czuła na karku jego oddech.

Odwróciła się i stanęła naprzeciw niego. Do każdego zakątka jej duszy docierał rozpalony błękit jego oczu. Czuła się zahipnotyzowana.

- Teraz cię pocałuję - mówił powoli. - Teraz cię będę całować i nie przestanę. Rozumiesz to?

Ani drgnęła.

- Gdy moje wargi dotkną twoich...

W jego słowach pobrzmiwało ostrzeżenie, ale Victoria nie potrafiła się zdobyć na ostrożność. Było jej ciepło, a nawet gorąco, mimo to drżała. Myśli przelatywały z prędkością światła, a mimo to miała w głowie pustkę. Składała się z samych sprzeczności i prawdopodobnie właśnie dlatego nagle doszła do wniosku, że być może pocałunek to niegłupi pomysł.

Smak przeszłości. Niczego więcej nie pragnęła, tylko posmakować, jakby mogło być. Jak miało być. Jak powinno być.

Odchyliła głowę, a jemu nie potrzebna była dalszej zachęty. Przyciągnął Victorię do siebie i przyłgał ustami do jej ust. Czuła jego rozbudzenie i to ją jeszcze bardziej ekscytowało. Być może był dandysem i rozpustnikiem, ale nigdy nie uwierzy, że kiedykolwiek bardziej pragnął jakiejś kobiety niż jej w tej chwili.

Poczuła się najpotężniejszą kobietą na świecie. Ogarnięta tym przeświadczeniem mocno przytuliła się do Roberta.

- Jeszcze - wydusił. Zapamiętała gładził dłońmi jej plecy. - Chcę wszystkiego.

Victoria nie byłaby w stanie teraz odmówić, nawet gdyby sam Pan Bóg zszedł na ziemię i jej to nakazał. Nie miała wątpliwości, że oddałaby się Robertowi, gdyby nagle w pokoju nie rozległ się czyjś głos.

- Przepraszam bardzo.



Robert i Victoria odskoczyli od siebie i oboje spojrzeli w stronę drzwi. Stał w nich nadzwyczaj elegancki dżentelmen. Victoria nigdy go nie widziała, ale była pewna, że to jeden z gości. Odwróciła głowę śmiertelnie przerażona, że została przyłapana w tak kompromitującej sytuacji.

- Eversleigh - odezwał się Robert opanowanym głosem.

- Wybacz, Macclesfield - rzekł dżentelmen. - Ale to zdaje się mój pokój.

Victoria spojrzała na twarz Roberta. To dopiero kłamliwy łajdak! Nie miał najmniejszego pojęcia, czyj to pokój, chciał tylko być z nią sam na sam. Naraził na szwank jej reputację. A być może nawet pozbawił ją posady guwernantki.

Robert wziął ją za rękę i pociągnął w stronę drzwi.

- Już znikamy, Eversleigh.

Victoria szybko się domyśliła, że Robert nie przepadał za lordem Eversleighem, ale była zbyt zdenerwowana, aby się nad tym zastanawiać.

- Guwernantka, co? - powiedział Eversleigh, bezczelnie mierząc wzrokiem Victorię od stóp do głów. - Trudno byłoby ci wytłumaczyć się Hollingwoodom z takiego postępuku.

Robert zatrzymał się i spojrzał na Eversleigha z groźną miną.

- Jeśli komukolwiek piśniesz słówko na ten temat, choćby swojemu przekłętemu kundlowi, to rozplatom ci gardło.

Eversleigh cmoknął.

- A ty na drugi raz zajmuj się swoimi sprawami w swoim pokoju.

Robert pociągnął Victorię na korytarz. Natychmiast wyrwała mu rękę i odwróciła się tyłem.

- Twój pokój? - prawie krzychała. - Ty cholerny kłamco!

- To ty się bałaś, gdy byliśmy w holu. I lepiej tak nie krzycz, jeżeli naprawdę nie chcesz zwrócić niczyjej uwagi.

- Nie śmiej mnie pouczać. - Wzięła głęboki oddech, starając się opanować drżenie całego ciała. - Nawet nie chcę wiedzieć, kim teraz jesteś. Z pewnością nie mężczyzną, którego znałam siedem lat temu. Jesteś bezlitosny... bezwzględny... niemoralny...

- Generalnie rozumiem, o co ci chodzi.

Jego chłodna uprzejmość dodatkowo ją zezłościła.

- Nigdy więcej się do mnie nie zbliżaj - powiedziała. - Nigdy.

Odeszła, żałując, że nie ma tu drzwi, którymi mogłaby trzasnąć mu przed nosem.

Victoria nie miała pojęcia, jak przetrwa zbliżający się wieczór. Kilka godzin w towarzystwie Roberta to wystarczające okropieństwo, ale teraz będzie jeszcze musiała spojrzeć w oczy lordowi Eversleighowi, który z pewnością uważa ją za rozpustnicę.

Zastanawiała się przez chwilę, czy nie powinna udać rozstroju żołądka. Mogłaby powiedzieć, że poprzedniego dnia miała styczność z panną Hypatią Vinton i bardzo możliwe, że zaszkodziło im to samo. Oczywiście w przypadku choroby lady Hollingwood nie zmusiłaby jej do udziału w kolacji. Ale chlebodawczyni mogła uznać, że Victoria złośliwie udaje chorą, i potraktować to jako powód do odprawy. Dla lady Hollingwood każdy pretekst był dobry.

Westchnęła i obejrzała suknię leżącą na łóżku. Wyglądała lepiej, niż Victoria się spodziewała, ale była za duża i będzie wisiała jak worek. Poza tym miała żółty kolor, w którym Victoria zawsze wyglądała blado. Jednak powściągnęła kobiecą próżność i postanowiła zachować spokój - przecież i tak nie chciała ściągać na siebie niczyjej uwagi.

Spojrzała na pokojowy zegar. Była za kwadrans ósma. Czas rozpocząć przygotowania, jeżeli ma się stawić na dole za pięć wpół do dziewiątej. Punktualnie za pięć wpół do dziewiątej, pomyślała z grymasem na twarzy. Ani sekundy wcześniej, ani później. Nie miała wątpliwości, że od tego zależy jej praca.

Ułożyła włosy najładniej, jak potrafiła. Nie będzie tak elegancka jak inne kobiety, ale nie miała pokojówki, która zakręciłaby jej loczki albo ułożyła grzywkę. Mogła sobie pozwolić tylko na prosty, lecz elegancki kok.

Zegar dawał znać, że czas zejść na dół, więc wyszła z pokoju i zamknęła drzwi na klucz. Gdy stanęła w progu bawialni, wszyscy goście Hollingwoodów popijali napoje i prowadzili konwersacje. Na szczęście lord Eversleigh stał do niej tyłem i flirtował z młodą blondynką. Victoria odetchnęła z ulgą. Nadal była przerażona tym, co wydarzyło się po południu.

Robert opierał się o ścianę i odstraszał miną każdego, kto miałby zamiar do niego podejść. Intensywnie wpatrywał się w drzwi. Wyraźnie czekał na nią.

Ruszył w jej stronę, ale zagroziła mu drogę lady Holingwood, która natychmiast znalazła się obok Victorii.

- Dziękuję za punktualność - odezwała się gospodyni. - Na kolację wprowadzi cię pan Percival Hornsby. Zaraz cię przedstawię.

Victoria podążyła za chlebodawczynią, nie wierząc własnym uszom, że lady Hollingwood przeszło przez gardło słowo „dziękuję”. Już prawie minęły całą salę, gdy usłyszała głos Roberta:

- Panna Lyndon? Victoria?

Victoria odwróciła się. Ze strachu ścisnęła ją w dołku.

- O rety, to naprawdę ty! - Robert zbliżał się z pełną niedowierzania miną.

Zmrużyła oczy. Co też on knuje?

- Panie hrabio Macclesfield - zwróciła się do niego zdumiona lady Hollingwood. - Chce pan powiedzieć, że zna pannę Lyndon?

- Ależ ja doskonale znam pannę Lyndon - rzucił lekko i tylko Victoria odebrała jego słowa jako dwuznaczne. Lady Hollingwood spojrzała na Victorię z wyrzutem:

- Nigdy nie wspominałaś, że łączy cię znajomość z panem hrabią Macclesfield.

- Nie wiedziałam, że przyjeżdża w gości, proszę pani. - Skoro on mógł kłamać, mogła i ona.

- Dorastaliśmy razem - dodał Robert. - W Kent.

Victoria doszła do wniosku, że do pewnego stopnia jest to prawda. Przeprowadziła się do Kent w wieku siedemnastu lat, ale z całą pewnością dopiero tam dorosła. Ludzie dorastają, przeżywając zdrady i rozczarowania.

- Doprawdy? - Lady Hollingwood pytała z zaciekawieniem i odrobiną zaskoczenia, że jej guwernantka kiedyś poruszała się w tych samych kręgach co hrabia.

- Tak, nasze rodziny bardzo się przyjaźnią.

Zdenerwowanej Victorii zaschło w gardle do tego stopnia, że chciała odejść po coś do picia.

- Nie, nie, ja pójdę - zaproponował Robert. - Nic mi nie sprawi większej przyjemności.

- A dla mnie wszystko byłoby przyjemniejsze - bąknęła cichaczem. Chętnie nadepnęłaby mu teraz nogę albo wylała kieliszek wina na głowę. Już raz poląła go wodą i sprawiło jej to przyjemność. A wino ma tę zaletę, że zostawia czerwone plamy.

Gdy Robert odszedł po lemoniadę dla Victorii, znowu zagadnęła ją lady Hollingwood:

- Znasz Macclesfielda? Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

- Już mówiłam. Nie wiedziałam, że jest gościem.

- Tak czy siak jest szczególnym gościem. Ma niezwykle szerokie wpływy. Powinnaś mnie o tym poinformować, gdy przyjmowałam cię do pracy... O, pan hrabia.

Robert skinął głową i podał damom szklanki.

- Lady Hollingwood, pozwoliłem sobie przynieść lemoniadę także dla pani.

Gospodyni podziękowała ze sztucznym uśmiechem. Victoria milczała, bo doskonale zdawała sobie sprawę, że jeżeli otworzy usta, to powie coś zdecydowanie niestosownego w kulturalnym towarzystwie. Sytuację uratował lord Hollingwood, który podszedł i zapytał żonę, czy aby nie czas rozpocząć kolację.

- Ach, tak - powiedziała lady Hollingwood. - Jeszcze tylko przedstawię pannę Lyndon panu Hornsby'emu.

- Może ja mógłbym towarzyszyć pannie Lyndon przy kolacji? - odezwał się Robert.

Victoria oniemiała. Zdała sobie sprawę, że to obraza dla lady Hollingwood. Powinnością najwyższego rangą dżentelmena na przyjęciu jest dotrzymanie towarzystwa gospodyni.

- Ależ... Ależ... - wyksztusiła skonsternowana lady Hollingwood.

Robert posłał jej szeroki uśmiech.

- Nie widzieliśmy się z panną Lyndon od bardzo dawna i na pewno mamy sobie wiele do powiedzenia. Nie mam na przykład pojęcia, jak radzi sobie jej siostra. - Odwrócił się do Victorii z zaciekawioną miną. - Jak się miewa droga Eleanor?

- Ellie? Znakomicie - odparła krótko.

- Nadal taka zuchwała jak dawniej?

- Nie tak zuchwała jak ty - odcięła się. Jednak szybko musiała się ugryźć w język.

- Panno Lyndon! - upomniała ją lady Hollingwood. - Jak śmiesz odzywać się do hrabiego Macclesfielda takim tonem? Pamiętaj o swojej pozycji.

Ale Robert zachichotał.

- Zawsze rozmawialiśmy z panną Lyndon szczerze i bez ogródek. Właśnie dlatego tak bardzo lubimy swoje towarzystwo.

Victoria z trudem opanowała się, aby nie powiedzieć, że jego towarzystwo wcale jej nie bawi.

Lady Hollingwood sprawiała wrażenie, że nie wie, jak postąpić w tak niezwyklej dla siebie sytuacji. Była niezadowolona, że najwyższy rangą gość będzie przy kolacji dotrzymywał towarzystwa guwernantce.

Victoria szybko zdała sobie sprawę, że nietakt popełniony przez Roberta może jej zaszkodzić.

- Nie ma potrzeby, abym siedziała obok hrabiego. Możemy...

- Ależ jest taka potrzeba - przerwał Robert.

- Lady Hollingwood tak przydzieliła miejsca, że...

- Nie musimy trzymać się sztywnych reguł. Na pewno pan Hornsby z przyjemnością

zajmie moje miejsce na szczycie stołu.

Lady Hollingwood prawie pozieleniała. Hornsby nigdy nie był i nigdy nie będzie zbyt ważną osobistością. Zanim jednak zgłosiła sprzeciw, Robert zwrócił się do wspomnianego dżentelmena.

- Percy - zagadnął przyjaznym tonem. - Nie zechciałbyś towarzyszyć lady Hollingwood przy kolacji? Byłbym ci dozgonnie wdzięczny, gdybyś zgodził się zamienić miejscami przy stole.

- Aaa... Ale... - strwożył się Percy. - Ale... Ja jestem tylko...

Robert oszczędził mu dalszego jękania i przyjacielskim gestem poklepał go po plecach.

- Będziesz się bawił wybornie. Lady Hollingwood cudownie prowadzi konwersację.

Percy wzruszył ramionami i podał ramię gospodni. Przyjęła je, bo nie chciała urazić pana hrabiego, ale nie omieszkała rzucić Victorii groźnego spojrzenia.

Przerażona Victoria zamknęła oczy. Chlebodawczyni nie da sobie wytłumaczyć, że to nie jej wina. Nieważne, że to wszystko ukartował Robert i on nalegał na zamianę. Już lady Hollingwood znajdzie sposób, aby winę zrzucić na guwernantkę.

Robert uklonił się z uśmiechem.

- Gładko poszło, no nie? Popatrzyła na niego z gniewem. - Gdybym miała widły, to przysięgam na Boga, że wbiłabym ci je w plecy. Roześmiał się.

- Widły? To chyba dlatego, że wychowałam się na wsi. Większość znanych mi kobiet użyłaby sztyletu. A przynajmniej noża do rozcinania listów.

- Ona nie da mi żyć - jęknęła, spoglądając na pary w ściśle określonej kolejności maszerujące do jadalni.

Ponieważ Robert zajął miejsce Hornsby'ego, miał wejść do jadalni ostatni i zasiąść na końcu stołu.

- Zamiana miejsc przy stole to nie koniec świata - powiedział.

- Dla lady Hollingwood to katastrofa - odparła Victoria. - Ja wiem, jaki z ciebie dureń, ale ona widzi w tobie tylko wielkiego pana hrabiego.

- Czasami to się przydaje - mruknął.

Jeszcze raz niechętnie na niego spojrziała.

- Przechwalała się twoją obecnością przez całe dwa dni - dodała Victoria. - Nie ucieszyła się, że będziesz siedział z guwernantką.

Wzruszył ramionami.

- Wczoraj przy niej siedziałem. Jeszcze jej mało?

- A przede wszystkim to ja wcale nie chcę siedzieć koło ciebie! Zdecydowanie wolałabym Hornsby'ego. A jeszcze bardziej stolik we własnym pokoju. Uważam, że jesteś podły.

- Tak, już to mówiłaś.

- Będę szczęśliwa, jeśli nie stracę pracy. Ona na pewno już teraz wymyśla dla mnie tortury.

- Głowa do góry, Torie. Nasza kolej. - Wziął ją pod rękę, poprowadził do jadalni i zajęli swoje miejsca. Pozostali goście dziwili się, że Robert siada na końcu stołu. On uśmiechnął się niewinnie i ogłosił: - Lady Hollingwood wyraziła zgodę. Panna Lyndon to moja przyjaciółka z dzieciństwa. Pragnę jej towarzyszyć.

Najwyraźniej usatysfakcjonowani usprawiedliwieniem tego skandalicznego odstępstwa od etykiety goście pokiwali głowami.

- Panno Lyndon - zagadnął korpulentny mężczyzna w średnim wieku. - Zdaje się, że nie mieliśmy przyjemności. Skąd pochodzi pani rodzina?

- Ojciec jest pastorem w Bellfield w Kent.

- Nieopodal Castleford - dodał Robert. - Mieliśmy wspólne dzieciństwo.

Victorii udało się nie obruszyć. Dzieciństwo, dobre sobie. Dzieci nie bawią się w takie rzeczy.

Siedziała naburmuszona, a Robert przedstawiał ją gościom z końca stołu. Na lewo niej siedział kapitan Charles Pays z Marynarki Jej Królewskiej Mości. Uznała go za przystojnego, choć był w zupełnie innym typie niż Robert. Korpulentny mężczyzna nazywał się Thomas Whistledown, a siedząca po prawo dama to panna Lucinda Mayford, która - jak Victorię szybko poinformował kapitan Pays - jest dziedziczką rodzowego majątku i poszukuje męża z tytułem. A naprzeciwko Roberta siedziała William Happerton, wdówka, która zaraz poleciała Robertowi mówić do siebie „Celia”.

Victoria spostrzegła, że pani Happerton odrobinę za bardzo zajmuje się Robertem, więc uznała za stosowne skierować uwagę na kapitana Paysa. Wcale nie jestem zazdrosna, przekonywała sama siebie. Ale sprawiedliwość musi być, a to oznacza, że powinna odwrócić się od Roberta.

- Panie kapitanie - wtrąciła z uśmiechem - od jak dawna służy pan w marynarce?

- Od czterech lat, panno Lyndon. Niebezpieczna służba, ale ja to lubię.

- Skoro tak bardzo pan ją lubi - wtrącił się Robert - to dlaczego nie jest pan na kontynencie?

- Pan kapitan jest w marynarce - rzuciła Victoria, odwracając się do Roberta. - A to

oznacza, że służy na okręcie. Trochę trudno byłoby żeglować po kontynencie, mój panie. Okrętom trzeba wody. - A gdy już wszyscy rozdziawili usta ze zdziwienia, że zwraca się do pana hrabiego jak do osoby niespełna rozumu, dodała: - Poza tym nie powinienes wtrącać się do naszej rozmowy.

Panna Mayford zakrztusiła się zupą, aż Whistledown musiał uderzyć ją w plecy. Najwyraźniej sprawiło mu to przyjemność.

Victoria odwróciła się z powrotem do kapitana.

- Mówił pan, że...

Pays błędnął wzrokiem, bo czuł się nieswojo pod okiem Roberta spoglądającego przez ramię Victorii. - Tak?

- Tak. - Starła się, aby jej głos brzmiał słodko i łagodnie. Szybko jednak zdała sobie sprawę, że trudno osiągnąć taki efekt z zaciśniętymi zębami, i rozluźniła się. - Z przyjemnością posłucham, czym się pan zajmuje.

Robert miał podobny problem z powściągnięciem gniewu. Nie podobało mu się, że Victoria flirtuje z przystojnym kapitanem. Wiedział, że stara się zrobić mu na złość - i udawało jej się doskonale. Był dziko zazdrosny i niczego nie pragnął bardziej, niż obrzucić kapitana Paysa gotowanym grochem.

I pewnie tak by zrobił, gdyby nie byli dopiero przy pierwszym daniu. Mógł tylko mieszać łyżką w zupie, która niestety nie sprawiała zbytniego oporu i nie była w stanie rozładować napięcia.

Ponownie spojrzął na Victorię. Teraz widział już tylko jej plecy. Odchrząknął.

Nie poruszyła się.

Odchrząknął powtórnie.

Jeżeli się poruszyła, to w stronę Paysa.

Popatrzył na swoje dłonie i zauważył, że na zaciśniętych pięściach bieleją mu kostki. Ma w nosie Victorię, ale nie życzy sobie, do diabła, aby zadawała się z kimś innym.

Sam siebie okłamywał. Pragnął jej. Pragnął jej gorąco. Wcale nie chciał jej pragnąć. Starał się sobie przypomnieć, jaki czuł się upokorzony i skrzywdzony, gdy go zdradziła. Była przebiegła i żądna pieniędzy.

A mimo to jej pragnął.

Westchnął.

- Coś się stało? - zagadnęła wesoła wdówka z naprzeciwnka stołu.

Robert odwrócił się do niej. Przez cały czas robiła do niego słodkie oczy, a on mimowolnie traktował to jako propozycję. Była dość ładna, a byłaby jeszcze ładniejsza,

gdyby miała ciemniejsze włosy. Ściśle mówiąc: czarne. Takie jak Victoria.

Dopiero jak spuścił wzrok, zdał sobie sprawę, że przedarł serwetkę na dwoje. Serwetkę z tkaniny.

- Panie hrabio?

Odwrócił się.

- Muszę przeprosić, pani Happerton. Nie umiem się zachować w towarzystwie. - Uśmiechnął się szelmowsko. - Może mi pani udzielić reprimendy.

Usłyszał, że Victoria coś mamrocze pod nosem. Zerknął w jej stronę. Nieudolnie udawała, że całą uwagę poświęca kapitanowi.

Po prawej stronie Roberta pojawił się lokaj z półmiskiem - nie do wiary - gotowanego grochu. Victoria nałożyła sobie łyżkę i powiedziała:

- Uwielbiam groch. - Potem zwróciła się do Roberta: - O ile pamiętam, ty go nienawidzisz. Szkoda, że nie podano grochówki.

Panna Mayford znów się zakrztusiła, a potem zrobiła unik, aby uchronić się przed ciosem Whistledowna.

- Właściwie... - rzekł Robert, skłaniając głowę - ... naszła mnie nagła ochota na groch.

Victoria prychnęła i wróciła do rozmowy z kapitanem Paysem. Robert nabrał grochu na widelec, upewnił się, że nikt nie widzi, i posłał porcję w stronę sąsiadów.

Spudłował. Groch nie trafił ani w Victorię, ani w kapitana. Warknął rozczarowany. A zaczęło się tak wspaniale. Znęcanie się nad Victorią i lady Hollingwood w bawialni sprawiło mu wiele radości.

Wnoszono kolejne dania. Nikt nie bawił się dobrze z wyjątkiem Whistledowna, który zapamiętałe podkręcał i prostował wąsa. Równie zapamiętałe rzucał się na każdą podaną potrawę.

Po zakończeniu deseru pięcioro z sześciu gości siedzących na końcu stołu sprawiało wrażenie zmęczonych. Szósty, Whistledown, robił wrażenie najedzonego.

Chyba nigdy nic tak Victorii nie ucieszyło jak propozycja lady Hollingwood, aby damy przeszły do bawialni. Nie zachwycała jej perspektywa rozmowy z chlebobawczynią, ale wolała już towarzystwo lady Hollingwood niż Roberta, który na zakończenie posiłku powiedział:

- Rzeczywiście trudno o dobrą służbę. Zwłaszcza o guwernantkę.

W bawialni damy zaczęły plotkować o tym i o tamtym. Jako guwernantka Victoria nie miała styczności z „tym i tamtym”, więc siedziała cicho. Częste spojrzenia lady Hollingwood tylko utwierdziły ją w przekonaniu, że powinna trzymać język na wodzy.



Pół godziny później dołączyli mężczyźni. Gdy Victoria zorientowała się, że nie ma wśród nich Roberta, odetchnęła z ulgą. Nie czuła się na siłach do prowadzenia dalszych zmagañ słownych. Kiedy tylko się da, wymówi się jakoś i wróci do swojego pokoju.

Okazja nadarzyła się kilka minut później. Goście podzielili się na grupki, a Victoria została sama. Ruszyła do drzwi. Ale gdy dzieliły ją tylko trzy kroki od wyjścia, usłyszała męski głos.

- Miło znów panią widzieć, panno Lyndon. Odwróciła się, czerwieniejąc.

- Lord Eversleigh.

- Nie wiedziałem, że zaszczyci nas pani dziś wieczór swoją obecnością.

- W ostatniej chwili zostałam poproszona o zastępstwo.

- Ach, tak, panna Vinton zachorowała.

Uśmiechnęła się szeroko.

- Proszę wybaczyć, ale muszę wracać do swojego pokoju.

I bez dalszych pożegnań wymknęła się z bawialni.

Po drugiej stronie sali Robert złowróźnie zmrużył oczy, gdy Eversleigh pochylił się w szyderczym ukłonie. Gdy widział, jak lord patrzy na Victorię, wrzała w nim krew. Kapitan Pays, chociaż przystojny, był raczej niegroźny. Ale Eversleigh to człowiek pozbawiony moralności i skrupułów.

Robert spoglądał z końca sali. Chętnie ukręciłby Eversleighowi głowę, ale w końcu zdecydował się dać mu ostrzeżenie. Zanim jednak do niego dotarł, lady Hollingwood wstała i oznajmiła początek części rozrywkowej. Śpiewy i muzyka w saloniku muzycznym, a panowie mogą wybrać grę w karty.

Robert zamierzał stanowczo porozmawiać z Eversleighem, ale dopadła go lady Hollingwood z taką miną, że nie mógł się jej pozbyć. Przez sporą część godziny musiał z nią konwersować.

Robert stał przy kotarze w saloniku muzycznym i starał się nie słuchać, jak panna Mayford na klawesynie fałszuje Scarlattię. Ale to nie od kaleczenia muzyki ścisnęło go w żołądku.

Zaskoczyły go własne myśli.

Kilka ostatnich dni zastanawiał się nad tym, jak skompromitować Victorię. Sam nie wiedział, co mu sprawi większą przyjemność: to, że jej zaszkodzi - a wszystko zmierzało w tym kierunku - czy to, że zobaczy, jak nisko upadła.

Jednak tego wieczoru w jego duszy zaszła pewna przemiana. Nie chciał, aby ktokolwiek patrzył na Victorię z takim lubieżnym szyderstwem, jakie dostrzegł w oczach Eversleigha. I wcale nie podobało mu się uprzejme zainteresowanie, jakie okazał jej kapitan.

Chciał ją mieć dla siebie. Oceniając siedem minionych lat, uznał, że nie najlepiej mu się bez niej wiodło. Być może do końca jej nie ufa, ale pragnie, aby była obecna w jego życiu.

Ale najpierw musi się uporać z Eversleighem. Fakt, że ten gbur nawiązał z Victorią rozmowę w bawialni, źle wróżył. Robert musiał się postarać, aby ten typ dokładnie zrozumiał, że on będzie bronił Victorii przed złośliwymi plotkami. Znał Eversleigha od lat, razem chodzili do Eton. Był draniem i pozostał draniem.

Rozejrzał się po sali. Przez pogaduszki z natarczywą lady Hollingwood spóźnił się na występ i nigdzie nie dostrzegł Eversleigha. Po cichu wymknął się do holu. Złapie tego łajdaka i zmusi do milczenia.

Victoria próbowała pisać konspekt lekcji, ale nie mogła się skoncentrować. Niech to! Uwierzyła, że przed siedmiu laty postępował wobec niej uczciwie, ale to, co wyprawiał teraz, było w najlepszym razie godne pożałowania.

Próbował ją uwieść. Na dodatek w nieswoim pokoju, choć doskonale wiedział, że w każdej chwili ktoś może ich przyłapać. Potem miał czelność zaczepić ją na oczach jej chlebodawczyni i innych gości. A w końcu postawił ją w niezręcznej sytuacji, zmuszając, aby siedzieli obok siebie podczas kolacji. Lady Hollingwood nigdy jej tego nie wybaczy. Właściwie Victoria mogła już pakować torby.

A najgorsze w tym wszystkim, że ponownie obudził w niej pożądanie. I to tak silne, że sama się dziwiła.

Potrząsnęła głową i spróbowała myśleć o czymś innym. Wróciła do konspektu lekcji. Wczoraj Neville'owi podobała się lekcja o kolorach. Być może jutro zajmą się kolorem

niebieskim. Mogliby wypić herbatę w niebieskim salonie. I pomówić o lazurycie, kobalcie, niebie. Mogłaby zabrać ze sobą lustro, aby porównali kolor swoich oczu. Ona ma ciemnoniebieskie, a Neville jasnoniebieskie. Jak Robert.

Westchnęła, zastanawiając się, czy kiedykolwiek zdoła wyrzucić Roberta z myśli.

Podniosła notatnik, by przeczytać wpisy z poprzednich dni. Dziesięć minut bezmyślnie wpatrywała się w litery i nic do niej nie docierało. Nagle usłyszała pukanie.

Robert. To na pewno on.

Przyszło jej na myśl, aby nie otwierać, ale wiedziała, że on nie odejdzie. Otwierając drzwi, oznajmiła:

- Mam nadzieję, że przyszedłeś mnie przeprosić za swoje zachowanie.

Na progu stał lord Eversleigh. Uśmiechał się szyderczo.

- Oczekuje pani kogoś innego, tak? Może hrabiego Macclesfielda?

Przerażona Victoria spaşowiała.

- Nie, nie oczekuję go. Tylko... Wciągnął się do środka.

- Zamknij - polecił ściszoneg głosem.

- Słucham?

- Drzwi.

Nie ruszyła się, tylko zmrużyła oczy, uświadamiając sobie powoli, że znalazła się w niebezpiecznej sytuacji. Spojrzała na korytarz. Nie wiedziała, dokąd uciekać, ale musiała podjąć próbę.

On jednak zwinnym ruchem dopadł drzwi i zanim się zorientowała, zamknął je i oparł się o nie plecami.

- Piękna jesteś - rzekł.

- Pan się chyba pomylił. Podszedł do niej.

- Szczycę się tym, że nigdy się nie mylę.

- Chodziło mi tylko... To znaczy hrabia Macclesfield i ja... My...

Pogładził ją po policzku.

- Macclesfield lubi, jak udajesz niewiniątko? Przy mnie nie musisz się wysilać.

Podobasz mi się taka, jaka jesteś. Nadgnięte owoce bywają bardzo słodkie.

Odsunęła się z odrazą.

- Drogi panie - zaczęła po dobroci. - Bardzo proszę o...

Zachichotał.

- Lubię, jak kobieta prosi. Przyjemnie ci ze mną będzie. - Brutalnie przyciągnął ją do siebie. - To tylko przedsmak tego, co możesz mieć. Obiecuję, że nie pożałujesz. Jestem

człowiekiem majątnym.

- Nie obchodzą mnie pańskie pieniądze - odparła, odwracając głowę w bok. - Proszę stąd wyjść.

- Mamy do wyboru dwie możliwości - powiedział. W jego oczach pojawił się złowroźny błysk. - Albo przestaniesz udawać i będziesz się dobrze bawić, albo będziesz się stawiać przez cały czas. Mnie obojętne. Tak czy siak będę miał uciechę.

Wymierzyła mu siarczysty policzek.

- To był twój błąd - wycedził. Pchnął ją na łóżko i przygniótł całym ciężarem ciała.

Victoria zaczęła szarpać się i krzyczeć.

Najpierw Robert zajrzał do pokoju Eversleigha, ale wcale się nie zdziwił, że go nie zastał. Przeszukał skrzydło gościnne w nadziei, że Eversleigh zabawia się z jakąś kobietą. Niestety udało mu się tylko przyłapać żonę lorda Winwooda z mężem kochanki lorda Winwooda.

Nawet okiem nie mrugnął. W jego sferze takie postępowanie należało do normy, co zresztą już go nie bawiło.

Zajrzał do salonu, w którym grano w karty, bo wiedział, że Eversleigh lubi hazard.

- Eversleigh? - odezwał się jeden z graczy. - Był, ale poszedł.

- Naprawdę? - Robert próbował ignorować podejrzliwe spojrzenia. Powszechnie wiadano o ich wzajemnej niechęci. - A nie wiecie, dokąd?

- Widziałem, jak szedł po schodach - powiedział ktoś.

Robert powstrzymał jęk. Będzie musiał jeszcze raz przeszukać skrzydło gościnne.

- Dziwne, że skorzystał ze schodów dla służby - dodał ktoś inny.

Ucisk w żołądku towarzyszący Robertowi przez cały wieczór gwałtownie się nasilił. Robert wybiegł z salonu karcianego i przeskakiwał po trzy stopnie schodów dla służby.

I wtedy usłyszał krzyki.

Victoria. Jeżeli natychmiast jej nie... Nie zdołał dokończyć myśli.

Dziewczyna nie dawała za wygraną. Broniła się jak szalona, drapała jak kot. Jej opór dodatkowo rozwścieczył Eversleigha, ale nie mogła dać się zgwałcić bez słowa protestu.

Napastnik był silny. O wiele silniejszy od niej, więc bez trudu trzymał ją i jednocześnie zdierał z niej ubrania. Zdjął jej rękę z ust, aby pociągnąć za dekollet sukienki, a Victoria skorzystała z okazji i znów zaczęła krzyczeć.

- Zamknij się, suko - warknął i przekreślił głowę dziewczyny, wciskając jej twarz w poduszkę. Victoria ugryzła go w rękę.

- Cholera jasna, dziwko jedna! - krzyknął. Złapał drugą poduszkę i przykrył jej głowę.

Nie mogła złapać tchu. Czy on zamierza ją zamordować? Jeszcze bardziej przeraziła ją myśl, że lord zwariował. Kopała i drapała na oślep. Ale opadała z sił.

Nagle w chwili, gdy zaczynała ogarniać ją ciemność, usłyszała trzask i wściekły ryk, którego nie potrafiła do niczego porównać.

Eversleigh gwałtownie się poderwał. Zrzuciła z siebie poduszkę i czołgała się po łóżku. Dotarła do brzegu. Chociaż przy każdym ruchu i każdym oddechu paliło ją w płucach, musiała zejść z łóżka. Po prostu musiała. Schroniła się w kącie.

Coś trzasnęło, ktoś krzyknął. Ale ona nie patrzyła. Nie mogła nawet otworzyć oczu. Pragnęła jedynie opanować przerażenie.

W końcu jednak uniosła powieki i ujrzała Roberta. Okładał leżącego Eversleigha.

- Robert - odezwała się słabym głosem. - Dzięki Bogu.

Nie dał znaku, że ją słyszy. Dalej bił przeciwnika.

- Robert - powiedziała trochę głośniejszym głosem. Nadal była w szoku, nie umiała opanować dygotu i pragnęła, żeby Robert znalazł się przy niej.

Ale do niego nic nie docierało. Gdy w końcu na nią spojrział, dostrzegła w jego oczach dzikość człowieka pierwotnego. Po chwili wyprostował się, by zaczerpnąć tchu, i zapytał:

- Zrobił ci coś?

Otworzyła usta, ale nie zdołała wymówić ani słowa.

- Skrzywdził cię? - Z oczu biła mu wściekłość. Victoria wiedziała, że jeśli przytaknie, Robert zatłucze Eversleigha na śmierć. Pokręciła głową. Właściwie nie skłamała. Nie skrzywdził jej. Nie tak, jak myślał Robert.

Zostawił nieprzytomnego łajdaka i podszedł do niej. Przykucnął i pogładził ją po policzku. Drżała mu ręka.

- Nic ci nie jest?

Jeszcze raz pokręciła głową.

- Victorio, ja...

Przerwało mu stęknienie dobiegające ze środka pokoju. Zaklął bezgłośnie i przeprosił Victorię. Podszedł do lorda, złapał go za kołnierz i pasek od spodni, wyniósł na korytarz i rzucił na podłogę. Starannie zamknął drzwi i wrócił do Victorii.

Trzęsała się i kołysała. Po policzkach ciekły jej łzy, nie była w stanie mówić. Roberta znów ogarnęła panika. Co ten łajdak jej zrobił?

- Ciii - szepnął, nie mając pojęcia, co powiedzieć, aby lepiej się poczuła. - Ciii.

- Robert - wydusiła. - Robert.

- Jestem przy tobie, moja kochana. - Wziął ją pod rękę i unióś. Wstała i natychmiast

go objęła. Ścisnęła go za szyję tak kurczowo, jakby od tego zależało jej życie.

Ruszył w stronę łóżka. Chciał przy niej usiąść i trzymać w objęciach, póki się nie uspokoi. Ona jednak stawiała nagły opór.

- Nie do łóżka! - krzyknęła z rozpaczą. - Tylko nie tam!

Spojrzał na pomietą pościel i zacisnął pięści. Kiedy wpadł do pokoju, Eversleigh przyciskał poduszką głowę Victorii. Mógł ją udusić.

Ta myśl ugodziła go jak sztylet.

Rozejrzał się po pokoju. Był skromnie umeblowany, więc usiadł na podłodze i oparł się o bok łóżka. Przez kilka minut tulił Victorię i milczeli.

W końcu uniosła głowę i spojrzała błagalnym wzrokiem.

- Próbowałam się bronić - powiedziała. - Naprawdę.

- Wiem, Torie.

- Ale on był silniejszy. - Wyglądała, jakby chciała przekonać go do czegoś bardzo ważnego. - Silniejszy ode mnie.

- Zachowałam się wspaniale - rzekł, powstrzymując się od łez.

- Przygniół mnie poduszką i nie mogłam złapać tchu. I nie mogłam się bronić. - Znow zaczęła się trząść. - Nie chciałam mu pozwolić... Nie chciałam. Przysięgam, że nie chciałam.

Chwytał ją za ramiona i obrócił, aż niemal zetknęli się nosami.

- To nie twoja wina - stwierdził stanowczo. - Nie obwiniaj siebie.

- Gdybyś ty nie nadszedł...

- Ale nadszedłem. - Znow ją delikatnie przytulił. Minęło sporo czasu, zanim opanowała drżenie. I zanim przestał do niej powracać obraz twarzy Eversleigha.

Sporo czasu minęło też, zanim Robert wszystko zrozumiał. Dotąd nie zdawał sobie sprawy, że przynajmniej w części doszło do tego incydentu z jego winy. Gdyby po południu nie zaciągnął jej do pierwszego z brzegu pokoju, który, jak się okazało, należał do Eversleigha... A potem jeszcze nie nalegał wieczorem, żeby siedzieć przy stole obok niej. Większość gości uwierzyła, że znają się z dzieciństwa, ale Eversleigh uznał, że łączy ich coś więcej.

Oczywiście ten łajdak wziął ją za kobietę rozwiązłą. Zawsze należał do osobników, którzy próbują zaciągnąć do łóżka każdą kobietę, za którą nie stoją moi krewni. Robert już wcześniej powinien był pomyśleć o zapewnieniu Victorii ochrony.

Nie wiedział, ile czasu siedział na podłodze i przytulał dziewczynę. Równie dobrze mogła to być godzina, jak dziesięć minut. W końcu zaczęła miarowo oddychać i zasnęła. Delikatnie ułożył ją na łóżku. Miała awersję do tego miejsca, ale nie wiedział, gdzie ją

umieścić. Do swojego pokoju nie mógł jej zabrać. To by ją kompletnie skompromitowało, a on nie chciał już zniszczyć jej życia. Uderzyła go ironia sytuacji. Przez całe siedem lat wyobrażał sobie, jak się zemści, gdy ją jeszcze raz spotka...

A teraz, gdy ma tę możliwość, wycofuje się. Było w Victorii coś, co nadal chwyciło go za serce. Wiedział, że gardziłby sobą, gdyby świadomie wyrządził jej krzywdę.

Pochylił się i łagodnie pocałował ją w czoło.

- Do jutra, Torie - szepnął. - Jutro musimy porozmawiać. Nie pozwolę, żebyś drugi raz mnie opuściła.

Wychodząc z pokoju, zauważył, że Eversleigh zniknął. Z zaciętym wyrazem twarzy ruszył na poszukiwania. Musiał się upewnić, że ten łotr rozumie jedną prostą rzecz: jeżeli kiedykolwiek piśnie słówko na temat Victorii, to następne lanie, jakie mu Robert spuści, będzie jego ostatnim.

Nazajutrz rano Victoria próbowała wykonywać codzienne obowiązki, jak gdyby nic się nie stało. Umyła twarz, założyła sukienkę i zjadła śniadanie z Neville'em.

Jednak czuła, że trzęsą jej się ręce. I starała się nie wzdygać za każdym razem, gdy zamykała oczy i widziała twarz Eversleigha.

Skończyła poranną lekcję z wychowankiem i zaprowadziła go na jazdę konną. Zawsze lubiła tę krótką przerwę w obowiązkach, ale teraz niechętnie rozstawiała się z chłopcem.

Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, było zostać sam na sam z własnymi myślami.

Robert dostrzegł ją za trawnikiem i ruszył pośpiesznie, aby nie zdążyła zniknąć w domu.

- Victoria! - zawołał zdyszczym głosem.

Obejrzała się. W jej oczach błysnął strach, który szybko zastąpiło uczucie ulgi.

- Przepraszam. Nie chciałem cię przestraszyć.

- Nie przestraszyłeś. A właściwie przestraszyłeś, ale cieszę się, że to tylko ty.

- Nie przejmuj się Eversleighem. Rano wyjechał do Londynu. Widziałem na własne oczy.

Rozluźniła wszystkie mięśnie, jakby w jednej chwili opadło z niej całe napięcie.

- Bogu dzięki! - odetchnęła.

- Victoria, musimy porozmawiać.

Skinęła głową.

- Tak, oczywiście. Muszę ci podziękować. Gdyby nie ty...

- Przestań z tym dziękowaniem - wybuchnął.

Zrobiła zdziwione oczy.

- W tym, co zaszło zeszłej nocy, jest dużo mojej winy - rzekł z goryczą.

- Nie! Nie mów tak. Ty mnie uratowałeś.

Robert chętnie pozwoliłby Victorii dziękować sobie jak bohaterowi. Przy niej zawsze czuł się silny i szlachetny. I brakowało mu tego przez ostatnie siedem lat. Ale sumienie nie pozwalało mu przyjmować słów wdzięczności, które mu się nie należały.

- Później o tym porozmawiamy. - Drżał mu głos. - Teraz są ważniejsze sprawy.

Przytaknęła ruchem głowy i poszła za nim w kierunku ogrodu. Gdy zorientowała się, że idą do labiryntu, spojrzała pytającym wzrokiem.

- Żeby nikt nam nie przeszkadzał - wyjaśnił.

Delikatnie się uśmiechnęła - po raz pierwszy tego dnia.

- Tylko żebym wiedziała, jak się wydostać.

Zaśmiał się, weszli między żywopłot i dotarli do kamiennej ławki.

- Dwa razy w lewo, raz w prawo i znów dwa razy w lewo - szepnął.

Znów się uśmiechnęła, wygładziła spódnicę i usiadła.

- Zapamiętałam.

Robert zajął miejsce obok. Na jego twarzy pojawiła się niepewność.

- Victoria... Torie.

Serce jej mocniej zabiło, gdy tak się do niej zwrócił.

Mimowolnie nadymał wargi i marszczył czoło, sprawiając wrażenie, że szuka najtrafniejszych słów. W końcu przemówił.

- Nie możesz tu zostać.

Otworzyła szerzej oczy.

- Przecież mówiłeś, że Eversleigh wyjechał do Londynu.

- Tak, ale to nieważne.

- Dla mnie bardzo ważne.

- Torie, nie wyjadę bez ciebie.

- Co takiego?

- Nie mogę stąd wyjechać i zostawić cię bez opieki. To, co się stało dzisiaj w nocy, może się powtórzyć.

Patrzyła na niego z powagą.

- Robert, zeszłej nocy nie pierwszy raz stałam się obiektem niechcianych umizgów dżentelmena.

Cały zeszywniał.

- To ma mnie uspokoić?



- Nigdy wcześniej nie zostałam zaatakowana tak brutalnie - przyznała. - Chcę tylko powiedzieć, że mam wprawę w radzeniu sobie z natrętami.

Złapał ją za rękę.

- Gdybym nie zjawił się w porę, on by cię zgwałcił. Albo nawet zamordował.

Wzruszyła ramionami i spojrzała w bok.

- Nie mogę sobie wyobrazić, żeby to... żeby coś takiego mogło się powtórzyć. A z zaczepkami i natarczywymi słowami umiem sobie radzić sama.

- To nie do pojęcia - wykszusił. - Jak możesz pozwalać, żeby tak cię poniżano?

- Nie zapominaj, że nikt oprócz mnie samej nie może mnie poniżyć.

Wstał z ławki.

- Wiem o tym, Torie. Ale powinnaś unikać niezręcznych sytuacji.

- Czyżby? - Uśmiechnęła się z przymusem. - A jak niby mam tego dokonać? Muszę z czegoś żyć, panie hrabio.

- Torie, nie kpij sobie.

- Wcale nie kpię! Nigdy w życiu nie byłam tak poważna. Gdybym nie pracowała jako guwernantka, to bym głodowała. Nie mam wyboru.

- Masz - szepnął w odpowiedzi i padł przed nią na kolana. - Możesz wyjechać ze mną.

Była wstrząśnięta.

- Z tobą? Skinął głową.

- Do Londynu. Wyruszymy jeszcze dzisiaj.

Z trudem opanowała chęć rzucenia mu się w ramiona. Coś w niej ożyło i nagle przypomniała sobie, że dokładnie to samo czuła, gdy pierwszy raz oświadczył się jej siedem lat temu. Ale życie nauczyło ją ostrożności, toteż starannie dobrała słowa, zanim zapytała:

- Co dokładnie proponujesz?

- Kupię ci dom i zatrudnię służbę.

Uleciała z niej wszelka nadzieja. On nie proponuje małżeństwa. Nie chce się z nią ożenić. Zamierza uczynić z niej swoją metresę. Mężczyźni nie żenią się z metresami.

- Nigdy niczego ci nie zabraknie - dodał.

Z wyjątkiem miłości, pomyślała smutno. I szacunku.

- Co miałabym robić w zamian? - zapytała, choć wcale nie dlatego, że brała pod uwagę przyjęcie propozycji. Chciała tylko usłyszeć z jego ust jednoznaczną odpowiedź.

Oślupiał ze zdziwienia, słysząc pytanie.

- No... Eee...

- Co? - powtórzyła dobitniej.

- Ja tylko chcę być z tobą. - Ujął jej dłonie i opuścił wzrok, jakby zdał sobie sprawę z niestosowności swych słów.

- Ale nie chcesz się ze mną ożenić - powiedziała surowym tonem. Jak mogła być tak głupia i myśleć, że znów będą ze sobą szczęśliwi?

Wstał.

- Nie myślałaś chyba...

- Oczywiście, że nie. Jak mogłabym sądzić, że pan hrabia Macclesfield poślubi córkę pastora? - W jej głosie zabrzmiała drwina. - Na Boga. Ja rzeczywiście przez całe siedem lat myślałam, jak oskubać cię z majątku.

Drgnął pod wpływem jej nieoczekiwanego ataku. Te słowa poruszyły w jego duszy coś, co przypominało wyrzuty sumienia. Nigdy do końca nie potrafił wyobrazić sobie Victorii w roli chciwej spryciary szukającej bogatego męża, ale czy mógł inaczej o niej myśleć? Na własne oczy widział, jak smacznie spała, zamiast uciekać razem z nim. Znowu otoczył serce pancierzem i powiedział:

- Nie wychodzi ci sarkazm, Victorio.

- I dobrze. - Machnęła ręką. - W takim razie uważam naszą rozmowę za skończoną.

Błyskawicznym ruchem złapał ją za nadgarstek.

- Hola, hola.

- Puść mnie - rzuciła stanowczo.

Wziął głęboki oddech, próbując się opanować. Nie chciał uwierzyć, że jest na tyle nierozsądna, że woli pozostać tu niż wyjechać z nim do Londynu.

- Powiem to raz jeszcze. - Wpatrywał się w nią. - Nie chcę cię tu zostawić na pastwę pozbawionych skrupułów facetów.

Jej śmiech jeszcze bardziej go wzburzył.

- Chcesz powiedzieć, że jednym pozbawionym skrupułów facetem, z którym wolno mi się zadawać, jesteś ty?

Tak. Nie! Na miłość boską, kobieto, nie możesz tu zostać.

Dumnie uniosła głowę.

- Nie widzę innego wyjścia. Zacisnął zęby.

- Właśnie ci zaproponowałem...

- Mówię... - Patrzyła lodowatym wzrokiem. - ... że nie widzę innego wyjścia. Nie będę niczyją metresą.

Wyrwała się i odeszła do wyjścia z labiryntu. Robert zdał sobie sprawę, że także z jego życia.

Robert pojechał do Londynu i starał się wrócić do normalnego życia. Nie był w stanie przekonać sam siebie, że nie obchodzi go odmowa Victorii.

Nie jadł, nie spał. Czuł się jak bohater lichego melodramatu. Widział Victorię wszędzie. W chmurach, w tłumie ludzi, a nawet w... zupie.

Gdyby nie był taki przybity, uznał później, pewnie nie stawiałby się na wezwanie ojca.

Co kilka miesięcy markiz przysyłał mu list z żądaniem przyjazdu do Castleford Manor. Początkowo były to ostre polecenia, ale z czasem listy przybrały ton bardziej ugodowy, a nawet błagalny. Markiz pragnął, aby Robert zainteresował się rodzinnym majątkiem. Chciał pokazać synowi, jakim zaszczytem jest nosić tytuł markiza. A najbardziej chciał, aby Robert się ożenił i dał mu dziedzica, który przejmie nazwisko Kemble.

O wszystkim tym - coraz uprzejmiej - pisał w listach. Ale Robert tylko je przeglądał, a potem wrzucał do kominka. Nie był w Castleford Manor od ponad siedmiu lat, od tamtego pechowego dnia, gdy jego marzenia - legły w gruzach, a ojciec, zamiast go pocieszyć, z radości omal nie zatańczył na swym bezcennym mahoniowym biurku.

Na to wspomnienie Robert z furią zacisnął zęby. Gdy by on miał dzieci, starałby się je zrozumieć i dawać im wsparcie. Na pewno nie cieszyłby się z ich porażek.

On i dzieci. Śmieszne zestawienie. Mało prawdopodobne, aby zostawił po sobie małych dziedziców. Nie mógł się ożenić z Victorią, a nie wyobrażał sobie małżeństwa z żadną inną kobietą.

Czarna rozpacz.

Tak więc, gdy nadszedł ostatni list, w którym ojciec pisał, że zbliża się do śmierci, Robert postanowił sprawić staruszkowi przyjemność. Już trzeci raz w tym roku dostawał taki list, ale zawarte w nich słowa okazywały się dalekie od prawdy. Mimo to spakował torby i wyjechał do Kent. Chciał oderwać myśli od Victorii.

Po przyjeździe do rodzinnego domu wcale się nie zdziwił, że ojciec jest zdrowiuteńki i tylko odrobinę się postarzał.

- Miło cię widzieć w domu, synu - rzekł markiz zaskoczony, że Robert stawiał się z Londynu na wezwanie.

- Wspaniale wyglądasz - odpowiedział, akcentując pierwsze słowo.

Markiz zakasłał.

- Przeziębienie? - zapytał Robert, niespiesznie unosząc brwi.

Ojciec posłał mu karcące spojrzenie.

- Tylko odchrząknąłem. Dobrze wiesz.

- O tak, my Kemblowie mamy końskie zdrowie. I chyba ośli upór.

Markiz odstawił na stół prawie pustą szklaneczkę whisky.

- Robert, co się z tobą dzieje?

- Słucham? - Robert rozsiadł się na sofie i położył nogi na stoliku.

- Wyglądasz jak swój cień. I zdejmij nogi ze stolika.

Robert pamiętał ten ton głosu z dzieciństwa. Słyszał go zawsze, gdy coś przeskrobał.

Bez zastanowienia postawił nogi na podłodze.

- Spójrz na siebie - rzekł z niesmakiem Castleford. - Zbijasz baki w Londynie. Pijesz, łajdaczysz się i trwonisz fortunę na grę w karty.

Robert smutno się uśmiechnął.

- O, w karty umiem dobrze grać. Podwoiłem swoje dochody.

Ojciec powoli odwrócił głowę.

- Na niczym ci nie zależy, prawda?

- Kiedyś mi zależało - szepnął Robert i poczuł nagłą pustkę w duszy.

Markiz nalał sobie kolejną szklaneczkę whisky. A potem, jakby nie znajdując już innych argumentów, powiedział:

- Matka wstydziłaby się za ciebie.

Roberta ścisnęło w gardle. Ojciec rzadko wspominał matkę. Minęła spora chwila, zanim zdołał się odezwać.

- Skąd możesz wiedzieć, co by czuła? Mało ją znałeś. Nie masz pojęcia, czym jest miłość.

- Kochałem ją! - odrzekł markiz. - Kochałem twoją matkę tak, jak ty nigdy nie będziesz umiał kochać. I wiem, na Boga, o czym marzyła. Pragnęła mieć dzielnego, uczciwego i szlachetnego syna.

- Zapomniałeś o odpowiedzialności związanej z dziedziczeniem tytułu.

Markiz pokręcił głową.

- Nie dbała o to. Chciała tylko, żebyś był szczęśliwy.

Przymknął powieki i pomyślał, że inaczej potoczyłoby się jego życie, gdyby matka dożyła jego związku z Victorią.

- Rozumiem, że twoim celem jest spełnienie jej marzeń. - Zaśmiał się z goryczą. - Proszę, jestem szczęśliwy.

- Nie tego dla ciebie pragnąłem. - Na twarzy markiza znać było wszystkie

sześćdziesiąt pięć przeżytych lat. I z dziesięć dodatkowych. Pokręcił głową i usiadł wygodniej w fotelu. - Nie tego chciałem. Mój Boże, co ja narobiłem?

- Co masz na myśli? - zapytał zaniepokojony Robert.

- Ona tu przyszła.

- Kto przyszedł?

- Ona. Córka pastora.

Robert zacisnął palce na oparciu sofy.

- Victoria?

Ojciec skinął głową.

Robertowi nasuwały się tysiące pytań. Czy Hollingwoodowie ją wyrzucili? Czy zachorowała? Doszedł do wniosku, że na pewno zachorowała. Musiało się stać coś naprawdę strasznego, skoro zwróciła się do ojca.

- Kiedy tu była?

- Zaraz po twoim wyjeździe do Londynu.

- Zaraz po... O czym ty mówisz, do diabła?

- Siedem lat temu.

Robert zerwał się na równe nogi.

- Victoria była tu wtedy, a ty mi słowa nie powiedziałeś?

- Nie chciałem patrzeć, jak rujnujesz sobie życie. - Gorzko się uśmiechnął. - Ale i tak zrujnowałeś.

Robert zaciskał palce na biodrach. Wiedział, że jeżeli nie tu, to na ojca gardle.

- Co mówiła?

Ojciec nie odpowiedział od razu.

- Co mówiła? - powtórzył ostrzej.

- Dokładnie nie pamiętam, ale... - Castleford wziął głęboki oddech. - Była załamana twoim wyjazdem. Przypuszczam, że nie z własnej woli nie zjawiała się wtedy na spotkaniu.

Poczuł skurcz w gardle i prawdopodobnie nie byłby w stanie wypowiedzieć ani słowa.

- Nie sądzę, aby chodziło jej o majątek - mówił zamyślony markiz. - Nie sądzę też, aby kobieta z jej pochodzeniem nadawała się na hrabinę, ale przyznam... - Odchrząknął. Nie należał do ludzi, którzy potrafią przyznawać się do słabości. - Ale przyznam, że mogłem się co do niej mylić. Prawdopodobnie kochała cię.

Przez moment Robert stał nieruchomo, a potem obrócił się i uderzył pięścią w ścianę.

- Niech cię wszyscy diabli! - krzyknął. - Jak mogłeś mi to zrobić?

- Wtedy sądziłem, że tak będzie najlepiej. Teraz widzę, że się myliłem.

Robert zamknął oczy. Było widać, że przeżywa mękę.

- Co jej powiedziałaś?

Markiz odwrócił głowę. Nie był w stanie spojrzeć synowi w oczy.

- Co jej powiedziałaś?!

- Że wcale nie miałeś zamiaru ożenić się z nią. I że tylko ją zwodziłeś.

- A ona myślała... O Boże, myślała... - Opadł na sofę. Victoria pomyślała, że cały czas ją okłamywał i wcale jej nie kochał...

Potem obraził ją, proponując, by została jego metresą. Poczul ogarniający go wstyd i nie wiedział już, czy kiedykolwiek będzie w stanie spojrzeć jej w oczy. Zastanawiał się, czy pozwoli mu przebywać w swej obecności na tyle długo, aby zdążył przeprosić.

- Robert - odezwał się ojciec. - Wybacz mi.

Robert wstał powoli. Ledwie nad sobą panował.

- Nigdy ci tego nie wybaczę.

- Robercie! - krzyknął markiz. Ale syn już opuścił pokój.

Robert nie zdawał sobie sprawy, dokąd zmierza, dopóki nie ujrzał domku pastora. Dlaczego tamtej nocy Victoria leżała w łóżku? Dlaczego nie przysłała na spotkanie?

Stał przed drzwiami pięć długich minut i wpatrywał się w mosiężną kołatkę. W głowie miał zamęt, a oczy tak rozbiegane, że nie zauważył ruchu zasłonki w oknie.

Nagle drzwi się otworzyły i ujrzał Eleanor Lyndon.

- To ty? - odezwała się wyraźnie zaskoczona.

Musiał zmrużyć oczy, aby skupić na niej wzrok. Niewiele się zmieniła, tylko szopę marchewkowych włosów okalających twarz miała upiętą w ścisły kok.

- Ellie - powiedział z trudem.

- Co ty tu robisz?

- Ja... Nie wiem.

- Marnie wyglądasz. Może... - zawahała się. - Może wejdiesz do środka?

Niepewnie skinął głową i ruszył za nią do pokoju gościnnego.

- Ojca nie ma - powiedziała. - Poszedł do kościoła. Robert wpatrywał się w nią milcząco.

- Na pewno dobrze się czujesz? Wyglądasz podejrzanie. Nie był w stanie nic powiedzieć.

Ellie zawsze lubiła jasne sytuacje.

- Robert?

Milczał jeszcze przez dłuższą chwilę, a potem nagle zapytał:

- Co się stało?

Zrobiła zdumioną minę.

- Słucham?

- Co się stało tamtej nocy? - powtórzył zniecierpliwionym tonem.

Na twarzy Ellie pojawiło się zrozumienie. Spojrzała w bok.

- A więc nie wiesz?

- Myślałem, że wiem, ale teraz... Niczego już nie wiem.

- Związał ją.

Poczuł się, jakby dostał cios w brzuch. - Co?

- Ojciec się obudził. - Coraz bardziej się denerwowała. - Zobaczył bagaże i związał Victorię. Powiedział, że ją zrujnujesz.

- O Boże. - Z trudem łapał oddech.

- Było strasznie. Tato wpadł w furję. Nigdy go takiego nie widziałam. Przykryłam Victorię kocem, żeby się nie przeziębila.

Przypomniał sobie, jak leżała w łóżku. On się na nią złościł, a ona miała skrupowane ręce i nogi.

- Mnie też związał - opowiadała dalej Ellie. - Chyba wiedział, że uwolniłabym ją, aby mogła z tobą iść. Zaraz potem, jak tylko zostałyśmy rozwiązane, wymknęła się i popędziła do Castleford Manor. Okropnie podrapała się w lesie.

Odwrócił wzrok. Poruszał ustami, lecz nie wydawał żadnego głosu.

- Nigdy mu tego nie wybaczyła - dodała Ellie. Ze smutkiem wzruszyła ramionami. - Ja się pogodziłam z ojcem. Nie uważam, że postąpił słusznie, ale jakoś doszliśmy do porozumienia. Natomiast Victoria...

- No mów... - naciskał.

- Już nigdy nie wróciła do domu. Nie widziałyśmy się od siedmiu lat.

Spojrzał na nią.

- Nie wiedziałem o tym, Ellie. Przysięgam.

- Bardzo byłyśmy zaskoczone twoim wyjazdem - mówiła spokojnie. - Victoria miała złamane serce.

- Nie wiedziałem - powtórzył.

- Uznała, że chciałeś ją uwieść, a ponieważ ci się nie udało, znudziłeś się i odjechałeś.

- Wbiła wzrok w podłogę. - Nie wiedziałyśmy, co myśleć. Stało się tak, jak przepowiadał ojciec.

- Nie - szepnął. - Nie, ja ją kochałem.

- Więc dlaczego wyjechałeś?

- Ojciec zagroził, że mnie wydziedziczy. Nie zjawiała się na spotkaniu, więc pomyślałem, że doszła do wniosku, że w takiej sytuacji nie warto za mnie wychodzić. - Wstydził się tych słów. Powinien był wiedzieć, że Victorii nigdy nie zależało na majątku i tytule. Nagle wstał. Z trudem utrzymywał równowagę i musiał się przytrzymać stołu.

- Napijesz się herbaty? - zaproponowała Eleanor i też wstała. - Chyba naprawdę źle się czujesz.

- Ellie. - Po raz pierwszy w tej rozmowie jego głos brzmiał trzeźwo. - Od siedmiu lat źle się czuję. A teraz wybacz... Wyszedł w pośpiechu.

Ellie doskonale wiedziała, dokąd się udał.

- Jak to: odprawiła ją pani?

- I to bez referencji - dodała z dumą lady Hollingwood. Robert wziął głęboki oddech. Zdał sobie sprawę, że pierwszy raz w życiu ma ochotę uderzyć kobietę.

- Pozwoliła pani... - Przerwał, przełknął ślinę, potrzebował czasu na opanowanie gniewu. - Bez mrugnięcia okiem odprawiła pani dobrą i solidną dziewczynę? Gdzie ona miała się podziąć?

- To już nie moje zmartwienie. Nie mogłam pozwalać, aby ta przybłąda uczyła mojego syneczka. I byłabym nieodpowiedzialna, gdybym udzieliła jej referencji, aby swoim złym wpływem psuła inne dzieci.

- Raczej niestosownie jest nazywać przyszłą hrabinę przybłądą, pani Hollingwood - powiedział stanowczo.

- Przyszłą hrabinę? - W głosie lady pojawiła się panika. - Pannę Lyndon?

- W rzeczy samej. - Robert długo ćwiczył lodowate spojrzenia, a dla lady Hollingwood zachował najostrzejsze z nich. - Ależ pan... Pan nie może się z nią ożenić!

- Czyżby?

- Eversleigh zwierzył mi się, że ona go kokietuje.

- Bydlak.

Lady Hollingwood struchlała na dźwięk wulgarnego słowa.

- Hrabio Macclesfield, muszę prosić...

- Gdzie ona jest? - przerwał.

- Nie mam pojęcia.

Podszedł bliżej, patrząc groźnie.

- Nie ma pani pojęcia? Zupełnie nic nie przychodzi pani do głowy?

- Może... Może zwróciła się do tego samego biura pracy, które mnie ją poleciło.



- No, to już coś. Wiedziałem, że z pani może być pożytek.

Lady Hollingwood niepewnie rozglądała się na boki.

- Gdzieś tu mam adres. Zaraz panu zapiszę.

Położył ręce na biodrach i wyprostował się z wyniosłą miną. Lady Hollingwood, zerkając na niego trwożnie, przeszła na drugi koniec pokoju i wyjęła z biurka papier. Drżącą ręką przepisała adres.

- Proszę - powiedziała, wręczając mu karteczkę. - Mam nadzieję, że to drobne nieporozumienie nie wpłynie na naszą przyszłą znajomość.

- Droga pani, nie znajduję ani jednego powodu, dla którego kiedykolwiek miałbym pragnąć spotkania z panią.

Lady zbladła - oto jej aspiracje towarzyskie właśnie legły w gruzach.

Robert spojrział na londyński adres i wyszedł z pokoju, nie pofatygowawszy się nawet skinąć gospodyni głową na pożegnanie.

Pracowniczka biura niechętnym tonem poinformowała, że Victoria rzeczywiście szukała u nich posady, ale została odprawiona z kwitkiem. Nie ma pracy dla guwernantek bez referencji.

Robert nie mógł opanować drżenia rąk. Jeszcze nigdy nie czuł się tak bezsilny. Gdzież więc ona jest, do diabła?

Kilka tygodni później Victoria, nucąc wesoło pod nosem, szła do pracy z paczką szycia pod pachą. Nie pamiętała, kiedy ostatnio czuła się tak szczęśliwa. Owszem, w sercu nadal nosiła ranę zadaną przez Roberta, ale pogodziła się już z myślą, że ten ból nigdy nie minie.

Była zadowolona. Kiedy kobieta z biura pracy skazała ją na bezrobocie, przeżyła chwile paniki, ale szybko przypomniała sobie, że umie dobrze szyć. Bez trudu znalazła pracę w zakładzie krawieckim.

Dostawała pieniądze za każdą uszytą sztukę i to dawało jej satysfakcję. Jeżeli wykonała pracę dobrze, to nikt nie mógł jej nic zarzucić. Nie było żadnej lady Hollingwood, która narzeka, że jej dziecko za wolno recytuje abecadło, a potem zrzuca winę na Victorię, bo zgubiło się przy M, N, O. Victorii podobało się, że w zakładzie obowiązywały jasne reguły. Jeżeli szyje prosto, nikt nie może jej zarzucić partactwa.

Nie lubiła posady guwernantki. A w zakładzie krawieckim naprawdę jej się podobało.

Lady Hollingwood wyrzuciła ją po wielkim skandalu. Wredny Eversleigh, pragnąc zemścić się na Victorii, zaczął rozpowiadać bzdury. A lady nigdy nie przedłożyłaby słowa guwernantki ponad słowo człowieka z towarzystwa.

Robert wyjechał i nie mógł stanąć w jej obronie. Zresztą niczego od niego nie oczekiwała. Po tym, jak znieważył ją propozycją, by została metresą, nie mogła liczyć na jego pomoc.

Potrząsnęła głową. Starła się nie myśleć o tamtym zajściu. Nigdy nie sądziła, że zostanie tak upokorzona. Nigdy w życiu nie wybaczy tego Robertowi.

Ba! Ten gbur raczej nie będzie miał okazji błagać o przebaczenie.

Zauważyła, że lepiej się czuje, gdy myśli o nim „gbur”. Już siedem lat temu powinna go tak nazwać.

Z paczką szycia pod pachą pchnęła tylne drzwi zakładu krawieckiego madame Lambert.

- Witaj, Katie - pozdrowiła koleżankę. Blondynka spojrzała na nią z wyraźną ulgą.

- Victoria, tak się cieszę, że w końcu jesteś.

- Coś się stało? - Victoria położyła paczkę z szyciem.

- Madame... - Katie przerwała i obejrzała się za siebie. - Madame się wścieka. W sklepie cztery klientki, a ona...

- Jest tu Victoria? - krzyknęła na zaplecze madame Lambert, nie fatygując się udawać francuskiego akcentu, z którym zawsze mówiła w obecności klientów. Victoria właśnie sortowała szycie, które poprzedniego dnia zabrała do domu. - Bogu dzięki. Musisz wyjść na sklep.

Victoria pośpiesznie odłożyła rękaw i wyszła z zaplecza. Madame Lambert chętnie posyłała Victorię do klientów, bo dziewczyna umiała prowadzić konwersację na odpowiednim poziomie.

Szefowa zaprowadziła ją do pewnej szesnastolatki, która z całych sił starała się ignorować korpulentną kobietę - zapewne swą matkę - stojącą tuż obok.

- Victohhhria - Madame przypomniała sobie o francuskim akcencie. - To jeeest panna Harriet Brightbill, a to jej mamau. - Wskazała kobietę. - Bądź tak dohhhhra i pomóż młodej damie przy doborze sthhhroju.

- Ja dokładnie wiem, czego chcę - oznajmiła pan Brightbill.

- A ja wiem, czego ja chcę - dodała Harriet z dłońmi na biodrach.

Victoria powstrzymała się od uśmiechu.

- Poszukamy czegoś, co spodoba się obu paniom. Pani Brightbill wydała z siebie głośny pomruk.

- Mamo! - zwróciła się do niej karcąco Harriet. Przez następną godzinę Victoria prezentowała po kolei różne tkaniny. Dokładnie oglądały wszystkie jedwabie, muśliny,

satyny. Victoria szybko się zorientowała, że Harriet ma o wiele lepszy gust niż jej matka. Sporo czasu straciła na przekonywanie pani Brightbill, że o sukcesie towarzyskim niekoniecznie muszą decydować falbanki na sukni.

W końcu pani Brightbill, która naprawdę kochała córkę i chciała dla niej jak najlepiej, przeprosiła i wyszła do poczekalni. Harriet usiadła na krześle i głęboko odetchnęła.

- Zmęczyła cię, nie? - zagadnęła.

Victoria się uśmiechnęła.

- Dobrze, że kuzyn zaprosił nas na ciastka, bo inaczej nie zniósłabym tych zakupów. A musimy jeszcze iść do kapelusznika i rękawicznika.

- Na pewno miło spędzicie czas - powiedziała dyplomatycznie Victoria.

- Miło spędzę czas dopiero, gdy wszystkie pakunki dotrą do domu i będę mogła je otworzyć... O, patrz! Właśnie idzie mój kuzyn. Robert! Robert!

Victoria zareagowała odruchowo. Na dźwięk imienia Robert natychmiast schowała się za doniczkową roślinę. Odezwał się dzwonek przy drzwiach. Victoria zerkała zza liści.

To Robert. Jej Robert.

Z trudem zdławiła jęk. Tylko tego brakowało! Właśnie teraz, gdy znalazła w życiu trochę szczęścia, on musiał się pojawić i wyrzucić wszystko do góry nogami. Nie była pewna, co do niego czuje, ale wiedziała jedno - nie chciała się z nim spotkać, i to w miejscu pracy.

Milimetr po milimetrze przesuwiała się w stronę drzwi na zaplecze.

- Kuzynie - usłyszała głos Harriet, gdy przemykała się za jej krzesłem. - Bogu dzięki, że już jesteś. Mama doprowadza mnie do obłądzenia.

Robert zaśmiał się, a jego śmiech ukłuł Victorię w serce.

- Gdybym nie widział, jak doprowadza cię do szaleństwa, uznałbym, że ci to nie grozi.

Harriet westchnęła, jakby chciała powiedzieć „ale to życie ciężkie”, zupełnie w stylu szesnastolatki, która jeszcze nic o życiu nie wie.

- Gdyby nie ta wspaniała sprzedawczyni... - Nastąpiła chwila ciszy, a Victoria przycupnęła za sofą. - Co się stało z Victorią?

- Z Victorią?

Victoria wstrzymała oddech. Nie lubiła tego tonu w jego głosie. Od drzwi dzieliło ją zaledwie półtora metra. Na pewno się uda. Powoli wstała, kryjąc się za manekinem krawieckim w sukni z ciemnozielonej satyny, i zaczęła cofać się na zaplecze.

Powinno się udać. Wiedziała, że powinno.

Już sięgała po klamkę. Przycisnęła. Tak. Poszło gładko.

Udało się! Odetchnęła z ulgą i oparła się o ścianę. Dzięki Bogu już nie musiała obawiać się konfrontacji z Robertem.

- Victoria? - odezwała się Katie, patrząc ze zdumieniem na koleżankę. - Myślałam, że pomagasz...

Drzwi otworzyły się z hukiem. Katie krzyknęła. Victoria wydała z siebie jęk.

- Victoria? - powiedział Robert. - Dzięki Bogu, to ty!

Rozrzucił bele z tkaninami i przewrócił manekin. Gdy stanął naprzeciwko niej, spojrzała na niego z przerażeniem. Oddychał z trudem i miał wymizerowaną twarz.

I w tym momencie, nie zwracając uwagi na to, że mają widownię, nie zdając sobie sprawy, że Katie, madame Lambert, Harriet, pani Brightbill i trzy inne klientki przyglądają się zdziwione, przyciągnął ją do siebie z zachłannością głodnego człowieka i przytulił.

A potem zaczęli się całować.

Robert głaskał Victorię po rękach, ramionach, plecach. Jakby chciał się upewnić, czy to naprawdę ona. Na moment przerwał i zajął jej w oczy, a potem objął dłońmi jej twarz i pocałował.

Całował z całą namiętnością, którą tłumił od siedmiu lat.

Całował z tęsknotą, którą przez kilka ostatnich tygodni potęgowała niepewność, co się z nią dzieje i czy w ogóle żyje.

I pewnie całowałby ją w nieskończoność, gdyby czyjaś ręka nie złapała go za lewe ucho i nie odciągnęła na bok.

- Robercie Kemble! - przemówiła ciotka. - Jak ci nie wstyd?

Rzucił błagalne spojrzenie Victorii, która wyglądała na oszołomioną i przerażoną.

- Muszę z tobą porozmawiać - powiedział stanowczo, celując w nią palcem.

- Co to ma znaczyć? - zapytała madame Lambert bez śladu francuskiego akcentu.

- Ta kobieta będzie moją żoną - ogłosił Robert.

- Co? - jęknęła Victoria.

- Wielkie nieba - wydusiła pani Brightbill.

- Och, Victorio! - radośnie zaszczębiotała Katie.

- Robert, dlaczego nic nam nie mówisz? - zapytała Harriet.

- Kim ty jesteś, do diabła? - wykrzyknęła madame Lambert, ale nikt nie wiedział, czy zwraca się do Roberta czy do Victorii.

Wszyscy mówili jednocześnie, zrobiło się spore zamieszanie, aż w końcu Victoria krzyknęła:

- Cicho! Przestańcie wszyscy!

Wszyscy spojrzeli w jej stronę. Nie wiedziała, jak się zachować, znalazłszy się w centrum uwagi. W końcu uniosła głowę.

- Przepraszam wszystkich - przemówiła w końcu. - Nie czuję się najlepiej. Chyba dzisiaj pójdę wcześniej do domu.

Rozpętało się piekło. Każdy z obecnych miał własną stanowczą i niepodważalną opinię na temat niezwyklej sytuacji, której właśnie byli świadkami. W zamieszaniu Victoria próbowała wymknąć się tylnymi drzwiami, ale Robert był szybszy. Złapał ją za nadgarstek i pociągnął z powrotem na środek pomieszczenia.

- Nigdzie nie idziesz - rzekł głosem jednocześnie wzburzonym i łagodnym. - Najpierw

porozmawiamy.

Harriet zrobiła unik przed machającą wściekle rękami matką i dopadła Victorii.

- Naprawdę wyjdiesz za mojego kuzyna? - zapytała zachwycona.

- Nie - odparła Victoria i lekko pokręciła głową.

- A właśnie że tak - wtrącił Robert. - Wyjdzie za mnie.

- Przecież nie chcesz się ze mną ożenić.

- Ależ chcę. Czy w innym razie mówiłbym coś takiego w obecności największej plotkary w Londynie?

- Ma na myśli moją mamę - wyjaśniła Harriet.

Victoria usiadła na beli zielonej satyny i ukryła twarz w dłoniach.

U jej boku stanęła madame Lambert.

- Nie wiem, kim pan jest - powiedziała, celując w niego palcem - ale nie pozwolę krzywdzić swojej pracownicy.

- Jestem hrabią Macclesfield.

- Hrabią... - Wybałuszyła oczy. - Hrabią... Victoria jęknęła. Zapragnęła zapaść się pod ziemię. Madame Lambert usiadła obok niej.

- Ej, dziewczyno, on naprawdę jest hrabią? I chce się tobą ożenić?

Victoria skinęła głową, nadal kryjąc twarz w dłoniach.

- Na miłość boską! - odezwał się władczy głos. - Czy wy nie widzicie, że dziewczyna jest w rozpacz?

Starsza dama ubrana na czerwono podeszła do Victorii i obdarzyła matczynym uściskiem. Victoria podniosła głowę.

- Kim pani jest?

- Wdową po księciu Beechwood.

Victoria spojrzała na Roberta.

- Kolejna twoja krewna?

Księżna odpowiedziała w jego imieniu.

- Zapewniam cię, że ten łotr nie jest ze mną spokrewniony. Przyszłam tu w swoich sprawach, bo szukam sukni dla wnuczki na bal, debutantek i...

- Boże... - załkała Victoria i z powrotem schowała twarz w dłoniach. Słowo „upokorzenie” nabrało nowego odcienia, gdy zaczęli się nad nią litować zupełnie obcy ludzie...

Wdowa karcąco spojrzała na madame Lambert.

- Nie widzi pani, że biedaczka napiłaby się herbaty?

Madame zawahała się, bo nie chciała stracić ani chwili z przebiegu akcji, a potem szturchnęła Katie. Dziewczyna pobięła zrobić herbatę.

- Victoria - rzekł Robert, siląc się na spokój i cierpliwość, co przy takiej widowni było trudne. - Musimy porozmawiać.

Podniosła głowę i przetarła oczy. Współczucie obcych kobiet i własny gniew dodawały jej sił.

- Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego - oznajmiła, lekko pociągając nosem. - Nic a nic.

Po tych słowach ciotka Roberta usiadła z drugiej strony obok Victorii i otoczyła ją drugim matczynym uściskiem.

- Cioteczko Brightbill - odezwał się Robert rozdrażnionym głosem.

- Coś ty zrobił tej biedaczce? - zapytała ciotka.

Robert westchnął. Najwidoczniej wszystkie kobiety z Wysp Brytyjskich - wyjąwszy lady Hollingwood - sprzysięgły się przeciwko niemu.

- Próbuje prosić ją o rękę - wybuchnął. - To chyba coś znaczy.

- On ci się oświadcza, moja ty biedaczko. - Pani Brightbill spojrzała na Victorię z zatroskaniem. Zniżyła głos o oktawę i rzeczowo zapytała: - Czy z jakiegoś powodu jest to konieczne?

Harriet otworzyła usta. Nawet ona zrozumiała, co to znaczy.

- W żadnym razie! - uniosła głos Victoria. A potem zdając sobie sprawę, że obecność licznego damskiego towarzystwa wprawi Roberta w zakłopotanie i, ponieważ nadal była na niego wściekła, dodała: - Próbował mnie zbałamucić, ale się nie dałam.

Pani Brightbill zerwała się na równe nogi niewiarygodnie szybko, jeśli brać pod uwagę obwód jej pasa, i wymierzyła Robertowi policzek.

- Jak śmiałeś?! - wrzasnęła. - To biedactwo jest takie delikatne i wrażliwe. - Nagle uświadomiła sobie, że jej bratanek, hrabia, na miłość boską, właśnie oświadczył się krawcowej. Odwróciła głowę do Victorii. - Mówiłam, że jesteś delikatna i wrażliwa? Chciałam powiedzieć, że takie sprawiasz wrażenie.

- Victoria jest delikatna i wrażliwa pod każdym względem - powiedział Robert. - Jej ojciec jest pastorem w Bellefield - dodał i w skrócie opisał ich historię.

- Och, ale romantyczne - westchnęła Harriet.

- Nie było w tym krzty romantyzmu - ucięła Victoria. A potem dodała łagodniej: - Mówię to na wypadek, gdyby tobie kiedyś wpadło do głowy uciekać z mężczyzną.

Matka Harriet wyrozumiale poklepała Victorię po ramieniu.

- Robert - odezwała się uroczyście. - Rzeczywiście będziesz najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, jeżeli zdołasz przekonać tę uroczą i rozsądną kobietę, aby przyjęła twoje oświadczenia.

Otworzył usta i chciał coś powiedzieć, ale przerwał mu szum wody w czajniku. Gdy herbata została zaparzona, kobiety straciły dla Roberta zainteresowanie. Poklepywały Victorię po ramieniu i wyrażały współczucie.

Robert nie wiedział, jak do tego doszło, ale zdecydowanie utracił przewagę. Był tu jedynym mężczyzną wśród - rozejrzał się dokoła - ośmiu kobiet.

Ośmiu? A niech to. Zaczęło robić się duszno. Poluzował krawat.

W końcu, gdy pewna dama w różowej sukni - nie miał pojęcia, co za jedna, domyślał się tylko, że kolejna przypadkowa obserwatorka - odsłoniła mu Victorię, powtórzył chyba setny raz:

- Muszę z tobą porozmawiać.

Wdowa po księciu Beechwood jeszcze raz ją poklepała, a Victoria, przełknąwszy łyk herbaty, odparła:

- Nie.

Ruszył krok do przodu i powiedział nieco mocniejszym tonem:

- Victoria...

Zrobiłby jeszcze krok, ale osiem kobiet jednocześnie spojrzało na niego z pogardą. Nawet on nie był w stanie tego wytrzymać. Uniósł rękę i mruknął:

- Idę z tego kurnika.

Siedząca wśród swych nowych wielbicielek Victoria uśmiechała się z satysfakcją.

Robert zaczerpnął tchu i uniósł palec.

- Ale to jeszcze nie koniec. I tak porozmawiamy.

Po czym dodał jeszcze coś o kwokach i grzędach i wyszedł z zakładu krawieckiego.

- Jeszcze tam jest?

Na pytanie Victorii Katie kolejny raz wyjrzała przez okno wystawowe.

- Karetą stoi, jak stała.

- Do diabła - wymamrotała Victoria, na co natychmiast zareagowała pani Brightbill: - Myślałam, że masz ojca pastora.

Victoria spojrzała na zegar. Karetą Roberta stała przed zakładem krawieckim już dwie godziny i nic nie wskazywało na to, aby miała odjechać. Również żadna z kobiet, które były świadkami spotkania Victorii i Roberta, nie kwapiła się do odejścia. Madame Lambert musiała zaparzyć już cztery dzbanki herbaty.



- Nie może przecież stać na ulicy cały dzień, prawda? - spytała Harriet.

- Jest hrabią - odpowiedziała jej matka rzeczowym tonem. - Wszystko mu wolno.

- I na tym właśnie polega problem - podsumowała Victoria. Jak on śmie wchodzić z buciorami do jej życia tylko dlatego, że znów sobie ubzdurał, że chce się z nią ożenić?

Chce się z nią ożenić. Z niedowierzaniem pokręciła głową. Kiedyś o niczym innym nie marzyła. Teraz wydawało jej się to okrutnym żartem losu.

Chce ją poślubić? Ha! Trochę na to za późno, do cholery.

- Znowu przeklinasz? - szepnęła Harriet, spoglądając ukradkiem na matkę.

Zdziwiona Victoria uniosła głowę. Nie miała pojęcia, że myśli na głos.

- To przez niego.

- Przez kuzyna Roberta? Victoria skinęła głową.

- Wydaje mu się, że może dyrygować moim życiem. Harriet wzruszyła ramionami.

- Wszystkimi próbuje dyrygować. Przeważnie świetnie mu to wychodzi. Jeszcze nigdy nie byliśmy w tak znakomitej sytuacji materialnej, odkąd on zajął się naszymi finansami.

Victoria spojrzała zdumiona.

- Czy rozmowa o pieniądzach nie jest przypadkiem w złym tonie?

Harriet machnęła ręką.

- No tak, ale ty należysz do rodziny.

- Nie należę do waszej rodziny - oświadczyła Victoria.

- Ale będziesz - odparła Harriet - jeśli kuzyn Robert tego chce. On zawsze dopnie swego.

Victoria przyłożyła dłonie do ust i spojrzała przez okno na karetkę.

- Nie tym razem.

- Ech, Victoria. - Harriet wyglądała na nieco zaniepokojoną. - Za mało się znamy, żebym mogła czytać ci z twarzy. Ale muszę powiedzieć, że nie podoba mi się to twoje spojrzenie.

Victoria odwróciła się zmieszana.

- O czym ty, do diabła, mówisz?

- Nie wiem, co ci chodzi po głowie, ale nie radzę.

- Mam zamiar z nim porozmawiać - oświadczyła Victoria i zanim ktokolwiek w zakładzie się zorientował, wyszła na ulicę.

W jednej chwili Robert wyskoczył z karety. Otworzył usta, aby coś powiedzieć, ale Victoria go uprzedziła.

- Chciałeś ze mną rozmawiać? - zaczęła ostro.

- Tak, chcia...

- Dobra. Ja też chcę porozmawiać.

- Torie, ja...

- Nawet sobie nie myśl, że możesz decydować o moim życiu. Nie wiem, co cię skłoniło do nagłej zmiany planów, ale wiedz, że nie jestem marionetką w twoich rękach.

- Oczywiście, że nie, tylko...

- Nie możesz mi ubliżać i liczyć, że zaraz o tym zapomnę.

- Zdaję sobie sprawę, ale...

- Poza tym dobrze mi bez ciebie. Jesteś arogancki, natrętny i nie do zniesienia...

- ... ale mnie kochasz - przerwał wyraźnie zadowolony, że w końcu zdołał się odezwać.

- Wcale nie!

- Victoria - powiedział irytująco słodkim głosem - zawsze mnie będziesz kochać.

Popatrzyła z politowaniem.

- Wariat jesteś!

Uklonił się, przyciągnął jej dłoń i złożył pocałunek.

- Jeszcze nigdy nie byłem rozsądniejszy niż w tej chwili.

Victoria wstrzymała oddech. Nagle ogarnęły ją wspomnienia. Znow miała siedemnaście lat. Znow była zakochana po uszy. Znow marzyła o pocałunkach.

- Nie - wykrztusiła z trudem. - Nie. Drugi raz mi tego nie zrobisz.

Spojrzał jej w oczy płomiennym wzrokiem.

- Victoria, ja cię kocham. Zabrała rękę.

- Ale ja nie kocham ciebie - rzuciła i pobiegła do zakładu. Spoglądając za nią, Robert ciężko westchnął. Dlaczego myślał, że padnie mu w ramiona i wyzna dozgonną miłość? Przecież miała prawo być na niego zła. Nawet wściekła. Jednak nie miał czasu na głębsze rozmyślanie, bo z zakładu krawieckiego jak burza wypadła ciotka.

- Coś ty zrobił tej biedaczce? - zagadkała. - Mało już dzisiaj narozrabiałeś?

Rzucił ciotce ostre spojrzenie. Jej wścibstwo zaczynało go irytować.

- Wyznałem Victorii miłość. Ciotce zrzęda mina.

- Naprawdę?

Nawet nie pofatygował się skinąć głową.

- W każdym razie cokolwiek jej nagadałeś, więcej tego nie powtarzaj.

- Cioteczka chce, żebym przestał wyznawać jej miłość? Położyła ręce na wydatnych biodrach.

- Jest bardzo zdenerwowana.

Miał po dziurki w nosie babskiego kramarzenia.

- Ja też, do cholery.

Pani Brightbill zrobiła krok do tyłu i, oburzona, przyłożyła dłoń do piersi.

- Robercie Kemble, ważyłeś się zakląć w mojej obecności?

- Zmarnowałem sobie siedem lat życia z powodu głupiego nieporozumienia wywołanego przez dwójkę cholernie upartych ojców. I szczerze mówiąc, cioteczko, nie mam teraz głowy do dbania o twoją nadwrażliwość.

- Robercie Kemble, tak dotkliwa zniewaga...

- ... w życiu cię nie spotkała. - Westchnął i przewrócił oczami.

- ... w życiu mnie nie spotkała. I nie dbam o to, że jesteś hrabią. Poradzę tej biedaczce, żeby za ciebie nie wychodziła. - Ostro się zachnęła, zrobiła w tył zwrot i pomaszerowała do zakładu.

- Kwoki! - krzyknął Robert w stronę drzwi, - Wszystkie jesteście jak kwoki w kurniku!

- Najmocniej przepraszam, jaśni panie - odezwał się woźnica oparty plecami o ściankę karety - ale kogut to lepi j, żeby się tam tera nie pakował.

Robert spojrział na niego wściekłym wzrokiem.

- MacDougal, gdybyś tak cholernie dobrze nie znał się na koniach...

- Wim, wim, to jaśni pan już dawno by mnie wykopał.

- Nigdy nie jest za późno - warknął Robert.

MacDougal uśmiechnął się z ufnością człowieka, który ze służącego stał się przyjacielem.

- A widziałeś pan, jak szybko powiedziała, że pana nie kocha?

- Widziałem.

- Ja tylko tak. Na wypadek, jakbyś pan nie zauważył. Robert popatrzył groźnie i powiedział:

- Trochę za zuchwały jesteś jak na woźnicę.

- I dlatego jaśni pan mnie trzymasz.

Robert wiedział, że to prawda, ale nie miał zamiaru przyznawać Szkotowi racji, więc znowu spojrział na witrynę zakładu krawieckiego.

- Możecie się barykadować - krzyknął, grożąc pięścią. - Ja nie odjadę!

- Co on mówi? - zapytała pani Brightbill, kojąc skołatane nerwy siódmą filiżanką herbaty.

- Że nie odjedzie - odpowiedziała Harriet.

- Nic dziwnego - mruknęła Victoria.

- Poproszę jeszcze o herbatę! - zawołała pani Brightbill, potrząsając pustą filiżanką. Katie pośpiesznie dołała jej parującego napoju. Starsza dama wypila, wstała i wygładziła spódnice. - Przepraszam na moment - zwróciła się do zebranych i poczłapała w stronę toalety.

- Madame musi kupić jeszcze jeden dzbanek - powiedziała cicho Katie. Victoria skarciła ją wzrokiem, ale dziewczyna nie zrozumiała i dodała: - Nie ma już herbaty. Ani kropli.

Harriet zrobiła osowiałą minę i odstawiła filiżankę.

- To szaleństwo - stwierdziła Victoria. - Robert nas uwięził.

- Właściwie to tylko ciebie - zauważyła Harriet. - Ja mogę wyjść w każdej chwili, a on nawet nie zwróci na to uwagi.

- Zwróci - powiedziała Victoria. - On wszystko widzi. Nigdy nie spotkałam bardziej wścibskiego i zawziętego...

- Chyba już dosyć, moja dhhhroga - przerwała jej madame Lambert w obawie, że jej krawcowa zacznie obrażać klientelę. - To w końcu hrabia i kuzyn panienki Brightbill.

- Victorio, nie krępuj się moją obecnością - powiedziała Harriet z entuzjazmem. - Słucham z przyjemnością.

- Harriet! - zawołała nagle Victoria.

- Słucham.

- Harriet.

- Chyba już to mówiłaś.

Victoria wpatrywała się przenikliwie w pannę Brightbill, a w głowie wirowały jej myśli.

- Harriet, chyba Bóg mi cię zesłał.

- Raczej wątpię - odpowiedziała. - Nie kończę zdań i mówię bez namysłu, co mi ślina na język przyniesie.

Victoria zaśmiała się i wzięła ją za rękę.

- Mnie się to podoba.

- Naprawdę? To cudownie. Wspaniale będzie mieć taką kuzynkę.

Victoria zacisnęła zęby.

- Nie będę twoją kuzynką.

- Szkoda. Kuzyn Robert nie jest taki zły. Zyskuje przy bliższym poznaniu.

Victoria wstrzymała się, by nie powiedzieć, że już ona się na nim dobrze poznała.

- Harriet, wyświadczysz mi przysługę?

- Z przyjemnością.

- Chciałabym, żebyś mi pomogła w pewnej zmyłce.

- O, chętnie. Mama zawsze twierdzi, że ja cała jestem jedna wielka zmyłka.

- Wybiegniesz ze sklepu, żeby zwrócić na siebie uwagę Roberta? A ja wtedy wymknę się tylnymi drzwiami.

Harriet zmarszczyła brwi.

- Ale wtedy on nie będzie miał szans zalecać się do ciebie.

Victoria uznała się za świętą, ponieważ nie krzyknęła „no właśnie!!!”. Zamiast tego powiedziała łagodnym tonem:

- Harriet, pod żadnym pozorem nie zamierzam wyjść za twojego kuzyna. Ale jak się szybko stąd nie wydostanę, to pewnie zmitrężymy tu całą noc. Robert nie ma najmniejszego zamiaru odjechać.

Na twarzy Harriet odbiło się wahanie. Victoria postanowiła wyciągnąć asa z rękawa.

- Zagrasz matce na nosie. Harriet rozpromieniła się.

- Dobrze.

- Zaczekaj chwileczkę. - Victoria w pośpiechu zaczęła zbierać swoje rzeczy.

- Co mam mu powiedzieć?

- Cokolwiek.

Harriet wykrzywiła usta.

- Nie jestem pewna, czy to dobry plan. Victoria skończyła pakowanie.

- Błagam cię.

Szesnastolatka ciężko westchnęła, teatralnym gestem wzruszyła ramionami, otworzyła drzwi i wyszła z zakładu.

- Doskonale - szepnęła Victoria i wymknęła się na zaplecze. Zarzuciła pelerynę, mocno się opatuliła i wyszła tylnymi drzwiami.

Nareszcie wolność! Chciało jej się skakać.

Zdawała sobie sprawę, że jeszcze za wcześnie na radość, ale to, że udało jej się zwieść Roberta, napawało ją ogromną satysfakcją. Później zastanowi się, co właściwie do niego czuje.

Zbiegła po schodach i wyszła na ulicę. Ledwie jednak postawiła stopę na bruku, poczuła na sobie czyjś wzrok.

To na pewno Robert.

Lecz gdy odwróciła głowę, ujrzała czarnowłosego olbrzyma z groźną blizną na

policzku.

Ruszył w jej stronę.

Rzuciła torbę i krzyknęła.

- Cicho, paninko - rzekł podejrzany osobnik. - Nic ci nie zrobię.

Nie widziała powodów, aby mu wierzyć. Wymierzyła mu silnego kopniaka w goleń, odwróciła się i ruszyła w przeciwnym kierunku, aby za zakrętem wmieszać się w londyński tłum.

Ale albo napastnik był bardzo szybki, albo za słabo go kopnęła, bo po chwili dopadł ją, złapał wpół i podniósł. Krzyczała, piszczała i wrzeszczała w niebogłosość. Nie zamierzała bez walki dać się porwać temu łajdakowi.

Udało jej się wymierzyć mu silny cios w głowę. Puścił ją i zaklął szańście. Victoria znów stała na ziemi, ale ledwie odbiegła kilka metrów, silna ręka mężczyzny sięgnęła jej peleryny.

I wtedy padły najbardziej przerażające słowa.

- Jaśni panie! - krzyczał intruz.

Jaśnie panie? Serce jej zamarło. Powinna była się domyślić.

- Jak pan nie wyjdiesz zza winkła, to nigdy wincyj nie spróbujesz mnie odprawić, bo sam odejdę!

Victoria stanęła jak wryta. Zamknęła oczy, bo nie chciała patrzeć na uśmiechniętego i zadowolonego z siebie Roberta wychodzącego zza rogu.

W końcu jednak uniosła powieki.

- Gonią cię? - zapytał Robert.

- Kto?

- One. Te kobiety. - Powiedział to takim tonem, jakby wymieniał nazwę jakiegoś odrażającego owada.

Spróbowała wyrwać rękę.

- Nie, popijają herbatę.

- Bogu dzięki.

- Twoja ciocia zaproponowała, że mogę u niej zamieszkać.

Mruknął coś pod nosem.

Przez chwilę panowała cisza, a potem odezwała się Victoria:

- Muszę już wracać do domu. Może więc puścisz moją rękę... - Uśmiechnęła się sztucznie, siląc się na uprzejmość.

Rozłożył ręce i szeroko rozstawił nogi.

- Bez ciebie nigdzie stąd nie pójdę.

- A ja nigdzie nie pójdę z tobą. Nie widzę...

- Victoria, nie nadużywaj mojej cierpliwości. Wytrzeszczyła oczy.

- Coś ty powiedział?

- Że...

- Dobrze słyszałam, co powiedziałaś. - Uderzyła go w ramię. - Jak śmiesz żądać, abym nie nadużywała twojej cierpliwości?! To ty nasłałeś na mnie zbira! Oprycha! Mógł zrobić mi krzywdę.

Mężczyzna, który ją gonił, święcie się oburzył.

- Jaśni panie - rzekł. - Musze zaprotestować.

Robert ściągnął usta.

- Victorio, MacDougal nie życzy sobie, aby wyzywano go od oprychów. Zraniłaś jego uczucia.

Oniemiała na moment zdumiona, nie dowierzając własnym uszom, że rozmowa potoczyła się w takim kierunku.

- Żem postąpił z paninką delikatnie - stwierdził MacDougal.

- Victoria - powiedział Robert - przydałoby się przeprosić.

- Przeprosić?! - wybuchła, bo to już było ponad jej wytrzymałość. - Przeprosić? Nie do wiary.

Ze skruszoną miną Robert spojrzął na woźnicę.

- Raczej nie przeprosi. MacDougal westchnął dobrodusznie.

- Paninka miała ciężki dzień. Zastanawiała się, którego najpierw uderzyć.

Robert rzucił kilka słów do MacDougala i szkocki woźnica oddalił się. Prawdopodobnie za rogiem czekała karetka.

- Robert - odezwała się stanowczo. - Idę do domu.

- Świetna myśl. Odprowadzę cię.

- Idę sama.

- Samotnej kobiecie grożą różne niebezpieczeństwa - odparł szybko. Pod fasadą elokwencji wyraźnie próbował kryć wzburzenie.

- Dziękuję za troskę, ale od kilku tygodni znakomicie daję sobie radę.

- Taaa. Ostatnie kilka tygodni. - Na policzku pulsował mu mięsień. - Chcesz wiedzieć, jak mnie minęły ostatnie tygodnie?

- Pewnie nie uda mi się uniknąć opowieści.

- Dręczyłem się śmiertelnie. Nie miałem od ciebie ani słowa...

- Oczywiście, że nie - powiedziała cierpko. - Nie wiedziałam, że mnie szukasz.

- Dlaczego nikomu nie powiedziałaś, co zamierzasz? - jęknął.

- Niby kogo miałam poinformować? Lady Hollingwood? Ach, jak się ze sobą przyjaźniłyśmy. Ciebie? Bo tak się zatroszczyłeś o moje dobre samopoczucie?

- A swoją siostrę?

- Poinformowałam ją. W zeszłym tygodniu napisałam list.

Zastanowił się nad minionym miesiącem. Był u Eleonor dwa tygodnie temu. Wtedy jeszcze nie miała wieści o siostrze. Zdał sobie sprawę, że jego wzburzenie wynika ze strachu, jaki przeżył przez ostatnie tygodnie, i zaczął łagodniejszym tonem:

- Victorio, pojedź ze mną. Odwiozę cię do domu. W drodze będziemy mogli swobodnie porozmawiać.

- Czy to kolejna z twoich obrzydliwych i obelżywych propozycji? Wstrętne, ohydne...

- Zaraz zabraknie ci przymiotników - wtrącił.

- Ty...! - Nic innego nie przyszło jej do głowy, więc tylko zamachała rękami. - Odchodzę.

Chwycił ją za kołnierz peleryny.

- Chyba już mówiłem - rzekł ostro - że nigdzie beze mnie nie pójdziesz. - I pociągnął



Victorię ku karcie.

- Robert - warknęła. - Nie rób scen. Uniósł brwi.

- A co mi zależy. Spróbowała innej taktyki.

- Czego ty właściwie ode mnie chcesz?

- Jak to czego? Ożenić się z tobą. Chyba jasno to wyłożyłem.

- Jasno to ty wyłożyłeś - mówiła rozgniewana - że chcesz, abym została twoją metrasą.

- Popełniłem błąd - rzekł stanowczo. - Teraz proszę, abys została moją żoną.

- No dobrze. Odmawiam.

- Odmowa nie wchodzi w rachubę.

Wyglądała, jakby w każdej chwili mogła rzucić mu się do gardła.

- O ile się orientuję, w kościele anglikańskim nie udzielają ślubu bez zgody obydwu stron.

- Torie - powiedział szorstko. - Masz pojęcie, kim ja bez ciebie byłem?

- Nie mam zielonego pojęcia - odparła z udawaną obojętnością. - Ale jestem zmęczona i chcę wracać do domu.

- Przepadłaś jak kamień w wodę. Gdy lady Hollingwood oświadczyła, że dostałaś odpawę...

- Wszyscy wiemy, przez kogo - dorzuciła. - Ale dobrze się stało, bo ułożyłam sobie życie na nowo i jestem szczęśliwa. Więc chyba powinnam ci podziękować.

Zlekceważył jej słowa.

- Victorio, dowiedziałem się... - Przerwał i przełknął ślinę. - Rozmawiałem z twoją siostrą.

Zbladła.

- Nie wiedziałem, że ojciec cię związał. Przysięgam, że nie wiedziałem.

Odwróciła głowę na bok. Z bólem zdawała sobie sprawę, że do oczu cisną się jej łzy.

- Nawet nie chcę o tym myśleć - mówiła ze ściśniętym gardłem. - Nie chcę. Teraz jestem szczęśliwa. Proszę, pozwól mi na odrobinę spokoju.

- Victorio - odezwał się łagodnym głosem. - Kocham cię. I zawsze kochałem.

Potrząsnęła głową. Jeszcze czuła się za słaba, żeby spojrzeć mu w oczy.

- Kocham cię - powtórzył. - Chcę z tobą być przez całe życie.

- Za późno - wyszeptała.

Odwrócił ją w swoją stronę.

- Nie mów tak! Nie różnilibyśmy się od zwierząt, gdybyśmy nie popełniali i nie naprawiali błędów.

Uniosła głowę.

- Nie o to chodzi. Ja już nie chcę za ciebie wyjść.

I zdała sobie sprawę, że naprawdę tego nie chce. Wciąż go kochała, ale po przenosinach do Londynu zaraziła się bakcylem niezależności. Wreszcie była panią samej siebie i odkryła, że świadomość tego faktu to naprawdę wspaniałe uczucie.

Krew odpłynęła mu z twarzy.

- Tylko tak mówisz - szepnął.

- Nie, Robert. Ja tak myślę. Nie chcę za ciebie wyjść.

- Jesteś zdenerwowana - uznał. - I chcesz mnie zranić. Masz pełne prawo do takich myśli.

- Nie jestem zdenerwowana. - Zawahała się. - No, może jestem. Ale nie dlatego odmawiam.

- A więc dlaczego? - Założył ręce na piersi. - Dlaczego nawet nie chcesz ze mną rozmawiać?

- Bo jestem szczęśliwa! Czy to tak trudno zrozumieć? Lubię swoją pracę i kocham swoją niezależność. Pierwszy raz od siedmiu lat jestem w pełni zadowolona z życia. I nie chcę tego tracić.

- Jesteś tu szczęśliwa? - Machnął ręką w kierunku zakładu. - Szczęśliwa jako krawcowa?

- Tak - powiedziała opanowanym głosem. - Jestem szczęśliwa. Rozumiem, że to nie odpowiada twoim wyrafinowanym gustom...

- Nie szydź, Torie.

- Mogę nic nie mówić.

Zacisnęła usta.

Delikatnie pociągnął ją w kierunku karety.

- Na pewno lepiej nam zrobi, jeżeli porozmawiamy na osobności.

- Może tobie.

- Nie. Nam obojgu - rzekł już spokojniej.

Victoria szarpnęła się. Zdawała sobie sprawę, że robi widowisko, ale nie przejmowała się tym.

- Jeśli myślisz, że wsiądę z tobą do karety...

- Victoria, daję słowo honoru, że nie stanie ci się nic złego.

- Zależy, co uznać za „złe”, prawda? Nagle ją puścił i uniosł ręce do góry.

- Przysięgam ci, że nawet nie tknę cię palcem. Zmarszczyła brwi.

- Dlaczego miałabym ci wierzyć?

- Bo nigdy nie złamałem złożonej ci przysięgi. - Wy - raźnie tracił cierpliwość.

- Akurat!

Teraz Robert zdenerwował się nie na żarty. Honor zawsze był dla niego sprawą najważniejszą. Victoria wiedziała, gdzie mu wsadzić szpilkę.

- Nigdy nie złamałem złożonej komuś przysięgi. Być może nie zawsze traktowałem cię... - zawahał się - ... z należyty szacunkiem, ale przysięgi nie złamałem.

Wiedziała, że to prawda.

- Podwieziesz mnie do domu? Skinął uprzejmie.

- Dokąd sobie życzysz.

Podala adres, a Robert przekazał go MacDougalowi.

Zaoferował jej rękę, ale zignorowała go i bez pośpiechu sama zaczęła wchodzić do karety.

Westchnąwszy gniewnie, oparł się pokusie, aby położyć jej ręce na pośladkach i wepchnąć siłą do środka. Umiała wystawiać jego cierpliwość na próbę. Jeszcze raz wziął głęboki oddech - przypuszczał, że przed odjazdem będzie musiał tak odetchnąć jeszcze parę razy - i wsiadł za nią.

Cierpiał, że nie może jej dotknąć, ale za to całe wnętrze karety wypełniał jej zapach. Jak zawsze pachniała wiosną. Ogarnęły go nostalgia i pożądanie. Znów głęboko odetchnął, próbując zebrać myśli. Jakimś cudem dostał jeszcze jedną szansę na szczęśliwą miłość i nie zamierzał jej zaprzepaścić.

- Chciałeś coś powiedzieć - zaczęła.

Na chwilę przymknął oczy. Victoria na pewno nie ułatwi tej rozmowy.

- Chciałem tylko przeprosić. Spojrzała na niego zaskoczona.

- Przeprosić? - powtórzyła.

- Za to, że uwierzyłem w złe rzeczy na twój temat. Uwierzyłem ojcu, chociaż powinienem wiedzieć, że mówi nieprawdę.

Milczała, zmuszając go do kontynuowania bolesnej przemowy.

- Torie, znałem cię dobrze. Tak dobrze jak siebie samego. Ale gdy nie przysłaś na spotkanie...

- To uznałeś mnie za spryciarę, która chce wydać się za majątek - dokończyła oschle.

Wyjrzał przez okno, a po chwili z powrotem przeniósł wzrok na jej bladą, smutną twarz.

- Co innego miałem pomyśleć? - szepnął ledwie słyszalnie.

- Mogłeś nie wyjeżdżać, zanim mnie nie zapytałeś, co się stało. Zbyt pochopnie wyciągnąłeś tak obrzydliwe wnioski.

- Byłem przy twoim oknie. Zdziwiona otworzyła usta.

- Tak? Nie... Nie widziałam cię.

- Leżałaś odwrócona tyłem - drżał mu głos. - Byłaś w łóżku. Wyglądałaś tak spokojnie, jakby świat cię nie obchodził.

- Płakałam - powiedziała cicho.

- Nie wiedziałem.

Na jej twarzy pojawiły się setki różnych emocji. Przez moment miała ochotę podejść do niego i położyć mu dłoń na ramieniu, ale w końcu skrzyżowała ręce na piersi i powiedziała:

- Źle postąpiłeś.

Na chwilę stracił panowanie nad sobą.

- A ty nie? - burknął. Struchlała.

- Słucham?

- Victoria, obydwójce zawiniliśmy brakiem zaufania. Nie możesz całej odpowiedzialności zrzucić na mnie.

- O czym ty mówisz?

- Twoja siostra powiedziała mi, co o mnie myślałaś. Że chodziło mi tylko o to, aby cię uwieść. I że to nie były poważne oświadczenia. - Pochylił się do przodu i w ostatniej chwili powstrzymał się, aby nie wziąć jej za rękę. - Zapytaj swojego serca. Wiesz, że cię kochałem. I nadal cię kocham.

Wzięła głęboki oddech i powoli wypuściła powietrze.

- Tak, chyba jestem ci winna przeprosiny.

Odetchnął. Ogarnęło go poczucie ulgi. Tym razem nie zdołał się powstrzymać i ujął Victorię za rękę.

- Moglibyśmy wszystko zacząć od nowa - rzekł z zapalem.

Spróbowała zabrać mu dłoń, ale nie przyłożyła się do tego za bardzo. Był taki ciepły, że aż ją kusilo, aby paść mu w ramiona. Miło byłoby znów czuć się kochaną i docenianą.

Spojrzała na niego. Patrzył swymi niebieskimi oczami z namiętnością, która jednocześnie przerażała ją i ekscytowała. Poczowała łaskotanie na policzku i zorientowała się, że to łza.

- Robert, ja... - przerwała, bo zabrakło jej słów.

Pochylił się i chciał ją pocałować. I, o zgrozo, ona zdała sobie sprawę, że także

pragnie poczuć smak jego ust.

- Nie! - zaprotestowała. Zrobiła to zarówno dla jego dobra, jak i swojego. Odwróciła głowę, a po chwili zabrała rękę.

- Victoria...

- Przestań. - Pociągnęła nosem i utkwiała wzrok w oknie. - Ty już mnie nie rozumiesz.

- Więc mi wyjaśnij. Powiedz, co powinienem wiedzieć i jak mogę cię uszczęśliwić.

- Czy ty nie rozumiesz, że nie możesz mnie uszczęśliwić?

Drgnął. Trudno było uwierzyć, że jedno zdanie może tak bardzo zranić.

- Możesz mi to wyjaśnić? - poprosił.

Zaśmiała się ze smutkiem.

- Robert, dałeś mi gwiazdkę z nieba. A nawet więcej. Zabrałeś mnie na nią. - Nastąpiła długa, bolesna przerwa, a po niej dodała: - I spadłam. A przy tym bardzo się poraniłam. Nie chcę tego przeżyć jeszcze raz.

- To już się nie zdarzy. Teraz jestem starszy i mądrzejszy.

- Nie widzisz, że to już zdarzyło się dwa razy?

- Dwa razy? - powtórzył, choć wołał nie słyszeć, co ona ma mu do powiedzenia.

- Tak. U Hollingwoodów - mówiła nienaturalnie spokojnym głosem. - Gdy poprosiłeś, abym została twoją...

- Nie wymawiaj tego słowa - przerwał ostro.

- Nie wymawiać? Metresą. Czyżby przyszedł czas na wyrzuty sumienia, mój panie?

Zbladł.

- Nie sądziłem, że jesteś taka pamiętliwa.

- Nie jestem pamiętliwa, tylko szczerą. Nie spadłam z tej gwiazdki ot, tak sobie. To ty mnie zepchnąłeś.

W Robertcie kipiała złość. Nie umiał prosić i błagać. Ale bardzo chciał być z Victorią.

- Pozwól mi na poprawę. Torie, pobierzemy się, będziemy mieli dzieci. Pragnę całe życie całować ślady twoich stóp.

- Nie, Robert. - Drżał jej głos. Gdy wspomniał o dzieciach, dostrzegła błysk w jego oczach.

- Nie co? - próbował żartować. - Całować śladów twoich stóp? Za późno. Już to robię.

- Nie bądź natarczywy - powiedziała głosem niewiele głośniejszym od szeptu.

- A dlaczego? Dlaczego miałbym ci ułatwiać ponowne zniknięcie z mojego życia?

- Ja nie znikam - odparła. - To ty odszedłeś. Ty!

- Żadne z nas nie jest bez winy. Szybko uwierzyłaś złe rzeczy na mój temat.

Nie odpowiedziała.

Pochylił się, patrząc na nią przenikliwie.

- Ja nie zrezygnuję, Victorio. Będę chodził za tobą dzień i noc. W końcu przyznasz, że mnie kochasz.

- Nie - wyszeptała.

Nagle karetę się zatrzymała.

- Chyba jesteśmy przed twoim domem - powiedział Robert.

Szybko pozbierała swoje rzeczy i wstała. Zanim jednak dotknęła gładkiego drewna drzwi, Robert chwycił ją za rękę.

- Jeszcze chwileczkę - odezwał się niskim głosem.

- Czego chcesz?

- Całusa.

- Nie.

- Tylko jednego, żebym jakoś przetrwał noc.

Spojrzała mu prosto w oczy. Bił z nich żar, który odczuwała niemal fizycznie. Bezwiednie przesunęła językiem po wargach.

Położył dłoń na jej głowie. Zrobił to z największą delikatnością, bo każda próba przymusu skończyłaby się oporem. Jednak rozbroił Victorię swą subtelnością. Nie cofnęła się.

Ostrożnie dotknął ustami jej ust i przesunął z boku na bok, aby się rozluźniła. Zwiłzył językiem jeden kącik jej ust, potem drugi, a w końcu całe wargi.

Wiedziała, że za chwilę mu ulegnie.

Ale wtedy on się wycofał.

- Znam swoje granice - rzekł cicho.

Zmrużyła oczy i z przerażeniem uprzytomniła sobie, że ona nie zna swoich. Jeszcze sekunda tej zmysłowej tortury i z pewnością by mu uległa. Spłoszono ją zawstydzona i podając drżącą rękę MacDougalowi, wysiadła z karety.

A gdy Robert zdał sobie sprawę, gdzie są, zaklął szpetnie i wyskoczył za nią.

Nie mieszkała w najgorszej dzielnicy miasta, ale tuż obok. Minęło dobrych dziesięć sekund, zanim uspokoił się i mógł powiedzieć:

- Tylko nie mów, że tutaj mieszkasz. Spojrzała z ukosa i wskazała na trzecie piętro.

- Tam.

Słowa z trudem przeciskały mu się przez gardło.

- Ty... Ty nie... Nie chcesz... Chyba tutaj nie chcesz zostać.

Zignorowała go i ruszyła w stronę budynku. Kilka sekund później Robert złapał ją w tali.

- Żadnych więcej wymówek - krzyknął. - W tej chwili wracasz ze mną do domu.

- Zostaw mnie! - Szarpnęła się, ale trzymał mocno.

- Nie pozwolę ci zostać w tym niebezpiecznym miejscu.

- Nie sądzę, żebym z tobą była bezpieczniejsza - odparowała.

Rozluźnił uścisk, ale nie zabrał ręki. Nagle poczuł coś pod stopą i spojrzął na ziemię.

- A niech to wszyscy diabli! - Kopnął sporego, martwego szczura, który wylądował kilka metrów dalej.

Victoria wykorzystała ten moment, wyrwała się z uścisku Roberta i pobiegła do domu.

- Victoria! - zawołał, ruszając za nią. Ale gdy dopadł drzwi, ujrzał grubą damę, która w drwiącym uśmiechu odsłaniała brązowe zęby.

- Jestem hrabią Macclesfield - oznajmił. - Zejdź mi z drogi.

Kobieta powstrzymała Roberta, kładąc mu rękę na klatce piersiowej.

- Hola, hola, jasnie panie.

- Trzymaj łapy przy sobie, jeśli łaska.

- A ty, jeśli łaska, zabieraj tyłek z mojego domu - za - trajkotała. - Nie wpuszczamy tu facetów. To porządny dom.

- Panna Lyndon jest moją narzeczoną.

- Nie wydaje mnie się. Wygląda raczej na to, że ma cię gdzieś.

Spojrzał w górę i zobaczył w oknie Victorię. Ogarnęła go kolejna fala gniewu.

- Victoria! Ja tego dłużej nie zniosę.

Ona tylko zamknęła okno.

Pierwszy raz w życiu poznał, co znaczy napad furii. Gdy siedem lat temu pomyślał, że Victoria go zdradziła, za bardzo krwawiło mu serce, aby odczuć taką złość. Ale teraz miał za sobą ponad dwa tygodnie rozpaczliwej niepewności, gdy nie wiedział, gdzie ona znikła. A kiedy w końcu ją znalazł, najpierw odrzuciła propozycję małżeństwa, a potem zasyłała się w dzielnicy pijaków, złodziei i nierządnic.

I szczurów.

Dyszał z wściekłości. Zamierzał zabrać ją z tego miejsca. Jeśli nie dla jej dobra, to żeby nie postradać zmysłów.

Cudem tylko do tej pory nikt jej nie napadł i nie zgwałcił.

Wrócił do właścicielki, ale zamknęła mu drzwi przed nosem i przekręciła klucz. Stał pod oknem Victorii i zastanawiał się, czy nie dałoby się dostać do jej pokoju z sąsiedniego

budynku.

- Jaśni panie - MacDougal odezwał się łagodnie, choć stanowczo.
- Jeżeli postawię stopę na tym gzymsie, to powinienem dać radę.
- Jaśni panie, w nocy to nic jej nie będzie. Robert zrobił w tył zwrot.
- Czy ty masz pojęcie, co to za dzielnica? MacDougal znieruchomiał.
- Przepraszam, jaśni panie, ale żem się w takiej wychował.

Robert natychmiast złagodniał.

- Cholera, przepraszam, MacDougal, nie chciałem...

- Wim. - Złapał Roberta za ramię i delikatnie pociągnął do karety. - Paninka musi w nocy wszystko poukładać se w głowie. Niech no chwilkę pobędzie sama. Jaśni pan jutro się z nią rozmówisz.

Robert jeszcze raz spojrzął na brzydki budynek.

- Naprawdę myślisz, że w nocy nic jej się nie stanie?

- Nie słyszał jaśni pan, jak ten babsztyl zamyka drzwi na klucz? Paninka jest tak samo bezpieczna jak u jaśni pana w Mayfair. Albo i bardziej.

Robert przeniósł wzrok na woźnicę.

- Wrócę tu jutro rano.

- Sie wi, jaśni panie.

Robert oparł się dłońmi o karekę.

- MacDougal, czy ja zwariowałem? Czy ja doszczętnie, nieuleczalnie zwariowałem?

- Eee, jaśni panie, nie mnie o takich rzeczach gadać.

- Ciekawe, że akurat teraz postanowiłeś utemperować swój język.

Szkot się zaśmiał.

Victoria kuliła się na wąskim łóżku, przyciskając ręce do piersi, jakby w ten sposób mogła odpędzić zamęt panujący w głowie.

Udało jej się tak poukładać życie, że była z niego zadowolona. W końcu! Czy nie należy jej się odrobina stabilizacji? I spokoju? Przez siedem lat aroganccy pracodawcy przy każdej okazji grozili jej odprawą. W zakładzie madame Lambert znalazła bezpieczną przystań. I przyjaźń. Madame dbała o pracownice jak kwoka o kurczęta, zawsze troszczyła się o ich dobro. Poza tym Victoria zaprzyjaźniła się z koleżankami.

Pociągnęła nosem i zdała sobie sprawę, że płacze. Od wielu lat nie miała przyjaciół. Ile razy zasypiała z listem od Ellie przy piersi? Ale listy nie potrafiły poklepać po ramieniu i nie odwzajemniały uśmiechu.

Była straszliwie samotna.



Siedem lat temu Robert był nie tylko miłością jej życia, ale także najlepszym przyjacielem. A teraz wrócił i mówi, że ją kocha. Zaszlochała. Dlaczego on to robi? Dlaczego nie da jej żyć w spokoju?

I dlaczego ona tak bardzo się przejmuje? Przecież nie chce mieć z nim nic wspólnego, a tym bardziej nie chce za niego wychodzić. Więc dlaczego serce mocniej bije? Wyczuwała na sobie wzrok Roberta, a po jednym czułym spojrzeniu zasychało jej w gardle.

A gdy ją pocałował...

W głębi serca wiedziała, że Robert potrafi dać jej szczęście, o jakim nie marzyła w najśmielszych snach. Ale potrafi także złamać serce. Już raz to zrobił. Dwa razy.

A ona była już zbyt zmęczona, by znosić takie cierpienia.

Gdy następnego ranka wychodziła do pracy, przy drzwiach czekał Robert. Właściwie się nie zdziwiła. Zawsze był uparty. Pewnie całą noc planował tu przyjść.

Westchnęła głęboko.

- Dzień dobry, Robercie - powiedziała. Naiwnością byłoby ignorować go.

- Przyszedłem odprowadzić cię do madame Lambert.

- Miło z twojej strony. Ale to zbędna fatyga.

Stał jej na drodze i zmusił, żeby na niego spojrzała.

- Mam inne zdanie. W Londynie samotna kobieta nigdzie nie jest bezpieczna. A szczególnie w takiej dzielnicy.

- Od miesiąca codziennie daję sobie radę. Na jego twarzy pojawił się grymas.

- Wcale mnie to nie uspokaja.

- Nie czuję się w obowiązku zapewniać ci spokój.

- No, no, cięty mamy język od rana. Zezłościł ją ten wyniosły ton.

- Nie mówiłam ci, że nie znoszę pompatycznej formy „my”? Zaraz mi się przypominają moi byli pracodawcy. Takim „my” przywołuje się guwernantkę do porządku.

- Victoria, nie rozmawiamy o zaimkach ani o posadzie guwernantki.

Spróbowała go ominąć, ale zaszedł jej drogę.

- Chcę jeszcze raz powtórzyć, co już powiedziałem - Nie pozwolę, abyś dłużej mieszkała w tej dziurze.

Zanim odpowiedziała, policzyła do trzech.

- Robert, nie musisz dbać o moje bezpieczeństwo.

- Ktoś musi, do cholery. Bo ty najwidoczniej nie masz pojęcia, jak o siebie zadbać.

Zanim odpowiedziała, policzyła do pięciu.

- Zignoruję tę uwagę.

- Wierzyć mi się nie chce, że wynajmujesz tu kwatere. W takim miejscu! - Z obrzydzeniem pokręcił głową.

Zanim odpowiedziała, policzyła do dziesięciu.

- Nie stać mnie na lepszą. I jest mi tu dobrze. Pochylił się nad nią groźnie.

- Ale mnie nie jest dobrze. Powiedzieć ci, jak spędziłem tę noc?

- Proszę - bąknęła. - I tak cię nie powstrzymam.

- Całą noc zastanawiałem się, ilu facetów próbowało cię zaatakować przez ten

miesiąc.

- Eversleigh był jedyny.

Albo nie usłyszał, albo nie chciał usłyszeć.

- Potem zastanawiałem się, ile razy mijalaś stojące na rogu prostytutki.

Uśmiechnęła się szeroko.

- Większość z nich to bardzo miłe osoby. Kiedyś byłam z jedną z nich na herbacie. -  
Kłamała, ale chciała go zdenerwować.

Wzruszył ramionami.

- A później myślałem, ile masz w pokoju szczurów.

Przed udzieleniem odpowiedzi starała się policzyć do dwudziestu, ale nie zdołała zdusić złości. Znosiła jego obelgi i przesadne oburzenie, ale nie mogła znieść myśli, że poddaje w wątpliwość jej dbałość o porządek. Teraz to już przeholował.

- W moim pokoju można jeść z podłogi.

- Szczury na pewno jedzą - odparł zgryźliwie. - Victoria, naprawdę nie możesz zostać w tym zawszonym miejscu. To niebezpieczne i niezdrowe.

Stała sztywno jak słup i przyciskała wyprostowane ręce do boków, żeby nie wymierzyć mu policzka.

- Robert, nie zauważyłeś, że zacząłeś mnie troszkę irytować?

Zignorował jej słowa.

- Dałem ci jedną noc. I wystarczy. Dzisiaj wieczór pójdziesz ze mną.

- Nie sądzę.

- To przenieś się do mojej ciotki.

- Nade wszystko cenię sobie niezależność.

- A ja cenię sobie twoje życie i cnotę - wybuchnął. - A jak dalej będziesz tu mieszkać, stracisz jedno i drugie.

- Jestem tu zupełnie bezpieczna. Nie zwracam na nikogo uwagi i nikt mnie nie zaczepia.

- Victorio, jesteś piękną kobietą. Nic na to nie poradzisz, że przyciągasz uwagę mężczyzn, gdy tylko wychylasz z domu głowę.

Zachnęła się.

- Znalazł się krytykant. Spójrz na siebie.

Złożył ręce na piersi i czekał na wyjaśnienia.

- Do tej pory udawało mi się zachować anonimowość. - Kiwnęła ręką w stronę karety.

- W tej okolicy nie widziano takiego pojazdu od wielu lat. I założę się, że co najmniej parę

osób kombinuje, jak ci ukraść portfel.

- Więc przyznajesz, że to niebezpieczna okolica?

- Oczywiście. Ślepa nie jestem. Mimo wszystko nie chcę twojego towarzystwa.

- Co to, do diabła, ma znaczyć?

- A to, że wolę zostać tutaj, niż jechać z tobą. To powinno dać ci do myślenia.

Obruszył się. Wiedziała, że go uraziła. Ale nie przy puszczała, ile bólu sprawi jej cierpienie w oczach Roberta. Wbrew swej woli położyła mu rękę na ramieniu.

- Robert - powiedziała łagodnie. - Coś ci wyjaśnię. Jestem teraz szczęśliwa. Może nie mam luksusów, ale po raz pierwszy od lat cieszę się niezależnością. I odzyskałam swoją dumę.

- O czym ty mówisz?

- Wiesz, że nie lubiłam być guwernantką. Pracodawcy stale prawili mi impertyncje. Zaciśnął usta.

- W zakładzie krawieckim klienci nie zawsze są uprzejmi, ale madame Lambert traktuje mnie z szacunkiem. A jak dobrze wykonam pracę, zasług nie przypisuje sobie. Wiesz, ile czasu minęło, odkąd pierwszy raz ktoś mnie pochwalił?

- Och, Victorio - rzekł ze współczuciem.

- Poza tym poznałam cudowne koleżanki. Naprawdę lubię z nimi być w zakładzie. I nikt za mnie nie podejmuje decyzji. - Bezradnie wzruszyła ramionami. - To proste przyjemności, ale dla mnie bardzo ważne. Nie chcę niszczyć tej równowagi.

- Nie wiedziałem - szepnął. - Nie miałem pojęcia.

- Skąd mogłeś wiedzieć? - To nie była riposta, lecz szczere pytanie. - Ty zawsze w pełni panowałeś nad życiem. Zawsze możesz mieć, czego pragniesz. - Uśmiechnęła się w zadumie. - Ach, ty i twoje plany. Zawsze to w tobie kochałam.

Przyjrzał jej się uważnie. Pewnie nawet nie zdała sobie sprawy, że wypowiedziała słowo „kochałam”.

- Ten twój sposób podchodzenia do problemu - mówiła z coraz większą nostalgią. - Zawsze miło było patrzeć, jak rozpatrujesz sytuację pod każdym kątem, a potem przeglądasz ją na wylot i już wiesz, jak znaleźć najprostsze wyjście. A później rozwiązujesz problem. Zawsze wiedziałeś, co robić, aby dostać to, czego chcesz.

- Z wyjątkiem ciebie!

Przez długą chwilę jego słowa wisiały w powietrzu. Victoria odwróciła głowę i w końcu oznajmiła:

- Muszę iść do pracy.

- Podwiozę cię.

- Nie. - Jej głos drżał, jakby zaraz miała się rozpląkać. - To zły pomysł.

- Victoria, nie chcę znów martwić się o ciebie. Jeszcze nigdy w życiu nie czułem takiej bezradności.

Odwróciła się z zamyślonym wzrokiem.

- Ja czułam się bezradna przez siedem lat. Teraz panuję nad swoim życiem. Nie zabieraj mi tego, proszę. - Uniosła głowę i ruszyła w stronę zakładu krawieckiego.

Odczekał, aż ujdzie trzy metry, i ruszył za nią. MacDougal odczekał, aż Robert oddali się o sześć metrów, i pojechał za nim kareta.

Koniec końców ta dziwna procesja dotarła do zakładu madame Lambert.

Około południa Victoria właśnie klęczała przy manekinie krawieckim z trzema szpilkami w ustach, gdy rozległ się dzwonek od drzwi. Podniosła wzrok.

Robert. Jakoś jej to nie zdziwiło. Trzymał w dłoniach pakunek i miał w oczach znajomy błysk. Victoria знаła to spojrzenie. Prawdopodobnie cały poranek minął mu na opracowywaniu planów.

Przeszedł przez całe pomieszczenie i zatrzymał się koło niej.

- Witaj, Victorio - odezwał się wesoło. - Trzeba powiedzieć, że z tymi szpilkami wyglądasz nieco groźnie.

Miała ochotę wbić mu jedną z nich.

- Najwyraźniej za mało - odburknęła, wyjąwszy szpilki z ust.

- Słucham?

- Po co tu przyszedłeś? Myślałam, że rano doszliśmy do porozumienia.

- Owszem.

- Więc dlaczego tu jesteś?

Przykucnął obok niej.

- Chyba każde z nas ma coś innego na myśli, mówiąc o porozumieniu.

O co mu chodzi?

- Robert, jestem zajęta.

- Przyniosłem ci prezent. - Wysunął pakunek.

- Nie przyjmuję od ciebie prezentów. Uśmiechnął się.

- To coś na ząb.

Zdradziecko zaburczało jej w brzuchu. Zaklęła bezgłośnie, odwróciła się od niego i zaatakowała rąbek sukienki, nad którym pracowała.

- Mmm, mniam, mniam - mówił kusząco. Otworzył pudełko i zaprezentował

zawartość. - Ciasteczka.

Victorii pociekła ślinka. Ach, ciasteczka, jej największa słabość. Mogła się domyślić, że o tym nie zapomniał.

- Specjalnie dla ciebie poprosiłem bez orzechów.

Bez orzechów? A niech go! Nie zapomni o najmniejszym szczególe. Podniosła głowę i ujrzała, jak Katie wyciąga szyję i zagląda Robertowi przez ramię. Z wyrazu jej oczu łatwo było się domyśleć, że ma ochotę na ciasteczka. Victoria przypuszczała, że dziewczynie rzadko trafia się okazja, by spróbować takich smakołyków od najlepszego londyńskiego cukiernika.

Uśmiechnęła się do Roberta i przyjęła pudełko.

- Dziękuję - powiedziała uprzejmie. - Katie? Poczęstujesz się?

Katie znalazła się przy niej w mgnieniu oka. Victoria wręczyła koleżance pudełko i wróciwszy do podszywania sukni, próbowała ignorować roznoszący się apetyczny zapach.

Robert wziął krzesło i usiadł obok.

- Ta suknia pięknie by na tobie wyglądała - odezwał się, patrząc na Victorię.

- Niestety - odparła, z zacięciem wbijając szpilkę w materiał. - Już ją zamówiła pewna księżna.

- Mógłbym powiedzieć, że kupię ci taką samą, ale raczej nie zyskałbym w twoich oczach.

- Aleś domyślny, panie hrabio.

- Krępuje cię moja obecność.

Powoli odwróciła się i spojrzała mu w oczy.

- Dobrze, że zauważyłeś.

- To dlatego, że rano myślałaś, że się ode mnie uwolnisz.

- Miałam taką nadzieję.

- Starasz się, aby twoje życie powróciło do normalności.

Wydała z siebie zabawny odgłos będący połączeniem śmiechu, westchnięcia i prychnięcia.

- Najwyraźniej doszedłeś do perfekcji w wypowiedaniu tego, co oczywiste.

- Hm... - Podrapał się w głowę. Wyglądał, jakby udawał, że myśli. - Twoje rozumowanie zawiera pewne błędy.

Nie pofatygowwała się z odpowiedzią.

- Tobie tylko się wydaje, że to jest normalne życie.

Wbiła kilka kolejnych szpilek w rąbek. Nagle zdała sobie sprawę, że ze

zdenerwowania staje się nieuważna, i musiała przepiąć szpilki w inne miejsce.

- Ale to nie jest normalność. Niby jakim cudem? Żyjesz tak zaledwie miesiąc.

- Nasze narzeczeństwo trwało tylko dwa miesiące - musiała dorzucić.

- No tak, ale przez następne siedem lat stale o mnie myślałaś. Nie miała ochoty zaprzeczać. Powiedziała tylko:

- Nie słyszałaś, co ci rano mówiłam?

Pochylił się i wpatrywał w nią intensywnie jasnoniebieskimi oczami.

- Słyszałem każde słowo. A potem całe przedpołudnie o tobie myślałem. Chyba rozumiem twoje uczucia.

- To dlaczego tu przyszedłeś?

- Bo uważam, że nie masz racji.

Upuściła szpilki.

- Życie nie polega na tym - mówił - żeby schować się do kąta, patrzeć, jak świat się kręci, i mieć nadzieję, że nic złego nas nie dopadnie. - Przyklęknął i pomógł jej zbierać szpilki. - Życie polega na korzystaniu z szans i sięganiu do gwiazd.

- Miałam swoją szansę - odezwała się oschle. - Już przepadła.

- I chcesz pozwolić, aby to zdecydowało o całym twoim dalszym losie? Victoria, masz zaledwie dwadzieścia cztery lata. Przed tobą całe życie. Twierdzisz, że znalazłaś bezpieczną drogę na resztę życia?

- Dla ciebie: tak.

Wstał.

- Widzę, że muszę dać ci trochę czasu, żebyś się nad tym zastanowiła.

Spojrzała na niego z nadzieją, że nie widzi, jak jej się trzęsą ręce.

- Wrócę pod koniec dnia i odprowadzę cię do domu. Zastanawiała się, czyj dom ma na myśli.

- Nie będzie mnie - oświadczyła. Wzruszył ramionami.

- Znajdę cię. Zawsze i wszędzie cię znajdę.

Nie musiała odpowiadać na tę deklarację, ponieważ właśnie odezwał się dzwonek przy drzwiach.

- Muszę wracać do pracy - bąknęła.

Robert skłonił się i ruszył do wyjścia. Jednak zatrzymał się na widok wchodzących klientek.

Do zakładu wkroczyła pani Brightbill, ciągnąc za sobą Harriet.

- Panna Lyndon - zaszcebiotała. - O, i Robert.

- Miałam przecucie, że cię tu zastaniemy, kuzynie - odezwała się Harriet.

Victoria dygnęła uprzejmie.

- Dzień dobry, pani Brightbill, dzień dobry, panno Brightbill.

Harriet kiwnęła ręką.

- Mów mi Harriet. Przecież i tak będziemy krewniaczkami.

Robert ukłonił się kuzynce.

Victoria wbiła wzrok w podłogę. Wolałaby posłać groźne spojrzenie Harriet, ale jako pracownica zakładu musiała zachowywać się odpowiednio w stosunku do klientek. A przecież przez cały ranek przekonywała Roberta, że nie chce stracić tu pracy, prawda?

- Przyszliśmy zaprosić cię na herbatę - oznajmiła Harriet.

- Obawiam się, że muszę odmówić - odparła skromnie Victoria. - To nie wypada.

- Nonsens - powiedziała pani Brightbill.

- A moja mama uchodzi za autorytet w sprawach tego, co wypada, a co nie wypada - stwierdziła Harriet. - Więc jeśli mówi, że wypada, to na pewno wypada.

Victoria zmarszczyła brwi, zastanawiając się chwilę nad zawiłą wypowiedzią Harriet.

- Chyba muszę się zgodzić z kuzyneczką, chociaż sprawia mi to ból - dodał Robert. - Sam nie raz usłyszałem od cici wykład o stosownym, zachowaniu.

- W to akurat łatwo uwierzyć - powiedziała Victoria.

- O tak, Robert lubi sobie poszaleć - potwierdziła Harriet, a kuzyn rzucił jej karcące spojrzenie.

- Naprawdę? - Victoria zwróciła się do dziewczyny.

- Tak, tak. Przypuszczam, że to złamane serce pchało go w ramiona innych kobiet.

Nieprzyjemny ucisk w żołądku Victorii stawał się coraz bardziej dotkliwy.

- O ilu dokładnie mówisz kobietach?

- Było ich mnóstwo - odparła gorliwie Harriet. - Multum.

Robert się roześmiał.

- Czemu się śmiejesz? - fuknęła młoda Brightbill. - Chcę, żeby była trochę o ciebie zazdrosna.

Victoria zasłoniła roześmiane usta dłonią i udawała, że się zakrztusiła. Doprawdy, słodka ta Harriet.

Do rozmowy włączyła się pani Brightbill, która do tej pory załatwiała coś z madame Lambert.

- Panna Lyndon gotowa? - Z tonu jej głosu wynikało, że nie bierze pod uwagę przeczącej odpowiedzi.



- To bardzo miło z pani strony, pani Brightbill, ale mam tu w zakładzie bardzo dużo pracy i...

- Właśnie rozmawiałam z madame Lambert. Uznała, że nic się nie stanie, jeżeli wyjdiesz na godzinę.

- Nie masz się co sprzeciwiać - rzekł uśmiechnięty Robert. - Cioteczka zawsze stawia na swoim.

- To chyba rodzinne - mruknęła Victoria.

- Mam nadzieję - odparł.

- No dobrze - powiedziała Victoria. - Właściwie chętnie wypiję filiżankę herbaty.

- Znakomicie. - Pani Brightbill zatarła ręce. - Mamy wiele spraw do omówienia.

Victoria wytrzeszczyła oczy i dopiero po kilku sekundach udało jej się zrobić niewinną minę.

- Pan hrabia też jest zaproszony?

- Jeśli sobie tego nie życzysz, to nie.

Victoria odwróciła się do Roberta i posłała mu złośliwy uśmiech.

- A zatem miłego dnia.

On tylko oparł się plecami o ścianę i z uśmiechem obserwował, jak wychodzi z zakładu. Nie chciał odbierać jej przekonania, że to ona jest górą. Mówiła, że pragnie normalności? Zachichotał do siebie. Nie ma bardziej przerażająco normalnej osoby niż ciocia Brightbill.

Spotkanie przy herbacie upłynęło w dość przyjemnej atmosferze. Pani Brightbill i Harriet raczyły Victorię opowieściami o Robercie, z których w tylko nieliczne skłonna była uwierzyć. Tak wychwalały jego honor, odwagę i dobroć, jakby kandydował na świętego.

Właściwie nie wiedziała, dlaczego tak bardzo chciały mieć ją w rodzinie. Ojciec Roberta z pewnością nie podchodził z entuzjazmem do małżeństwa syna z córką pastora. Która teraz w dodatku jest zwyczajną krawcową! Kto to słyszał, aby hrabia zenił się z kimś takim? Mimo to na podstawie kilku wypowiedzi pani Brightbill typu: „Och, już przestaliśmy liczyć, że Robert kiedykolwiek się ożeni” albo „Jesteś pierwszą od lat godną szacunku kobietą, którą się zainteresował”, Victoria wywnioskowała, że zależy im na tym małżeństwie.

Ona sama ledwie się odzywała. Niewiele miała do powiedzenia, a poza tym pani Brightbill i Harriet rzadko dopuszczały ją do głosu.

Po godzinie oboje odprowadziły ją do zakładu. Podejrzliwie zajrzała do środka, spodziewając się, że zza manekina wyskoczy Robert.

Ale go nie było. Madame Lambert poinformowała, że miał do załatwienia jakąś

sprawę w innej części miasta.

Victoria uświadomiła sobie z przerażeniem, że ogarnia ją uczucie niebezpiecznie przypominające rozczarowanie. Nie żeby jej brakowało Roberta, tłumaczyła sobie, ale brakowało jej przekomarzania się z nim.

- Zostawił ci to. - Madame podała jej nowe pudełko ciasteczek. - Miał nadzieję, że się skusisz.

Victoria spojrzała na nią groźnie.

- To jego słowa - natychmiast dodała madame. - Nie moje.

Victoria odwróciła się, aby ukryć uśmiech, a potem zmusiła się do zaciśnięcia ust. Robert jej nie przekupi. Mówiła mu już, jak bardzo ceni sobie niezależność. Nie zdobędzie jej serca romantycznymi gestami.

Starła się działać rozsądnie, ale w końcu uznała, że przecież jedno ciasteczko nie zaszkodzi...

Robert uśmiechnął się od ucha do ucha na widok Victorii pałaszującej trzecie ciasteczko. Gdyby wiedziała, że obserwuje ją przez okno wystawowe, nawet by nie powąchała łakoci.

Uniosła chusteczkę, którą zostawił z ciastkami, i sprawdziła monogram. Potem szybko upewniła się, czy żadna z koleżanek nie patrzy, przyłożyła materiał do twarzy i wciągnęła jego zapach.

Robert poczuł rozpierającą dumę. A zatem serce jej zmiękło. Szybciej umrze, niż się do tego przyzna, ale było jasne, że złagodniała.

Obserwował, jak chowa chusteczkę za stanik, i ten prosty gest natchnął go nadzieją. Odzyska Victorię. Był tego pewien.

Przez resztę dnia chodził roześmiany.

Cztery dni później Victoria miała ochotę dać mu po głowie. I zdecydowała, że zrobi to przy użyciu pudełka drogich ciasteczek. Jednego z tych czterdziestu, które jej przysłał.

Podarował jej także trzy powieści miłosne, miniaturowy teleskop i bukiet kwiatów wiciokrzewu z karteczką: „Mam nadzieję, że przypomną ci o domu”. Victorii chciało się krzyknąć, gdy przeczytała w zakładce te słowa. A więc dokładnie pamiętał, co ona lubi, a czego nie lubi. I wykorzystywał to, aby osłabić jej wolę.

Snuł się za nią jak cień. Zostawiał jej tyle czasu, że swobodnie mogła pracować u madame Lambert, ale gdy tylko stawała na progu, on wyłaniał się nie wiadomo skąd.

Twierdził, że nie lubi, jak ona chodzi samotnie - zwłaszcza po tej okolicy.

Victoria zwróciła mu uwagę, że biega za nią wszędzie. Robert zacisnął usta, a potem

bąknął coś o dbałości o bezpieczeństwo i zagrożeniach w Londynie. Victoria była pewna, że usłyszała w tym zdaniu też słowa „cholera” i „jak diabli”.

Bez końca powtarzała, jak bardzo ceni sobie swoją niezależność i że chce być sama, ale on nie słuchał. Pod koniec tygodnia przestał także się odzywać. Przez cały czas tylko patrzył na nią z zachwytem.

Prezenty od Roberta docierały do zakładu z niepokojącą regularnością, ale on przestał sobie strześcić język propozycjami małżeństwa. W końcu zapytała go o przyczyny tego milczenia, a on odparł tylko:

- Jestem tak oburzony twoim postępowaniem, że staram się nic nie mówić, żeby cię nie urazić.

Nie spodobał jej się ten ton, ale szli właśnie przez szczególnie niebezpieczny fragment ulicy i postanowiła powstrzymać się od komentarza. Gdy przybyli pod jej dom, zniknęła za drzwiami bez słowa pożegnania. Pobiegła do pokoju i wyjrzała przez okno.

Przez ponad godzinę stał wpatrzony w zasłony okienne. Tym też wprowadził ją w zakłopotanie.

Robert stał przed domem Victorii. Był zdesperowany. Właśnie osiągnął kres wytrzymałości. A właściwie wyraźnie go przekroczył. Uzbroidł się w cierpliwość, nie kusił dziewczyny drogimi prezentami, lecz dobierał podarunki tak, aby miały jakieś głębsze znaczenie. Starał się przemówić Victorii do rozsądku, aż w końcu zabrakło mu słów.

Ale tego wieczoru czuł, że przelała się czara goryczy. Victoria nie wiedziała, że każdego dnia, gdy wracali do domu, jakieś dziesięć kroków za nimi podążał MacDougal.

Zazwyczaj czekał, aż Robert sam go odszuka, ale tego wieczoru pojawił się obok swego pana, gdy tylko Victoria zniknęła za drzwiami.

Powiedział, że poprzedniej nocy, dokładnie przed tym domem, zadźgano jakiegoś człowieka. Robert wiedział, że dom jest solidnie zamknięty, ale plamy krwi na bruku nie dodawały mu otuchy. Victoria dzień w dzień chodzi tędy do pracy. W końcu naprawdę ktoś na nią napadnie.

Czy zdoła się obronić?

Podniósł ręce do głowy i przyłożył palce do pulsujących skroni. Głębokie oddechy nie zmniejszyły zdenerwowania ani narastającego poczucia bezradności. To oczywiste, że nie zdoła zapewnić Torie bezpieczeństwa, póki ona mieszka w tej dziurze.

Taki stan rzeczy dłużej trwać nie może.

Następnego dnia zachowywał się dziwnie. Był jeszcze bardziej milczący i zamyślony, ale najwyraźniej wiele miał do omówienia z MacDougalem.

Victoria nabrała podejrzeń.

Pod koniec dnia pracy jak zwykle czekał na nią przed drzwiami zakładu. Ona już dawno przestała się sprzeciwiać tej wymuszonej eskorcie. Miała nadzieję, że w końcu Robert się znudzi i da jej spokój.

Jednak na myśl o takiej ewentualności, czuła w sercu dziwne ukłucie samotności. Przyzwyczała się do obecności Roberta. Byłoby dziwnie, gdyby nagle zabrakło go u jej boku.

Przygotowała się do wyjścia i zarzuciła szal na ramiona. Jeszcze trwało lato, ale wieczorem robiło się chłodno. Wyszła za próg na ulicę i ujrzała karetę Roberta.

- Uznałem, że lepiej będzie podjechać do domu - wyjaśnił.

Pytającym gestem uniosła brwi.

Wzruszył ramionami.

- Zanosi się na deszcz.

Spojrzała w niebo. Nie chmurzyło się za bardzo, ale też nie było czyste. Postanowiła nie wdawać się w dysputy. Była na to zbyt zmęczona, bo całe popołudnie zajmowała się nadzwyczaj wymagającą księżną.

Pozwoliła, by Robert pomógł jej wsiąść, i zajęła miejsce w karecie. Odetchnęła z ulgą, gdy zmęczone mięśnie mogły wreszcie odpocząć.

- Miałaś ciężki dzień, co? - zagadnął.

- Tak. Przyszła księżna Wolcott. A jest bardzo małostkowa.

Robert zmarszczył czoło.

- Sarah - Jane? O Boże! To zasłużyłaś na medal, jeżeli zdołałaś nie wytargać jej za włosy.

- A wiesz, że chyba naprawdę zasłużyłam? - Pozwoliła sobie na nieśmiały uśmiešek.

- Jeszcze nigdy nie spotkałam tak próżnej osoby. I tak opryskliwej. Nazwała mnie matolem.

- A ty co?

- Oczywiście nie mogłam nic powiedzieć. - Uśmiechnęła się szelmowsko i dodała: - Na głos.

- A co powiedziałaś w myślach?

- Ooo, dużo. Wytknęłam jej wielki nochal i maciupki mózdzek.

- Naprawdę maciupki?

- Maciupki - odparła Victoria. - W przeciwieństwie do nosa.

- Duży?

- Wielki. - Zachichotała. - Miałam ochotę jej go przytrzeć.

- Z przyjemnością bym na to popatrzył.

- Z przyjemnością bym to zrobiła - dodała i parsknęła śmiechem. Już dawno nie było jej tak wesoło.

- Boże - rzekł zdumiony Robert. - Można by pomyśleć, że dobrze się bawisz. Tu, ze mną. Nie do wiary.

Natychmiast zacisnęła usta.

- Ja bawię się znakomicie - mówił. - Miło słuchać twojego śmiechu. Ostatnio jakoś nie miałem okazji.

Milczała, bo nie wiedziała, co powiedzieć. Gdyby zaprzeczyła, że dobrze się bawi, ewidentnie by skłamała. A mimo to trudno było przyznać - nawet przed sobą - że jego towarzystwo sprawia jej przyjemność. Zrobiła więc jedyną rzecz, jaka jej przychodziła do głowy i... ziewnęła.

- Nie masz nic przeciwko temu, abym zdrzemnęła się na minutkę? - zapytała, uznając, że sen będzie dobrym wyjściem z niezręcznej sytuacji.

- Nic a nic - odparł. - Zasunę zasłonki.

Westchnęła sennie i zasnęła. Nie zauważyła chytrego uśmieszku na twarzy Roberta.

Gdy się obudziła, wokoło panowała cisza. Zawsze sądziła, że Londyn to najgłośniejsze miejsce świata, ale teraz oprócz stukotu końskich kopyt nie słyszała nic.

Zmusiła się do uniesienia powiek.

- Dzień dobry, Victorio.

Przetarła oczy.

- Już rano?

- Nie, to tylko powitanie. Troszkę sobie pospałaś.

- Jak długo?

- O, z pół godzinki. Musiałaś być zmęczona.

- Tak - odparła. - Okropnie. - Jeszcze raz przetarła oczy. - Pół godziny? A nie powinniśmy być już w domu?

Nic nie odpowiedział.

Z najgorszymi podejrzeniami przysunęła się do okna i odsunęła zasłonkę. Zmierzchało już, ale bez trudu dostrzegła drzewa, krzewy, a nawet krowę.

- Krowa tutaj? Spojrzała na Roberta groźnym wzrokiem. - Gdzie my jesteśmy?

Udał, że strzepuje kurz z rękawa.

- Zdaje się, że w drodze na wybrzeże.

- Gdzie? - Prawie krzyczała.

- Na wybrzeże.

- Tylko tyle masz do powiedzenia na ten temat? Uśmiechnął się.

- Mógłbym jeszcze dodać, że cię porwałem. Ale tego już chyba sama się domyśliłaś.

Skoczyła mu do gardła.

Victoria nie sądziła, że jest zdolna do przemocy - właściwie miała się raczej za powściągliwą - ale beztrioskie oświadczenie Roberta wyprowadziło ją z równowagi.

Ciało i mózg zareagowały w sposób nieopanowany. Rzuciła się na Roberta.

- Ty źmijo! - krzyczała. - Ty wstrętna, podstępna źmijo!

Komentarz na temat jej mało eleganckiego języka zachował dla siebie. Być może dlatego, że zacisnęła mu palce na gardle.

- Jak śmiałeś? - wrzeszczała. - Jak mogłeś? A cały czas udawałeś, że rozumiesz, co ci mówię o niezależności.

- Victoria - zipnął, próbując oderwać jej ręce od szyi.

- Cały czas to sobie planowałeś, tak? - Ponieważ nie odpowiedział, potrząsnęła nim. - Tak?!

W końcu udało mu się wyswobodzić, ale musiał użyć takiej siły, że Victoria aż upadła na podłogę karety.

- Na miłość boską - zawołał, z trudem łapiąc powietrze. - Chcesz mnie zabić?

Spojrzała z poziomu podłogi.

- Całkiem niezła myśl.

- Kiedyś mi za to podziękujesz - oznajmił, chociaż dokładnie zdawał sobie sprawę, że te słowa jeszcze bardziej ją rozwścieczą.

Nie mylił się. W ułamku sekundy poczerwieniała na twarzy.

- Jeszcze nigdy w życiu nie byłam taka rozsierdzona - wycodziła w końcu przez zaciśnięte zęby.

- Wierzę ci - powiedział z głębokim przekonaniem i po - masował sobie gardło.

- Nie miałeś prawa. Tak mało mnie szanujesz, że... że... - zawahała się i rozejrzała dokoła, jakby przyszło jej do głowy coś nieprawdopodobnego. - O Boże! Dałeś mi trucizny?

- O czym ty mówisz?

- Byłam zmęczona. Ale mimo to za szybko zasnęłam.

- Szczęśliwy zbieg okoliczności - rzekł i machnął ręką. - Jestem za to bardzo wdzięczny losowi. Nie wyszłoby ci na dobre, gdybyś tak wrzeszczała na ulicach Londynu.

- Nie wierzę, że nic mi nie zrobiłeś.

- Nie jestem takim łajdakiem, za jakiego mnie uważasz. Poza tym nie miałem dzisiaj dostępu do niczego, co jadłaś. Nawet ciasteczek ci nie posłałem.

To była prawda. Wczoraj Victoria udzieliła mu surowego wykładu na temat marnotrawstwa żywności i obiecała, że od tej chwili każde pudełko ciasteczek będzie oddawać do sierocińca. I choć była na niego wściekła, musiała przyznać, że Robert nie należy do ludzi, którzy mogliby sięgnąć po truciznę.

- Tylko jedna uwaga - dorzucił. - Jeszcze do wczoraj nie planowałem cię porwać. Miałem nadzieję, że bez stosowania takich drastycznych środków wrócisz do rozsądnego życia.

- Tak trudno ci uwierzyć, że życie bez ciebie mogę uważać za rozsądne?

- Jeżeli polega ono na mieszkaniu w najgorszych slumsach, to tak.

- To wcale nie „najgorsze” slumsy - rzekła poirytowana.

- Victoria, dwie noce temu przed twoim domem zasztyletowano człowieka - krzyknął.

- Naprawdę? - Zmrużyła oczy.

- Tak, naprawdę. A jeśli myślisz, że będę tolerował twoją bez troskę i stał bezczynnie, gdy padasz ofiarą...

- Przepraszam bardzo, ale właśnie padłam ofiarą. Zostałam w najlepszym razie porwana.

Spojrzał na nią gniewnie.

- A w najgorszym?

- Zgwałcona.

- Nie będzie żadnego gwałtu.

- Nigdy nie wiadomo. Po tym, co chciałeś mi zrobić.

- Zawsze mnie pragnęłaś i pragniesz. Może akurat nie w tej chwili, ale pragniesz.

Na chwilę zapanowało milczenie. W końcu Victoria, patrząc na niego z pogardą, powiedziała:

- Nie jesteś lepszy od Eversleigha. Mocno chwycił ją za ramiona.

- Nigdy nawet mnie z nim nie porównuj.

- A czemu nie? Porównanie jest całkiem na miejscu. Obydwaj stosujecie przemoc, obydwaj używacie siły przeciwko mnie...

- Ja nie użyłem siły - syknął przez zęby.

- A więc otwórz drzwi i pozwól mi wysiąść z karety.

- Victoria - mówił, starając się zachować cierpliwość - jesteśmy w połowie drogi do Canterbury. Jest ciemno, wokół nie ma ludzi. Zapewniam cię, że o tej porze nie chciałabyś opuścić karety.

- A niech cię! Wiesz, jak nie cierpię, kiedy mi mówisz, czego chcę, a czego nie?



Tak mocno zaciskał palce na siedzisku ławki, że trzęsły mu się ręce.

- Mam zatrzymać karete?

Po niezwykle wymownej chwili milczenia trzy razy zapukał pięścią w przednią ścianę.

Po kilku sekundach kareta stanęła.

- Proszę - powiedział. - Wsiadaj.

Otwierała i zamykała usta jak ryba wyrzucona na brzeg.

- Mam ci pomóc wyjść? - Kopnięciem otworzył drzwi i wyskoczył na zewnątrz. Podał jej rękę. - Do usług.

- Robert, nie myślałam...

- Od tygodni nie myślisz - dociął.

Gdyby dosięgła, wymierzyłaby mu policzek. Obok Roberta pojawiła się twarz MacDougala.

- Coś nie tego, mój panie? Paninko?

- Panna Lyndon wyraziła ochotę na opuszczenie naszego towarzystwa.

- Tutaj?

- Nie tutaj, idioto - krzyknęła. A ponieważ MacDougal zrobił urażoną minę, musiała dodać: - Nie pan, tylko Robert.

- Wsiadasz czy nie? - zdecydowanie zapytał Robert.

- Wiesz, że nie. Chcę, żebyś mnie zawiózł z powrotem do Londynu, a nie zostawiał tutaj. - I zwróciła się do MacDougala: - A gdzie my właściwie jesteśmy?

- A gdzie koło Faversham.

- Dobrze - postanowił Robert. - Zanocujemy tam. Miło się jedzie, ale nie ma co się przemęczać i jechać do samego Ramsgate.

- Racja. - MacDougal zawahał się, a potem rzekł do Victorii: - Może na ławce będzie panince lepiej, co, paninko Lyndon?

Uśmiechnęła się gorzko.

- Nie, nie. Tu na podłodze mi wygodnie, panie MacDougal. Lubię dokładnie poczuć wszystkie kamienie i nierówności na drodze.

- Cierpiętница - mruknął pod nosem Robert.

- Słyszałam!

Zignorował ją i wydał zdecydowane polecenie MacDougalowi. Potem wsiadł do karety i nie zwracając uwagi na nadąsaną Victorię siedzącą na podłodze, zajął swoje miejsce.

- Co jest w Ramsgate? - zapytała w końcu.

- Mam domek nad morzem. Sądziłem, że znajdziemy tam zaciszny kątek.

- Zaciszny kątek? W takiej sytuacji brzmi to przerażająco.

- Victoria, zaczynasz nadużywać mojej cierpliwości.

- Drogi panie, to nie pana porwano.

Uniósł jedną brew.

- Wiesz co? Coś mi się wydaje, że ta cała sytuacja zaczyna cię bawić.

- Wyobraźnia cię ponosi - ucięła.

- Mówię poważnie - w zamyśleniu dotknął podbródka. - Musi być przyjemnie dać ujście od dawna tłumionym emocjom.

- Mam pełne prawo do gniewu.

- Na pewno tak ci się wydaje.

Zrobiła groźną - miała nadzieję - minę.

- Gdybym teraz miała pistolet, to naprawdę bym cię zastrzeliła.

- Myślałem, że jesteś przywiązana do wideł.

- Jestem przywiązana do wszystkiego, czym ci mogę wyrządzić krzywdę.

- Nie wątpię. - Zachichotał.

- Nie obchodzi cię, że cię nienawidzę?

Długo wypuszczał powietrze z płuc.

- Coś ci wyjaśnię. Dla mnie najważniejsze jest twoje bezpieczeństwo i zadowolenie. Jeżeli wydobyć cię z tej dziury, którą nazywałaś domem, ma kosztować kilka dni twojej nienawiści, to niech i tak będzie.

- Nie chodzi o kilka dni.

Nic nie powiedział.

Ona wciąż siedziała na podłodze i próbowała poskładać myśli. Do oczu cisnęły jej się łzy bezsilności. Spróbowała szybciej i głębiej oddychać, żeby łzy nie popłynęły po policzkach.

- Jedno twoje posunięcie wystarczyło... - mówiła głosem zabarwionym nerwowym śmiechem osoby, która już wie, że przegrała. - Jedno twoje posunięcie...

Spojrzał prosto na nią.

- Może byś tak już wstała?

Pokręciła głową.

- Chciałam tylko zdobyć odrobinę kontroli nad swoim życiem. Czy to tak wiele?

- Victoria...

- Jednym swoim posunięciem mi to odebrałeś... - przerwała, a po chwili dodała głośniejszym tonem: - ... jednym jedynym posunięciem!

- Działalem w twoim najlepszym inte...

- Czy ty wiesz, co to oznacza, gdy ktoś zabiera ci możliwość podejmowania decyzji?

- Wiem, co to znaczy być manipulowanym - rzekł bardzo cicho.

- To nie to samo - powiedziała i odwróciła głowę, aby nie widział jej płaczu.

Przez chwilę panowała cisza. Robert próbował dobrać odpowiednie słowa.

- Siedem lat temu zaplanowałem swoje życie w najdrobniejszych szczegółach. Byłem młody i zakochany po uszy. Chciałem cię poślubić i przez całe życie dbać o twoje szczęście. Mieliśmy mieć dzieci - mówił zadumany. - Zawsze wyobrażałem sobie, że będą do ciebie podobne.

- Po co to wszystko mówisz?

Popatrzył na nią przenikliwie, ale ona nie śmiała spojrzeć mu w oczy.

- Bo wiem, czym są rozwiane marzenia. Byliśmy młodzi i za głupi, aby pojąć, co zrobili nasi ojcowie, żeby nas rozłączyć. Ale to nie była nasza wina.

- Nie rozumiesz, że nie obchodzi mnie, co było siedem lat temu? Dla mnie to nic nie znaczy.

- Ja myślę, że znaczy.

Złożyła ręce na piersiach i oparła się o ścianę.

- Nie chcę już o tym rozmawiać.

- Dobrze. - Wziął gazetę i udawał, że czyta.

Victoria siedziała na podłodze i starała się nie płakać.

Dwadzieścia minut później karetka zatrzymała się przed niewielkim zajazdem w Faversham przy drodze do Canterbury. Victoria czekała w środku, a Robert poszedł wynająć pokoje.

Wrócił po kilku minutach.

- Wszystko gotowe - oznajmił.

- Mam nadzieję, że dostałam osobny pokój.

- Oczywiście.

Mimo zmęczenia odmówiła przyjęcia pomocy i wyskoczyła z karety sama. Poczowała dotyk jego dłoni na plecach i poszli do zajazdu.

- Mam nadzieję - przywitał ich właściciel, gdy przekroczyli próg frontowego pomieszczenia - że panu i pańskiej żonie spodoba się u nas.

Victoria odczekała, aż znajdą się sami na schodach.

- Mieliśmy mieć osobne pokoje - szepnęła z pretensją.

- Mamy. Musiałem mu powiedzieć, że jesteś moją żoną. Od razu widać, że nie

jesteśmy rodzeństwem. - Delikatnie dotknął, jej kruczoczarnych włosów. - A nie chciałem, żeby ktoś pomyślał...

- Ale...

- Właściciel zapewne pomyślał, że jesteśmy małżeństwem, ale nie przepadamy za sobą.

- Przynajmniej to drugie jest prawdą - mruknęła. Odwrócił się do niej z promiennym uśmiechem.

- Ja za tobą przepadam od zawsze. Zaskoczona jego wesołością przemówiła:

- Sama nie wiem, czy jesteś szalony, zacięty czy po prostu głupi.

- Jeśli mogę zagłosować, to opowiadam się za zacięty. Westchnęła teatralnie i ruszyła przed nim.

- Idę do swojego pokoju.

- Nie chcesz, wiedzieć, który to? Dosłownie czuła na plecach jego uśmieszek.

- Może mi podasz numer - zasyczała przez zaciśnięte zęby.

- Trzy.

- Dziękuję - odparła, a po chwili pożałowała, że w dzieciństwie wpojono jej zasady dobrego wychowania. Robert nie zasługiwał na podziękowania.

- Ja mam czwórkę - podpowiedział. - Na wypadek, gdybyś mnie szukała.

- To nie będzie konieczne. - Dotarła do końca schodów, skręciła za róg i zaczęła się rozglądać za swoim pokojem. Za sobą usłyszała kroki Roberta.

- Nigdy nic nie wiadomo. - A ponieważ nie odpowiadała, dodał: - Ja widzę mnóstwo powodów, żebyś chciała się ze mną skontaktować. - A gdy nadal go ignorowała, uzupełnił wypowiedź: - Gdy złodziej będzie chciał się włamać do twojego pokoju. Gdy będziesz miała koszmary.

Jedynie koszmary, pomyślała, mogą dotyczyć akurat ciebie.

- Ten zajazd może być nawiedzony - ciągnął. - Pomyśl tylko, ile strachu mogą napędzić duchy.

Tego nie potrafiła zignorować. Odwróciła się do niego.

- To najbardziej nieprawdopodobna myśl, jaką słyszałam. Wzruszył ramionami.

- Wszystko się może zdarzyć.

Nie odpowiedziała, tylko przyglądała mu się, jakby próbowała ocenić, w jaki sposób odwieźć go do szpitala dla obłąkanych.

- Możesz też za mną zatęsknić.

- Powtórzę to co poprzednio: To najbardziej nieprawdopodobna myśl, jaką słyszałam.

Chwycił się za serce.

- Ranisz mnie, moja pani.

- Nie jestem twoją panią.

- Ale będziesz.

- O proszę - powiedziała z udawaną obojętnością. - Jest mój pokój. Dobranoc.

Nie czekając na odpowiedź, weszła do środka i trzasnęła mu drzwiami przed nosem.

Po chwili usłyszała przekręcanie klucza w zamku.

Zdumiona otworzyła usta. Ten łajdak ją zamknął!

Ulżyła sobie tupnięciem, a potem z głośnym westchnieniem rzuciła się na łóżko. Nie chciała wierzyć, że ośmielił się zamknąć ją na klucz.

Ale musiała. Przecież mimo wszystko on ją porwał. A on zawsze nad - wszystkim chciał panować.

Przez kilka minut leżała nadąsana na łóżku. Jeżeli ma mu uciec, to musi zrobić to tej nocy, bo gdy znajdą się w jego domku nad morzem, na pewno nie będzie spuszczać jej z oka. A znając Roberta, domek na pewno znajduje się w odosobnieniu.

Nie. Najlepiej uciekać od razu. Na szczęście Faversham leżało niedaleko Bellfield, gdzie mieszka jej rodzina. Nie paliła się za bardzo do odwiedzenia ojca, bo nigdy nie przebaczyła mu, że ją wtedy siłą zatrzymał. Mimo to pastor wydawał się mniej niebezpieczny niż Robert.

Podeszła do okna i wyjrzała na dwór. Było wysoko. Gdyby skoczyła, na pewno zrobiłaby sobie krzywdę. Odwróciła się od okna i nagle zauważyła drugie drzwi.

Do sąsiedniego pokoju. Szybko domyśliła się, do czyjego. Co za ironia losu, że jedyna droga ucieczki prowadzi przez jego pokój!

Podeszła powoli i popatrzyła na klamkę. Później przyjrzała się framudze. Wydawały się masywne. Otwarcie ich narobi hałasu, który może zbudzić Roberta. A jeśli on się zbudzi, zanim ona dotrze na korytarz, to nici z ucieczki. Musi znaleźć sposób, aby otworzyć drzwi po cichu i nie budzić jego podejrzeń.

Nagle wpadła na pomysł.

Wzięła głęboki oddech i otworzyła drzwi.

- Mogłam się domyślić, że nie uszanujesz mojej prywatności! - powiedziała. Zdawała sobie sprawę, że to ona właśnie narusza jego prywatność, wkraczając do jego pokoju, ale nie widziała innego sposobu, aby otworzyć drzwi bez...

Ze zdumienia zapomniała, co zamierza powiedzieć. Na środku pokoju stał nagi do pasa Robert. Właśnie zajmował się rozpinaniem bryczesów.

- Mam dalej się rozbierać? - zapytał słodkim głosem.

- Nie, nie, nie ma potrzeby - odparła, zalewając się kolejno siedmioma odcieniami czerwieni, od paśu do purpury.

Uśmiechnął się niespiesznie.

- Na pewno? Z radością spełnię twoją prośbę.

Zastanawiała się, dlaczego nie może oderwać od niego oczu. Musiała przyznać, że wyglądał naprawdę wspaniale. Przez te wszystkie lata w Londynie na pewno nie gnuśniał. Wykorzystał milczenie Victorii i wręczył jej niewielką paczuszkę.

- Co to jest? - zapytała podejrzliwie.

- Doszedłem do wniosku, że w czymś będziesz musiała spać. I pozwoliłem sobie sprawić ci koszulę nocną.

Myśl, że kupował jej bieliznę, wydała jej się tak krępująca, że niemal upuściła paczkę.

- Skąd to masz? - zapytała.

- Nie zabrałem innej kobiecie, jeśli o to ci chodzi. - Podeszedł bliżej i pogłodził ją po policzku. - Ale miło wiedzieć, że jesteś zazdrosna.

- Nie jestem zazdrosna - odburknęła. - Ja tylko... Jeżeli kupiłeś ją u madame Lambert, to powinnam...

- Nie kupiłem u madame Lambert.

- To dobrze. Nie byłabym zadowolona, gdyby któraś z koleżanek pomagała ci w tym niegodziwym przedsięwzięciu.

- Ciekawe, jak długo jeszcze będziesz się na mnie gniewać - powiedział spokojnie.

Uniosła głowę, zaskoczona nagłą zmianą tematu.

- Idę spać. - Po dwóch krokach w kierunku drzwi Victoria odwróciła się. - Nie będę przed tobą paradować w tej koszuli.

Posłał dziewczynie uwodzicielski uśmiech.

- Nawet o tym nie marzyłem. Ale miło słyszeć, że rozważałaś taką możliwość.

Warknęła po cichu i wyszła z pokoju. Była tak wściekła, że nieomal trzasnęła drzwiami. Przypomniała sobie jednak, w jakim celu je otwierała. Pociągnęła za klamkę, ale zostawiła je minimalnie uchylone. Nawet jeśli on to zobaczy, na pewno nie pomyśli, że to zaproszenie. Swoją złością skutecznie odwiodła go od takich przypuszczeń. Uzna najwyżej, że przeoczyła drobny szczegół.

A jeżeli dopisze jej szczęście, to niczego nie zauważy.

Rzuciła paczkę na łóżko i zaczęła snuć plany na nadchodzącą noc. Odczeka kilka godzin, a potem ruszy do ucieczki. Nie miała pojęcia, jak długo Robert będzie spać, ale na

wszelki wypadek postanowiła poczekać, aż zapadnie w naprawdę głęboki sen.

Sama powstrzymywała się od zaśnięcia, przypominając sobie ulubione cytaty z Biblii. W dzieciństwie ojciec pilnował, aby ona i Ellie uczyły się sporych fragmentów Pisma Świętego na pamięć. Minęła godzina, potem druga i trzecia. Później jeszcze jedna i w połowie psalmu Victoria uświadomiła sobie, że upłynęły cztery godziny. Robert na pewno śpi jak suseł.

Na palcach ruszyła w stronę drzwi, ale nagle się zatrzymała. Buty miały twardą podeszwę i stukwały o podłogę. Musiała je zdjąć. Potem z butami w dłoni znów ruszyła na podbój drzwi.

Serce Victorii waliło, gdy kładła dłoń na klamce. Nie zamknęła drzwi do końca, więc tylko leciutko je popchnęła, a potem z największą ostrożnością otworzyła na oścież.

Wsunęła głowę do środka i odetchnęła z ulgą. Robert spał w najlepsze. Najwyraźniej niczego na sobie nie miał, ale ona postanowiła o tym nie myśleć.

Na palcach ruszyła w stronę drzwi na korytarz. Podziękowała w sercu komuś, kto położył tu dywan, który znacznie tłumił jej kroki. W końcu dotarła do wyjścia. Klucz był w zamku. Uff, teraz najtrudniejszy manewr. Musiała przekręcić klucz i otworzyć drzwi tak, aby nie obudzić Roberta.

Wtedy przyszło jej na myśl, że właściwie to dobrze, że on śpi nago. Gdyby niechący go obudziła, mogła uciec spory kawałek, zanim on się ubierze. Wiedziała, że chce ją mieć w garści, ale wątpiła, czy odważyłby się paradować na golasa po ulicach Faversham.

Chwyciła palcami klucz i odwróciła głowę. Zamek głośno szczęknął. Wstrzymała oddech i obejrzała się w stronę łóżka. Robert zamruczał przez sen i odwrócił się na drugi bok. Nic nie wskazywało na to, że się obudził.

Nadal nie oddychając, popchnęła drzwi. Modliła się, aby nie zaskrzypiały zawiasy. Krótki zgrzyt spowodował, że Robert znów się poruszył i uroczo oblizał usta. W końcu otworzyła drzwi do połowy i wymknęła się na korytarz.

Udało się! Poszło aż za łatwo. Ale nie poczuła triumfu, jakiego się spodziewała. Ruszyła przez korytarz i zbiegła po schodach. Nikt nie pilnował wyjścia, więc wyszła frontowymi drzwiami niezauważona.

Dopiero na dworze uświadomiła sobie, że nie wie, dokąd iść. Do Bellfield było ze dwadzieścia kilometrów. Jak ktoś chce, łatwo przejdzie pieszo, ale nie uśmiechało jej się maszerować samotnie nocą drogą do Canterbury. Powinna raczej ukryć się w pobliżu zajazdu i poczekać, aż Robert odjedzie.

Rozejrzała się dokoła i z powrotem założyła buty. Mogła się ukryć w stajni albo w

którymś z okolicznych straganów. A może...

- No, no, no. Kogo my tu mamy?

Nagle żołądek podszedł Victorii do gardła. Zobaczyła zbliżających się do niej dwóch roślących, brudnych i pijanych mężczyzn. Zrobiła krok do tyłu w stronę wejścia do zajazdu.

- Mam jeszcze parę groszy - odezwał się jeden z nich. - Ile panienka bierze?

- Obawiam się, że panowie się pomylili - powiedziała pośpiesznie.

- Nie kituj, laleczko - rzekł drugi i złapał ją za rękę. - Chcemy się zabawić. Bądź milutka.

Krzyknęła przerażona. Palce napastnika wbijały jej się w skórę.

- Nie, nie - mówiła w coraz większej panice. - Ja nie jestem... - Nie musiała kończyć zdania, bo i tak nie zwracali na nią uwagi.

- Jestem mężatką - skłamała trochę donośniejszym głosem.

Jeden z nich oderwał oczy od jej piersi i uniósł wzrok. Zmrużył oczy i pokiwał głową.

Najwyraźniej nie zamierzali uszanować świętości małżeństwa. W końcu zrozpaczona krzyknęła:

- Moim mężem jest hrabia Macclesfield! Jeżeli spadnie mi włos z głowy, to was pozabija. Przysięgam.

- A co żoncia cholernego hrabiego robi tu w środku nocy, co? - zagadnął jeden z natrętów.

- Długa historia, zapewniam pana - wyjąkała, cofając się ku drzwiom.

- Chyba kłamie - stwierdził ten, który ścisnął ją za rękę. Przyciągnął ją z zadziwiającą siłą jak na pijanego.

- Zabawimy się dzisiaj troszkę - zachrypiał. - Sam na sam...

- Nie radzę - powiedział głos, który Victoria знаła aż nadto dobrze. - Nie lubię, jak obcy dotykają mojej żony.

Podniosła głowę. Obok napastnika stał Robert - skąd on się wziął tu tak szybko? - i przykładał pistolet do jego skroni. Był bez koszuli i boso. Za pas bryczesów miał wciśnięty drugi pistolet. Spojrzał na pijaka, zaśmiał się jadowicie i powiedział:

- To mnie doprowadza do utraty rozumu.

- Robert. - Tylko tyle zdołała wyksztusić Victoria, szczęśliwa, że go widzi.

Robert skinął ku niej głową, pokazując, aby weszła do zajazdu. Posłuchała natychmiast.

- Liczę do dziesięciu - oznajmił złowieszczym tonem. - Jeśli nie znikniecie mi z oczu, to strzelam. I nie będę celować w nogi.



Zanim doszedł do dwóch, pijacy biegli w popłochu. Mimo to doliczył do dziesięciu. Victoria obserwowała go od drzwi i kusiło ją, aby uciec na górę i zabarykadować się w pokoju. Ale czuła, jakby nogi wrosły jej w ziemię, i nie mogła oderwać oczu od Roberta.

Gdy skończył liczyć, odwrócił się do niej.

- Radzę, żebyś dzisiaj w nocy już nie wystawiała na próbę mojej cierpliwości - rzucił.

Skinęła głową.

- Dobrze. Idę spać. Porozmawiamy rano. Jeśli będziesz chciał.

Skwitował jej słowa mruknięciem i ruszyli schodami do swoich pokoi. Taka reakcja raczej nie dodała Victorii otuchy.

W pośpiechu Robert zostawił drzwi otwarte na oścież. Teraz pociągnął Victorię do środka i zatrzasnął drzwi. Puścił ją, żeby przekręcić klucz, a ona skorzystała z okazji i pobiegła do drzwi łączących ich pokoje.

- Położę się - powiedziała pośpiesznie.

- Nie tak szybko. - Zacisnął dłoń na przedramieniu dziewczyny i pociągnął do siebie. -

Naprawdę myślisz, że pozwolę ci samej spędzić resztę nocy?

Zamrugła oczami.

- No tak. Rzeczywiście tak myślę. Uśmiechnął się, ale był to uśmiech groźny.

- To się mylisz.

Poczuła, że kolana za chwilę mogą jej odmówić posłuszeństwa.

- Mylę się?

Zanim zdążyła się zastanowić, o co chodzi, złapał ją oburącz za ramiona i popchnął na łóżko.

- Tutaj, moja spryculo. Resztę nocy spędzisz tutaj, w moim łóżku.

- Czyś ty zmysły postradał? - wykrzyknęła, w błyskawicznym tempie wyskakując z łóżka.

Ruszył w jej stronę wolnym, ale zdecydowanym krokiem.

- W każdym razie cholernie niewiele mi brakuje.

Zrobiła kilka kroków do tyłu i z przerażeniem zdała sobie sprawę, że dotyka plecami ściany. Małe szanse na ucieczkę.

- Wspominałem już, jak bardzo mi się podoba stwierdzenie, że jesteśmy małżeństwem? - zapytał pozornie spokojnym głosem.

Znała ten ton. Świadczył o tym, że Robert z trudem tłumi ogarniającą go wściekłość. Gdyby była spokojniejsza i mogła rozsądniej myśleć, pewnie nie próbowałaby go prowokować. Ale tak bardzo zależało jej na bezpieczeństwie i cnocie, że rzuciła:

- Nigdy więcej o tym nie usłyszysz.

- A to szkoda.

- Robert - odezwała się możliwie najłagodniej. - Masz prawo być zdenerwowany...

Wybuchnął śmiechem. Ale jej nie było wesoło.

- Zdenerwowany? To słowo nawet w części nie oddaje moich uczuć - mówił. - Coś ci opowiem.

- Nie czas na opowiadki.

Zignorował ją.

- Spałem sobie smacznie w łóżku. Śniło mi się coś szczególnie przyjemnego... Ty mi się śniłaś.

Spasowała na twarzy. On smutno się uśmiechnął.

- Zdaje się, że trzymałem rękę na twojej głowie, a twoje usta... Hm, jakby to opisać?

- Robert, wystarczy już!

- Na czym to skończyłem? - zastanawiał się, nie zwracając uwagi na jej słowa. - A tak, na śnie. Wyobraź sobie moje niezadowolenie, gdy z takiego pięknego snu wyrwały mnie krzyki. - Pochylił się do przodu, oczy pały mu złością. - Twoje krzyki!

Nie wiedziała, co powiedzieć. No, może niezupełnie. Przychodziły jej do głowy setki słów, ale połowa była niestosowna, a drugą połowę wolała zachować dla siebie.

- Czy wiesz, że jeszcze nigdy nie wkładałem spodni z taką prędkością?

- Taka umiejętność na pewno ci się przyda - improwizowała.

- A w stopach mam pełno drzazg - dodał. - Te podłogi nie nadają się do chodzenia boso.

Spróbowała się uśmiechnąć, ale udawanie odważnej za bardzo jej nie wychodziło.

- Jak chcesz, to ci powyciągam drzazgi i opatrzę rany.

W ułamku sekundy jego dłonie wylądowały na jej ramionach.

- A ja po nich nie szedłem. Ja biegłem. Pędziłem, jakby od tego zależało moje życie. Ale nie. - Pochylił się, z oczu biła furia. - Gnałem ratować twoje życie.

Miała ściśnięte gardło, z trudem próbowała przełknąć ślinę. Jakiej on oczekuje odpowiedzi? W końcu otworzyła usta i wyksztusiła:

- Dziękuję? - Było to raczej pytanie niż podziękowanie. Puścił ją gwałtownie i odwrócił się wyraźnie rozczarowany jej reakcją.

- Ech, na miłość boską - mruknął.

Próbowała pozbyć się uścisku w gardle. Jak to się stało, że tak nisko upadła, pytała sama siebie. Była o włos od zalania się łzami, ale nie chciała płakać przed tym człowiekiem. Dwa razy złamał jej serce, a teraz ją porwał. Niewielkie miała szanse na okazanie dumy.

- Chcę wrócić do swojego łóżka - powiedziała cichym głosem.

- Już ci mówiłem - odpowiedział, nie pofatygowawszy się nawet na nią spojrzeć - że ci nie pozwolę wrócić do tej rudery w Londynie.

- Miałam na myśli swój pokój.

Przez dłuższą chwilę panowało milczenie.

- Postanowiłem, że zostaniesz tutaj - odezwał się w końcu.

- Tutaj? - jęknęła.

- Zdaje się, że powiedziałem to już co najmniej dwa razy.

Postanowiła zmienić taktykę i odwołać się do jego silnego poczucia honoru.

- Wiem że nie należysz do tych, którzy zmuszaliby kobietę wbrew jej woli.

- Nie o to chodzi - odparł z drwiną. - Przypuszczam, że drugi raz spróbujesz uciekać.

Starła się trzymać język na wodzy.

- Obiecuję, że dzisiaj już nie będę próbowała uciekać. Masz moje słowo honoru.

- Przepraszam, ale nie za bardzo mogę polegać na twoim słowie.

To ją ukłuło i przypomniała sobie, z jaką urazą kiedyś powiedział, że on nigdy nie złamał obietnicy. Bardzo zabolą ją uderzenie własną bronią.

- Do tej pory nie obiecywałam, że nie ucieknę. Dopiero teraz daję ci słowo.

Odwrócił się i patrzył z powątpiewaniem.

- Nadajesz się na polityka, moja droga.

- O czym ty mówisz?

- O tym, że masz rzadki dar wykorzystywania słów do obchodzenia prawdy.

Nie mogła się powstrzymać od uśmiechu.

- A jak brzmi prawda? Zrobił krok do przodu.

- Że mnie potrzebujesz.

- Przestań, proszę.

- Tak, tak. Potrzebujesz mnie tak, jak kobieta potrzebuje mężczyzny.

- Skończ już z tym, Robert. Jakoś nie czuję potrzeby, by uprowadzano mnie przemocą. Zachichotał.

- Potrzebujesz miłości, towarzystwa, opieki. Dlaczego tak ci doskwierała posada guwernantki? Bo byłaś sama.

- Mogę sobie kupić psa. Spaniel byłby lepszy do towarzystwa niż ty.

Znów się roześmiał.

- Przypomnij sobie, jak szybko dzisiaj zawołałaś, że jesteś moją żoną. Mogłaś wybrać każde inne nazwisko, ale wybrałaś moje.

- Po prostu skorzystałam z twojego nazwiska, żeby się bronić. Nic więcej!

- Ale to nie wystarczyło, moje złotko.

Nie przepadała, gdy tak się do niej zwracał.

- Potrzebujesz prawdziwego mężczyzny. Ci pijacy nie uwierzyli ci, póki się nie pojawiłem.

- Bardzo ci dziękuję. - W jej głosie nie było zbyt wiele wdzięczności. - Najwyraźniej masz potrzebę wybawiania mnie z nieprzyjemnych sytuacji.

- A tak. To się czasami przydaje.

- Tyle że to ty odpowiadasz za spowodowanie tych sytuacji.

- Czyżby? - zapytał tonem pełnym sarkazmu. - Wstałem z łóżka i przez sen wyciągnąłem cię z pokoju, zepchnąłem ze schodów i zostawiłem przed zajazdem na pastwę dwóch cuchnących zakapiorów. Zrobiła surową minę.

- Robert, twoje zachowanie jest zupełnie nie na miejscu.

- O, guwernantka się w tobie odzywa?

- Porwałś mnie! - niemal krzyknęła. - Uprowadziłeś mnie! Gdybyś dał mi spokój, o co stale proszę, to teraz smacznie i bezpiecznie spałabym we własnym łóżku.

Znów zrobił krok do przodu i złapał ją za ramię.

- Smacznie i bezpiecznie? - powtórzył. - W tamtej okolicy? To raczej niemożliwe!

- No tak, a ty wielkodusznie wzięłaś na siebie obowiązek wybawienia mnie od mojej

własnej głupoty.

- Ktoś musiał.

Uniosła rękę, żeby wymierzyć mu policzek, ale on bez trudu złapał ją w nadgarstku.

- Jak śmiesz? Jak śmiesz mnie poniżać? Mówisz, że mnie kochasz, a traktujesz mnie jak dziecko. Ty...

Przerwała, bo przycisnęła dłonią jej usta. - Uważaj, bo powiesz coś, czego będziesz żałować. Nadepnęła go na stopę. Mocno. Znow był przekonany, że zna jej potrzeby. A ona właśnie za to go nienawidzi.

- Dosyć! - huknął. - Okazałem ci Hiobową cierpliwość! Świętym powinienem zostać, cholera! - Zanim zdążyła odparować, że słowo „święty” nie powinno sąsiadować w jednym zdaniu ze słowem „cholera”, podniósł ją i bez wysiłku rzucił na łóżko.

Ze zdumienia otworzyła usta. Zaczęła czołgać się po sienniku, ale złapał ją za kostkę.

- Puszczaj! - zawołała. Chwyciła brzeg łóżka i próbowała wyrwać się z uścisku. Bezskutecznie. - Robert, jak mi zaraz nie puścisz nogi...

Ten łajdak miał czelność się roześmiać.

- To co mi zrobisz? No powiedz.

Kipiąc gniewem i bezradnością, przestała się szarpać, tylko drugą nogą solidnie kopnęła go w klatkę piersiową. On jęknął z bólu i puścił jej kostkę, ale zanim zczołgała się z łóżka, całym ciężarem przycisnęła ją do siennika.

Wyglądał na wściekłego.

- Robert - spróbowała odezwać się pojednawczym tonem.

Patrzył na nią z góry, a w jego oczach strach mieszał się Z pożądaniem.

- Czy ty masz pojęcie, co ja czułem na widok tych napastujących cię zbirów? - zapytał ochryple.

W milczeniu pokręciła głową.

- Ogarnęła mnie furia. - Jego uścisk zelżał i stał się bardziej opiekuńczy. - Prymitywna, niepohamowana, dzika furia.

Szerzej otworzyła oczy.

- Bo śmieli cię dotknąć. Bo śmieli cię nastraszyć.

Miała sucho w ustach. Nie mogła oderwać oczu od jego warg.

- I wiesz, co jeszcze czułem?

- Nie - odpowiedziała prawie szeptem.

- Przerażenie. Spojrzała mu w oczy.

- Przecież widziałeś, że nic mi nie jest. Uśmiechnął się smutno.

- Nie o to chodzi, Torie. Byłem przerażony, że uciekasz przede mną i nigdy nie przyznasz, co naprawdę do mnie czujesz. Że mnie nienawidzisz i będziesz się wplątywać w różne kłopoty, byle tylko mnie uniknąć.

- To nieprawda, że cię nienawidzę - wymknęło jej się, zanim sobie uprzytomniła, że zaprzecza wszystkiemu, co mówiła przez ostatnich dwanaście godzin.

Dotknął jej włosów i silnymi dłońmi objął głowę.

- Więc dlaczego? - szepnął. - Dlaczego, Victorio?

- Nie wiem. Niestety. Ale wiem, że teraz nie chcę być z tobą.

Zniżył głowę tak, że prawie stykali się nosami. Potem namiętnie, musnął ustami jej usta.

- Teraz czy nigdy?

Nie odpowiedziała. Nie odpowiedziała, bo poczuła na swych ustach jego gorące usta. Przesunął językiem po jej wargach. Delikatnie pocałował ją, przypominając o swoim pożądaniu. Przesunął dłoń po jej ciele i zatrzymał na piersi. Pieścił ją, a przez tkaninę sukienki przebijało się gorąco jego ręki. Victorię zaczęło ogarniać podniecenie.

- A wiesz, co teraz czuję? - szepnął.

Nie odpowiedziała.

- Pożądanie. - Błyszczały mu oczy. - Pragnę cię, Victorio. Chcę, żebyś w końcu była moja.

Z przerażeniem zdała sobie sprawę, że pozostawia decyzję w jej rękach. Łatwo byłoby się poddać nastrojowi chwili. Przecież nazajutrz mogłaby się usprawiedliwić, że dała się ponieść namiętności, że nie myślała trzeźwo.

Ale Robert odwoływał się do jej uczuć. Chciał, aby przyznała, że ona pragnie go nie mniej niż on jej.

- Mówiłaś, że chcesz sama za siebie podejmować decyzje - szeptał jej do ucha, delikatnie przesuwając koniuszkiem języka po jego skraju. - Nie chcę tego robić za ciebie.

Jęknęła bezradnie.

On przesunął dłoń po jej ciele i łagodnie zatrzymał na biodrze. Przycisnął, a ona poczuła każdy fragment jego palców.

Uśmiechnął się wyzywająco.

- Może powinienem ci pomóc zadecydować? - powiedział, dotykając wargami delikatnej skóry szyi. - Pragniesz mnie?

Nie odpowiedziała, ale mocniej do niego przyłgnęła i lekko uniosła biodra. Wsunął dłonie pod sukienkę i przesuwał powoli, aż dotarł do rozpalonej skóry ponad brzeżkiem

pończochy. Jednym palcem powoli zataczał kółka na nagiej skórze.

- Pragniesz mnie? - powtórzył.

- Nie - szepnęła.

- Nie? - Znow przyłożył wargi do jej ucha i delikatnie skubał poduszczkę. - Na pewno?

- Tak.

- Tak, jesteś pewna, czy tak, pragniesz mnie? Westchnęła bezsilnie.

- Nie wiem.

Zastanawiał się przez dłuższą chwilę. Jego twarz wyrażała pragnienie, w oczach połyskiwał płomień. W końcu zsunął się z jej ciała. Wstał, przeszedł na drugą stronę pokoju. Widziała, jak bardzo jest podniecony.

- Tej decyzji za ciebie nie podejmę - rzekł.

Oszołomiona Victoria usiadła. Także pragnęła Roberta, a jednocześnie nienawidziła go za to, że dał jej to, o co od tak dawna prosiła: kontrolę nad swoimi decyzjami. On podszedł do okna i oparł się o parapet.

- Podejmij decyzję - powiedział spokojnie. Zdobyła się tylko na stłumiony szloch.

- No, podejmij!

- Ja... Ja nie wiem. - Nawet w jej uszach słowa te zabrzmiały żałośnie i głupio.

Odwrócił się plecami.

- To zejdz mi z oczu.

Wzdrygnęła się.

Robert wrócił do łóżka i chwycił ją za ramię.

- Powiedz tak albo nie - rzekł ostro. - Albo nie wymagaj, żebym dawał ci możliwość wyboru, skoro nie chcesz z niej skorzystać.

Victoria była kompletnie zdumiona i zanim zdążyła zareagować, została wypchnięta do swojego pokoju i zamknęły się za nią drzwi. Próbowwała złapać powietrze. Nie mogła uwierzyć, że tak bardzo czuje się smutna i odrzucona. Ujawniła swoją obłudę! On to bez trudu udowodnił. Stale prosiła, żeby nie próbował kontrolować jej życia, a gdy w końcu dał jej wybór, nie potrafiła się na nic zdecydować.

Gdy już nieco się uspokoiła, jej wzrok padł na paczkę beładnie rzuconą kilka godzin wcześniej. Wydawało się, że od tamtej chwili minęły wieki. Ciekawe, co Robert rozumie przez odpowiednią koszulę nocną, pomyślała z uśmiechem.

Rozwiązała sznurek na pudełku i uchyliła wieczko. Nawet w słabym świetle świeczki dojrzała, że koszula jest z najznakomitszego jedwabiu. Ostrożnie wyjęła ją z pudełka.

Była ciemnoniebieska, coś pomiędzy granatem a błękitem paryskim. Victoria nie wierzyła, że koszula miała taki sam kolor jak jej oczy tylko przez przypadek.

Westchnęła i z powrotem usiadła na łóżku. Wyobraziła sobie, jak Robert ogląda sto różnych koszul, aż w końcu wybiera tę jedną idealną. Wszystko robił dokładnie i z sercem.

Zaciekawiło ją, czy kocha się z takim samym zaangażowaniem.

- Przestań! - odezwała się na głos, jakby tylko w ten sposób mogła opanować myśli. Wstała i przeszła przez pokój do okna. Księżyc świecił wysoko, gwiazdy przyjaźnie mrugały. Nagle bardziej niż czegokolwiek innego zapragnęła porozmawiać z inną kobietą. Z koleżanką z pracy, z siostrą, a choćby nawet z panią Brightbill albo Harriet.

Ale przede wszystkim chciała porozmawiać z mamą, która już od tylu lat nie żyła. Spojrzała w nocne niebo i odezwała się:

- Mamo, słuchasz mnie? - I szybko odpędziła niemądrą nadzieję, że zaraz jakaś gwiazda rozświetli niebo. Mimo to w rozmowie z nocnym rozgwieżdżonym niebem było coś kojącego.

- Co ja mam robić? - mówiła na głos. - Chyba go kocham. I chyba mogłabym go pokochać na zawsze. Ale równocześnie go nienawidzę.

Jedna z gwiazd zamrugnęła ze współczuciem.

- Czasami myślę, że tak wspaniale byłoby mieć kogoś, kto by się o mnie troszczył. Czuć się kochana i bezpieczna. Już od tak dawna brakuje mi takiego poczucia. Brakuje mi przyjaciela. Ale chcę także sama podejmować decyzje, a Robert mi to uniemożliwia. Nie, żeby specjalnie. On po prostu taki już jest. Czuję się słaba i bezradna. Jako guwernantka cały czas byłam zdana na cudzą łaskę. A tego nie znoszę.

Przerwała, żeby otrzeć łzę z policzka.

- A w ogóle to zastanawiam się, czy te sprawy mają jakieś znaczenie. Bo może ja się po prostu boję? Jestem tylko tchórzem, który boi się skorzystać z okazji.

Wiatr musnął jej policzek, odetchnęła głęboko świeżym, chłodnym powietrzem.

- Czy znów mi nie złamie serca, jeżeli pozwolę mu się kochać?

Nocne niebo nie odpowiedziało.

- I jeśli pozwolę mu się kochać, to czy pozostanę sobą?

Tym razem jedna z gwiazd zamigotała, ale Victoria nie wiedziała, jak to zinterpretować. Stała w oknie jeszcze kilka minut, rozkoszując się chłodnym powiewem na skórze. W końcu zmogło ją zmęczenie, weszła w ubraniach do łóżka i zasnęła, nie zdając sobie sprawy, że przytuliła do siebie jedwabną, niebieską koszulę.

W odległości trzech metrów Robert stał w swoim oknie i zastanawiał się nad tym, co



właśnie podслуwał. Wiatr przyniósł mu słowa Victorii. Wbrew swojej pragmatycznej naturze skłonny był uwierzyć, że to jakiś dobry duszek pokierował wiatrem.

Może duch jego matki? A może matki Victorii? A może obydwie współpracują w niebie, aby dać swoim dzieciom szansę na szczęście?

Był już o włos od utraty nadziei, a nagle otrzymał dar cenniejszy od złota - wgląd w serce Victorii.

Uniósł wzrok do nieba i podziękował księżycowi.

Następny dzień przypominał sen.

Victoria obudziła się zmęczona fizycznie i psychicznie, a w sprawie uczuć do Roberta miała tyle samo wątpliwości co zawsze.

Obmyła twarz, wygładziła ubranie i zapukała do jego drzwi. Odpowiedzi nie było, ale mimo to postanowiła wejść. Doskonale pamiętała, w jakim wczoraj był stanie. Zagryzła dolną wargę i otworzyła drzwi.

I przeraziła się na widok MacDougala rozłożonego wygodnie na Roberta łóżku.

Jęknęła zaskoczona, a potem udało jej się wydukać:

- O Boże! Co pan tu robi? Gdzie hrabia Macclesfield? MacDougal uśmiechnął się przyjaźnie i wstał z łóżka.

- Poszedł dojrzyć kuni.

- Czy to nie pana obowiązek? Szkot skinął głową.

- Hrabia bardzo dba o kunie.

- Wiem - powiedziała i przypomniała sobie, jak siedem lat temu bez powodzenia uczył ją jazdy konnej.

- Czasem lubi je sam dojrzyć. Najczęściej jak się zastanawia.

Pewnie nad tym, jak się na mnie zemścić, pomyślała. Nastąpiła chwila ciszy, a potem zapytała:

- Czy pan przyszedł do tego pokoju z jakichś konkretnych powodów?

- Taa, mom paninę odprowadzić na śniadanie.

- Ach, tak - powiedziała z nutką goryczy. - Więzień cały czas musi być pod strażą.

- Raczej gadał, że ktoś tam wczoraj paninę nagabywał. Nie chce, coby paninka czuła się nieswojo. Samotna kobieta i te rzeczy.

Uśmiechnęła się powściągliwie.

- Możemy więc iść? Konam z głodu.

- Czy mam coś ponieść dla pani?

Chciała go poprawić i powiedzieć, że nie jest panią, ale nie miała na to siły. Robert już zapewne powiedział służącemu, że są jak małżeństwo.

- Nie - odparła. - Pan hrabia nie dał mi zbyt wiele czasu na spakowanie.

- No dobra. - MacDougal skinął głową.

Zrobiła kilka kroków do drzwi i nagle przypomniała sobie o leżącej na łóżku

niebieskiej koszuli nocnej. Powinnam ją tam zostawić, pomyślała mściwie. Powinnam ją podrzeć na strzępki. Ale ten pięknie uszyty kawałek jedwabiu bardzo ją w nocy pocieszył i nie chciała się z nim rozstawać.

A poza tym gdyby ją zostawiła, usprawiedliwiała się, Robert przed wyjazdem i tak wszedłby po nią na górę.

- Chwileczkę - powiedziała i cofnęła się do swego pokoju. Zwinęła koszulę w kłębek i schowała pod pachę.

Razem z MacDougalem zeszła na dół. Szkot skierował ją do osobnej jadalni, gdzie Robert zje z nią śniadanie. O dziwo, Victoria była głodna, Przyłożyła dłoń do brzucha, bezskutecznie powstrzymując burczenie w żołądku. Dobre maniere nakazywały poczekać na Roberta, ale powątpiewała, czy powstał jakiś przepis etykiety dotyczący zachowania w tak nietypowej sytuacji.

Odczekała dwie minuty, a gdy kiszki mocniej zagrały marsza, zrezygnowała z dobrych manier i sięgnęła do talerza z grzankami.

Po kilku minutach, dwóch jajach i pysznym kawałku pasztetu z cynaderek usłyszała, jak Robert otwiera drzwi i mówi:

- Smakuje ci?

Spojrzała na niego. Był uprzejmy, przyjaźnie nastawiony i nad podziw pogodny. Natychmiast ogarnęły ją podejrzenia. Czy to ten sam człowiek, który wczoraj wypchnął ją z pokoju?

- Umieram z głodu - oznajmił. - Jak jedzenie? Jest to, co lubisz?

Ugryzła grzankę umoczoną w herbacie.

- Dlaczego jesteś dzisiaj taki miły?

- Bo cię lubię.

- W nocy nie lubiłeś - mruknęła.

- W nocy byłem, że tak powiem, niedoinformowany.

- Niedoinformowany? A przez ostatnie dziesięć godzin zebrałeś tak dużo informacji?

Uśmiechnął się szelmowsko.

- Tak, zebrałem.

Wolno i dokładnie odstawiała filiżankę herbaty na talerzyk.

- I chciałbyś teraz podzielić się ze mną nową wiedzą?

Spojrzał na nią uważnie i po ułamku sekundy powiedział:

- Podaj mi, proszę, kawałek tego pasztetu z cynaderek.

Victoria chwyciła tacę z pasztetem i przysunęła do siebie, aby nie mógł dosięgnąć.

- Za chwilę.

Roześmiał się.

- Grasz nieczysto, moja pani.

- Nie jestem twoją panią. I chcę wiedzieć, czemu ci dzisiaj tak wesoło. Jak wytłumaczysz wczorajsze zachowanie?

- Chcesz powiedzieć, że mój wczorajszy gniew był uzasadniony?

- Nie! - Słowo to zabrzmiało nieco dobitniej, niż zamierzała.

Wzruszył ramionami.

- Nieważne. Dzisiaj już się nie gniewam.

Przyglądała mu się osłupiała.

Sięgnął po tacę z pasztetem.

- Już mogę?

Z ledwie dosłyszalnym fuknięciem podsunęła mu pasztet, a przez następne dziesięć minut obserwowała, jak Robert zajada śniadanie.

Droga z Faversham do Ramsgate powinna zająć im cztery godziny, ale ledwie wyruszyli, Robert wpadł na jakiś znakomity pomysł i zapukał w ścianę, dając MacDougalowi znak do zatrzymania.

Kareta powoli wyhamowała i Robert wyskoczył na zewnątrz z energią i wesołością, które niepokoiły Victorię. Zamienił kilka słów z woźnicą i wrócił do powozu.

- Co się stało? - zapytała.

- Mam dla ciebie niespodziankę.

- Trochę za dużo niespodzianek jak na jeden tydzień.

- Nie przesadzaj. Ale musisz przyznać, że dzięki mnie twoje życie stało się atrakcyjniejsze.

Prychnęła.

- Tylko wtedy, drogi panie, gdy porwanie nazwać atrakcją.

- Wolę, gdy mówisz do mnie „Robercie”.

- Twój pech. Nie urodziłam się po to, żeby spełniać czyjeś zachcianki.

Tylko się uśmiechnął.

- Uwielbiam sprzeczać się z tobą.

Zacisnęła pięści. Świetnie bawi się jej kosztem. Wyjrzała przez okno i zauważyła, że MacDougal zбочzył z drogi do Canterbury. Odwróciła się do Roberta.

- Dokąd my skręciliśmy? Mówiłeś, że jedziemy do Ramsgate.

- Zgadza się. Tylko zrobimy sobie mały wypad do Whitsable.

- Do Whitsable? A po co? Pochylił się z figlarnym uśmiechem.

- Na ostrygi.

- Na ostrygi?

- Tak. Najlepsze na świecie.

- Nie chcę żadnych ostryg. Jedźmy prosto do Ramsgate. Uniósł brwi.

- Nie wiedziałem, że tak ci spieszno, aby spędzić ze mną kilka dni sam na sam. Każę MacDougalowi czym prędzej wracać na drogę do Ramsgate.

Wyprowadzona z równowagi Victoria niemal podskoczyła na siedzeniu.

- Nie o to mi chodzi. Dobrze o tym wiesz.

- Więc mamy jechać dalej do Whitsable? Poczula się jak kot zaplątany w kłębek wełny.

- Zupełnie nie słuchasz, co do ciebie mówię. Natychmiast spowaźniał.

- Nieprawda. Zawsze uważnie słucham twoich słów.

- Gdyby rzeczywiście tak było, to nie lekceważyłbyś moich opinii i nie robiłbyś, co ci się podoba.

- Victorio, jedyna rzecz, jaką zrobiłem wbrew twojej woli, to zabrałem cię z najgorszej dziury w Londynie.

- Wcale nie najgorszej - burknęła bardziej z nawyku niż z przekonania.

- Nie będę więcej o tym dyskutował.

- Bo nie chcesz usłyszeć, co mam do powiedzenia!

- Nie. Ale ten temat już „wałkowaliśmy wiele razy. Nie pozwolę ci narażać się na niebezpieczeństwo.

- Nie masz prawa „pozwalać mi i nie pozwalać” na coś.

- Nie zawsze jesteś tak stuknięta, żeby bez sensu wystawiać się na niebezpieczeństwo.

- Założył ręce na piersi i zacisnął usta. - Zrobiłem, co uznałem za najlepsze.

- I mnie porwałś - powiedziała z goryczą.

- Przypomnij sobie, że zaproponowałem ci mieszkanie u mojej cioci, a ty odmówiłaś.

- Chcę być niezależna.

- Nie trzeba być samotnym, aby być niezależnym.

Nie znalazła odpowiedniej riposty, więc zamilkła.

- Chcę, abyśmy byli małżeństwem, w którym mąż i żona mają równe prawa - mówił łagodnie. - Będę radził ci się w sprawach zarządzania majątkiem i dzierżawami.

Będziemy razem podejmować decyzje co do chowania dzieci. Nie wiem, skąd to przekonanie, że pokochać mnie oznacza utracić siebie.

Odwróciła głowę, żeby nie pokazać emocji malujących się w oczach.

- Pewnego dnia zrozumiesz, co znaczy być kochaną. - Westchnął głęboko. - Mam nadzieję, że dojdzie do tego szybko.

Zastanawiała się nad tym zdaniem przez resztę drogi do Whitsable.

Na posiłek zatrzymali się w uroczej oberży ze stolikami na świeżym powietrzu. Robert spojrział w niebo.

- Chyba popada - stwierdził. - Ale nie wcześniej niż za godzinę. Zjemy na dworze?

Posłała mu niepewne spojrzenie.

- Słońce pięknie przygrzewa.

Podał jej ramię i poprowadził do małego stolika z widokiem na morze. Czuł przypływ optymizmu. Miał wrażenie, że rozmowa w karecie stanowiła jakiś przełom. Victoria jeszcze nie była gotowa przyznać się do miłości, ale on czuł, że od wczoraj zbliżył się do tego punktu.

- Już w czasach starożytnych Rzymian wioska Whitsable słynęła z ostryg - powiedział, gdy siadali.

- Naprawdę? - Nerwowo rozkładała swoją serwetkę.

- Tak. Sam nie wiem, dlaczego nie przyjechaliśmy tu siedem lat temu.

Uśmiechnęła się smutno.

- Ojciec by mi nie pozwolił. A poza tym to kawał drogi.

- Zastanawiałaś się kiedyś, jak wyglądałoby nasze życie, gdybyśmy wtedy się pobrali?

Zacisnęła palce na serwetce.

- Przez cały czas - szepnęła.

- Na pewno niejedną raz jedlibyśmy tu ostrygi - rzekł Robert. - Nie wytrzymałbym siedmiu lat bez świeżych ostryg.

Nic nie odpowiedziała.

- Pewnie mielibyśmy już dziecko - kontynuował. - Może nawet dwoje albo troje. - Wiedział, że sprawia jej przykrość. Chociaż nienawidziła pracy guwernantki, bardzo lubiła dzieci. Celowo dotknął czułego punktu, wspominając o ewentualnym potomstwie.

- Tak - odparła. - Pewnie masz rację.

Tak bardzo się zasmuciła, że Robert nie miał sumienia ciągnąć tematu. Uśmiechnął się szeroko i powiedział:

- Podobno ostrygi działają jak afrodyzjaki.

- Ty zapewne w to wierzysz. - Wyraźnie ulżyło jej, że zmienił temat, chociaż poruszył nieco frywolne sprawy.

- Nie tylko ja. To dość powszechna wiedza.

- Tak zwana powszechna wiedza często nie ma potwierdzenia w faktach - skontrowała.

- Słusznie. Ja sam jako człowiek nauki niczego nie przyjmuję za prawdę, jeżeli nie zostało to poddane wnikliwym eksperymentom.

Zachichotała.

- Właściwie należałoby zrobić eksperyment. - Stukał widelcem w obrus.

Spojrzała podejrzliwym wzrokiem.

- Coś proponujesz?

- Tylko tyle, że ty zjesz dzisiaj ostrygi, a ja będę miał cię pod obserwacją. - Komicznie zmarszczył brwi. - Zobaczymy, czy mnie trochę bardziej polubisz.

Nie mogła się powstrzymać od śmiechu.

- Robert - powiedziała, uświadamiając sobie, że bawi się znakomicie, chociaż stara się zachować powagę. - Jeszcze nigdy nie słyszałam o bardziej zwariowanym planie.

- Możliwe. Ale nawet jeżeli się nie powiedzie, sama obserwacja sprawi mi przyjemność.

Znów się roześmiała.

- O ile oczywiście ty odmówisz sobie ostryg. Bo jeśli „trochę bardziej mnie polubisz”, to wywieziesz mnie do Francji.

- Niezły pomysł. - Udał, że poważnie go rozważa. - Mimo wszystko Ramsgate jest portem. Ciekawe, czy we Francji szybciej dostalibyśmy ślub.

- Nawet o tym nie myśl - ostrzegła.

- Mój ociec dostałby apopleksji, gdybym ożenił się w obrządku katolickim. My, Kemblowie, zawsze byliśmy oddanymi protestantami.

- O Boże. - Do oczu napłynęły jej łzy. - A wyobrażasz sobie mojego ojca? Dobrego pastora z Bellfield? Skonałby na miejscu. To pewne.

- Sam chciałby jeszcze raz udzielić nam ślubu - rzekł Robert. - A Eleanor pobrałaby słoń opłatę.

Victoria spochmurniała.

- Och Ellie! Tak za nią tęsknię.

- Ani razu nie widziałaś się z nią? - Odchylił się, aby oberżysta mógł postawić na stole talerz ostryg.

Victoria pokręciła głową.

- Nie. Od siedmiu... Przecież wiesz. Ale regularnie do siebie pisujemy. Nic się nie zmieniła. Wspominała, że rozmawiała z tobą.

- Tak, bardzo poważnie. Ale zauważyłem, że nadal ma taki sam niepokonany charakter.

- O, tak. A wiesz, co zrobiła z pieniędzmi, które od ciebie dostawała?

- Nie wiem. Co?

- Najpierw wpłaciła na oprocentowane konto. Potem doszła do wniosku, że może je ulokować zyskowniej, zaczęła czytać „Timesa” i inwestować na giełdzie.

Robert głośno się roześmiał i nałożył Victorii ostrygę.

- Twoja siostra nie przestaje mnie zadziwiać. Nie sądziłem, że kobietom wolno grywać na giełdzie.

Wzruszyła ramionami.

- Mówi, że prowadzi interesy w imieniu ojca. Twierdzi, zdaje się, że ojciec jest odludkiem i nie wychodzi z domu.

- Wasz ojciec by jej pokazał, gdyby o tym wiedział.

- Nikt lepiej od Ellie nie potrafi dochować tajemnicy.

Uśmiechnął się z nostalgią.

- Wiem. Chętnie poradziłbym się jej w niektórych sprawach finansowych.

Spojrzała z zainteresowaniem.

- Naprawdę?

- Co naprawdę?

- Naprawdę poprosiłbyś ją o radę?

- Czemu nie? Nie znam nikogo, kto miałby lepszą smykalkę do pieniędzy. Gdyby była mężczyzną, zostałaby dyrektorem Banku Angielskiego. - Podniósł ostrygę, którą przedtem musiał odłożyć. - Po ślubie... Nie, nie, nie musisz przypominać, że odrzuciłaś moje zaręczyny, bo o tym pamiętam. Chcę tylko powiedzieć, że powinnaś ją zaprosić, aby zamieszkała z nami.

- Naprawdę byś mi na to pozwolił?

- Victoria, nie jestem potworem. Nie wiem, czemu sobie ubzdurałaś, że po ślubie będę rządził domem żelazną ręką. Z całą przyjemnością podzielę się z tobą hrabiowskimi obowiązkami. A to dość ciężka praca.

Popatrzyła na niego zamyślona. Nigdy nie zdawała sobie sprawy, że uprzywilejowana pozycja Roberta wiąże się także z pełnieniem obowiązków. Chociaż do śmierci ojca nosi tylko tytuł honorowy, to zarządzanie włością przysparza mu sporo zajęcia.

Wskazał na talerz.

- Nie lubisz ostryg? - Uśmiechnął się zawadiacko. - A może boisz się sukcesu mojego eksperymentu naukowego?



Ocknęła się z zamyślenia.

- Nigdy nie jadłam ostryg. Nie wiem, jak się do nich zabrać.

- Nic do wiary, że masz takie braki w edukacji kulinarnej. Daj, przygotuję ci. - Wziął ostrygę ze środka talerza, wcisnął cytrynę, dodał chrzan i podał Victorii.

Podejrzliwie spojrzała na jadalnego mięczaka.

- I co teraz?

- Przyłóż do ust i wypij.

- Wypić? Bez gryzienia? Uśmiechnął się.

- Nie. Musisz trochę pogryźć. Ale najpierw toast ostrygowy. Rozejrzała się dokoła.

- Chyba nie zamawialiśmy tostów.

- Chodzi o toast na jakąś cześć. Na zdrowie. Na szczęście i tak dalej.

- Ostrygą? - Spojrzała podejrzliwie. - Na pewno nie ma takiego zwyczaju.

- No to go wprowadźmy. - Uniósł przed sobą ostrygę. - Ty też.

Uczyniła to samo.

- Głupio się czuję.

- Niepotrzebnie. Od czasu do czasu należy nam się odrobina rozrywki.

Uśmiechnęła się krzywo. Rozrywki. Pomysł rodem z książek.

- No dobrze. Za co pijemy?

- Oczywiście za nas.

- Robert...

- Ale nietakt. W takim razie za szczęście!

Stuknęli się muszlami.

- Za szczęście. - Przyjrzała się, jak Robert wychyla muszlę, a potem mruknęła po cichu: - Raz się żyje. - I wypiła.

Patrzył z rozbawioną miną.

- I jak ci smakuje?

- O Boże, to najdziwniejszy smak, jaki kiedykolwiek czułam.

- Trudno się z tego zorientować, czy ci smakowało, czy nie.

- Mnie też się trudno zorientować. - Wyglądała na zdziwioną. - Sama nie wiem, czy to najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek jadłam, czy absolutnie najgorsza.

Głośno się roześmiał.

- Może spróbujesz jeszcze jedną?

- A nie mają tu wołowiny?

Pokręcił głową.

- Więc jak nie chcę głodować przez resztę dnia, muszę zjeść ostrygę.

Przygotował jej następną.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem.

Rzuciła mu powątpiewające spojrzenie.

- Zrobię ci przysługę i tym razem zrezygnuję z ciętej riposty.

- Zdaje się, że to właśnie była riposta.

Zjadła drugą ostrygę, otarła usta serwetką i uśmiechnęła się szeroko.

- Była? Naprawdę?

Robert przez chwilę milczał, a potem stwierdził:

- To działa.

- Słucham?

- Mam na myśli ostrygi. Chyba już lubisz mnie trochę bardziej.

- Nie. - Z całych sił powstrzymywała się od uśmiechu. Złapał się za piersi.

- Złamałaś mi serce.

- Nie wygłupiaj się.

- A może... - Z zamyśloną miną podrapał się po głowie. - A może nie polubiłaś mnie bardziej, bo już lubisz mnie najmocniej, jak się da.

- Robert!

- Wiem, wiem. Żarty sobie stroję twoim kosztem. Ale ty też dobrze się bawisz.

Nic nie odpowiedziała.

- Gniewasz się jeszcze, że zboczyliśmy do Whitsable?

Na dłuższą chwilę zapanowała cisza, a potem Victoria pokręciła głową.

Robert nie zdawał sobie sprawy, że najpierw wstrzymał oddech, a potem z ulgą wypuścił powietrze. Sięgnął przez stół i wziął ją za rękę.

- Tak może być zawsze - wyszeptał. - Zawsze możesz być tak szczęśliwa.

Otworzyła usta, ale nie pozwolił jej nic powiedzieć.

- Widziałem w twoich oczach, że dzisiaj przeżyłaś więcej radości niż przez ostatnie siedem lat.

Serce protestowało, ale rozsądek nakazał, by cofnęła dłoń.

- Nie widzieliśmy się przez te siedem lat. Nie wiesz co i jak czułam.

- Wiem. - Zawahał się. - I to rani mi serce.

Aż do końca posiłku żadne z nich nie powiedziało ani słowa.

Droga do Ramsgate zajęła ponad trzy godziny. Ku zdziwieniu Roberta w karecie Victoria zasnęła. Wydawało mu się, że jest zbyt spięta, aby spać, ale z drugiej strony być

może była po prostu zmęczona. Nie przeszkadzało mu to - lubił patrzeć, jak śpi.

Poza tym miał okazję, aby po przyjeździe zanieść ją do domku na rękach. Była miękka, ciepła i dokładnie taka, jak pragnął. Ostrożnie ułożył ją na łóżku w drugiej sypialni i okrył kocem. Niewygodnie spać w ubraniu, ale pewnie nie byłaby zadowolona, gdyby ją rozebrał.

On oczywiście nie miałby nic przeciwko temu... Wzruszył ramionami i pokręcił głową. Teraz nieważne, czy miałby coś przeciwko, czy nie. Na samą myśl robiło mu się gorąco i niespodziewanie krawat zaczął go uciskać.

Westchnął i wyszedł z pokoju. Postanowił, że jak najszybciej wykąpie się w zimnym oceanie.

Po przebudzeniu Victoria poczuła zapach słonego powietrza. Ziewnęła, przetarła oczy, przez chwilę nie wiedziała, gdzie jest. Zaraz zdała sobie sprawę, że to musi być domek Roberta. Ciekawe, kiedy go kupił. Siedem lat temu na pewno go nie miał.

Usiadła na łóżku i rozejrzała się po sypialni. Była ładnie urządzona w różnych odcieniach niebieskiego i brzoskwiniowego. Trudno było ocenić, czy przeznaczono ją dla kobiety, czy dla mężczyzny, ale Victoria miała pewność, że pomieszczenie nie należy do Roberta. Odetchnęła z ulgą. Nie sądziła, aby był tak nietaktowny, żeby zanieść ją do swego pokoju, ale trochę się bała.

Wstała i postanowiła rozejrzeć się po domu. W środku panowała cisza. Robert albo spał, albo wyszedł. Tak czy inaczej zapewnił jej znakomite warunki do myszkowania. Boso wyszła na korytarz. Domek był mały, solidny, z kamiennymi ścianami i drewnianym dachem. Na piętrze znajdowały się tylko dwa pomieszczenia, ale w każdym był kominek. Victoria zajrzała do drugiego i uznała, że należy do Roberta. Męskie łóżko na czterech mocnych nogach stało naprzeciw okna ze wspaniałym widokiem na cieśninę Dover. Przy oknie stał teleskop. Robert zawsze lubił oglądać gwiazdy.

Wróciła na korytarz i zeszła po schodach na dół. Domek był bardzo przytulny. Nie miał jadalni, a salonik sprawiał przyjazne wrażenie i zachęcał do wejścia. Przeszła do części jadalnej obejrząc kuchnię i zauważyła na stole kartkę. Podnosząc ją, od razu rozpoznała pismo Roberta.

*V, poszedłem popływać, R*

Popływać? Czy on zwariował? Owszem, było lato, ale mało słońca i woda musiała być lodowata. Podeszła do okna sprawdzić, czy widać Roberta, ale morze było zbyt daleko, aby coś zobaczyć.

Wbiegła na górę i założyła buty. Ponieważ nie miała szala - właściwie nie miała żadnych zapasowych ubrań, nie licząc jedwabnej koszuli nocnej - narzuciła na ramiona cienki koc. Wiatr przybierał na sile, niebo ciemniało. Victoria przypuszczała, że sama sukienka nie uchroni jej przed nasilającym się chłodem.

Zeszła na dół, do wyjściowych drzwi. Po lewo ujrzała ścieżkę prowadzącą w dół do skalistej plaży. Ścieżka była bardzo wąska, więc Victoria ostrożnie stawiała kroki, jedną ręką przytrzymywała koc, a drugą balansowała by utrzymać równowagę. Po kilku minutach uważnego marszu dotarła na dół i poszukała Roberta na wodzie.

Gdzie on jest?

Złożyła dłonie w trąbkę i zawołała go po imieniu. Nie usłyszała żadnej odpowiedzi, nie licząc szumu morza. Nie liczyła, że do niej odkrzyknie, ale wystarczyłoby, gdyby pomachał i pokazał, gdzie jest.

Mocniej opatulila się kocem, a potem tak go podwinęła, żeby mogła na nim usiąść.

Wiatr przybierał na sile, słone powiewy smagały jej policzki. Włosy zaczęły się kleić od wilgoci, nogi jej marzły. Gdzie u licha ten Robert? Czy pływanie przy takiej pogodzie jest bezpieczne? Wstała, rozejrzała się i jeszcze raz go zawołała. W końcu, gdy już myślała, że gorzej być nie może, poczuła na policzku zimną kroplę deszczu.

Zauważyła, że trzęsą jej się ręce, ale zdała sobie sprawę, że to wcale nie z zimna. Ogarniało ją przerażenie. Jeżeli Robert utonął...

Nawet nie była w stanie dokończyć myśli. Była na niego zła za cały poprzedni tydzień i wcale nie miała pewności, czy chce za niego wyjść, ale nie dopuszczała myśli, że mógłby na zawsze zniknąć z jej życia.

Padalo coraz bardziej. Cały czas wołała Roberta, ale wiatr nie niósł jej słów w stronę morza. Czuła się bezradna. Nie było najmniejszego sensu wchodzić do wody Robertowi na ratunek, bo po pierwsze, Victoria słabo pływała, a po drugie, nie miała pojęcia, gdzie go szukać. Jeszcze raz wykrzyknęła jego imię. Nie liczyła, że Robert ją usłyszy, ale nic innego nie mogła zrobić.

A beczynność nie wchodziła w grę.

Niebo złowrogo ciemniało, a Victoria z przerażeniem słuchała coraz groźniejszych zawodzeń wiatru. Starala się równo oddychać, chociaż serce jej biło w obłędnym tempie. I nagle, gdy już myślała, że bezradność ją rozsadzi, ujrzała w oddali różową plamkę. Podbiegła bliżej wody.

- Robert!!! - krzyzała. Minęła minuta, zanim się upewniła, że poruszający się w wodzie obiekt to rzeczywiście człowiek.

- O, Robert! Dzięki Bogu! - odetchnęła i wbiegła po kolana do wody. Była zbyt daleko, aby mu pomóc, ale nie mogła się powstrzymać, żeby nie ruszyć w jego stronę.

Weszła dalej, poczuła wodę na udach. Wysokie fale zasłaniały horyzont, napawając ją strachem. Robert musiał zmagać się z tymi falami. Widziała go teraz z bliższej odległości. Nadal nie sprawiał wrażenia osłabionego, ale zaczynał płynąć chaotycznie. Był zmęczony.

Znów zawołała go po imieniu. Tym razem na moment znieruchomiał i spojrzał przed siebie. Poruszył ustami. Victoria była pewna, że wykrzyzał jej imię.

Z powrotem zanurzył głowę i zaczął płynąć. Być może tylko tak jej się wydawało, ale

miała wrażenie, że przyspieszył tempo. Uniosła ręce do góry i zrobiła jeszcze krok do przodu. Dzieliło ich teraz około dziesięciu metrów.

- Robert, już prawie jesteś! - krzyknęła. - Uda ci się!

W jednej chwili woda sięgała jej do pasa, a w następnej nagła, wielka fala przykryła jej głowę. Przewróciła się, przekoziółkowała i przez moment nie wiedziała, gdzie jest. Nagle w cudowny sposób złapała grunt pod nogami i wynurzyła głowę na powierzchnię. Zobaczyła, że stoi przodem do brzegu, więc odwróciła się i zobaczyła brnącego w jej stronę Roberta. Był nagi do pasa, bryczesy oklejały mu uda. Niemal upadł na nią.

- Mój Boże, Victoria - zipnął. - Gdy zobaczyłem, że znikasz pod wodą... - Nie dokończył zdania, pochylił się tylko i wciągał powietrze.

Victoria złapała go za rękę i pociągnęła za sobą.

- Musimy wyjść na brzeg.

- Nic... Nic ci się nie stało?

Patrzyła na niego przez rzęsisty deszcz.

- To ty mnie o to pytasz? Odpłynąłeś tak daleko od brzegu. Nawet cię nie widziałam. Byłam przerażona. Ja... - Przerwała. - Musimy o tym teraz rozmawiać?

Ruszyli powoli. Zmarznięta i osłabiona Victoria z trudem stawiała kroki, a wyczerpany Robert opierał się o nią.

- Victoria - sapnął.

- Nic nie mów. - Za wszelką cenę starała się dotrzeć do brzegu, a potem do ścieżki.

Ale on stanął i zmusił ją do zatrzymania. Ignorując deszcz i wiatr, wziął jej twarz w dłonie i spojrzał prosto w oczy.

- Nic ci się nie stało? - zapytał.

Victoria patrzyła, nie dowierzając, że zatrzymuje się w środku burzy i zadaje takie pytanie. Dotknęła jego dłoni i powiedziała:

- Robert, nic mi nie jest. Tylko zmarzłam. Musimy iść do domu.

Victoria nigdy później nie mogła zrozumieć, jakim cudem udało im się pokonać ścieżkę. Ziemia namokła od deszczu i co chwila jedno z nich ślizgało się i upadało, a drugie je podnosiło. W końcu Victoria z poranionymi dłońmi wspięła się na wzgórze i upadła na zielony trawnik przed domkiem. Kilka sekund później dołączył do niej Robert.

Deszcz zamienił się w ulewę, a wiatr wył, jakby się ktoś powiesił. Wspólnie dowlekli się do wejścia. On chwycił za klamkę, szarpnął drzwiami i otworzył przed nią przytulne wnętrze. Gdy już obydwójce znaleźli się w środku, przez chwilę stali sparaliżowani nagłą ulgą.

Pierwszy doszedł do siebie Robert. Przytulił Victorię i ścisnął ją mocno, chociaż nie

mógł opanować drżenia rąk.

- Myślałem, że cię stracę - szepnął, przykładając usta do jej skroni. - Myślałem, że cię stracę.

- Nie bądź niemądry. Ja...

- Myślałem, że cię stracę - powtarzał, nie osłabiając uścisku. - Najpierw myślałem, że już... Że nie uda mi się wrócić... Boże... Ja nie chciałem umierać... Zwłaszcza teraz, gdy byliśmy już tak blisko... - Położył dłonie na jej twarzy, ścisnął mocno i starał się zapamiętać każdy szczegół, każdy pieg i każdy kształt. - A gdy zniknęłaś pod wodą...

- Robert, tylko na chwilę.

- Nie wiedziałem, czy umiesz pływać. Nigdy mi nie mówiłaś.

- Umiem. Nie tak dobrze jak ty, ale umiem... Co za różnica? Nic mi się nie stało. - Zdjęła jego dłonie ze swej twarzy i chciała go pociągnąć w stronę schodów. - Trzeba kłaść się do łóżek. Musisz się rozgrzać, bo się przeziębisz.

- Ty też - bąknął, puszczając ją przodem.

- Bóg wie, od jak dawna nie topiłam się w cieśninie Dover. Najpierw zajmujemy się tobą, a potem obiecuję, że się przebiorę w suche ubranie.

Niemal zaciągnęła go na schody. Co chwila się potykał, jakby nie udawało mu się podnieść nogi wystarczająco wysoko, aby trafić na schodek. Na piętrze pchnęła go do przodu.

- To na pewno twój pokój - powiedziała, wpuszczając go do środka.

Skinął głową.

- Rozbierz się - zakomenderowała.

Miał jeszcze dość siły, aby się uśmiechnąć.

- Ach, gdybyś wiedziała, ile razy marzyłem, że tak do mnie powiesz... - Spojrzał na swoje trzęsące się z zimna ręce. Paznokcie miał sine.

- Nie wygłupiaj się - skarciła go surowo, przeszła przez pokój i zapaliła świecę. Był dopiero wczesny wieczór, ale burzowe chmury niemal całkowicie zasłoniły słońce. Odwróciła się i zobaczyła, że Robert stoi ubrany. - No, co jest? Mówiłam, żebyś się rozebrał. Bezradnie wzruszył ramionami.

- Nie mogę. Palce mi...

Spojrzała na ręce, którymi próbował sforsować zapięcie bryczesów. Palce tak mu się trzęsły, że nie mógł objąć guzików. Z troskliwością wyniesioną jeszcze z czasów, gdy pracowała jako guwernantka, odpięła mu bryczesy i ściągnęła, odwracając głowę.

- Zwykle robię lepsze wrażenie - zażartował. Po takiej uwadze nie mogła dalej odwracać wzroku.

- O - powiedziała zdumiona. - Tego się zupełnie nie spodziewałam.

- Ja też wolałbym wyglądać inaczej - burknął.

Zaczerwieniła się i odwróciła głowę.

- Do łóżka, ale już. - Nieudolnie starała się, aby jej głos zabrzmiał stanowczo.

On starał się tłumaczyć, gdy prowadziła go do łóżka:

- Gdy mężczyzna zmarznie, wtedy...

- Wystarczy. Dziękuję. Nie muszę już nic więcej wiedzieć.

Uśmiechnął się, ale szcęknięcie zębów zepsuło efekt.

- Zawstydziliś się.

- Coś takiego! - Podeszła do szafy. - Masz dodatkowe koce?

- Tak. Jeden w twoim pokoju.

- Zabrałam go ze sobą na plażę. Chyba zgubiłam w wodzie. - Zamknęła drzwi do szafy i odwróciła się. - Co ty robisz? - niemal krzyknęła. Leżał na łóżku, ale nie przykrył się kocem. Kurczył się i trzymał ręce na piersi.

Popatrzył na nią.

- Chyba jeszcze nigdy tak nie zmarzłem.

Przykryła go pod samą brodę.

- Musisz się przykryć, bo inaczej się nie rozgrzejesz. Skinął głową, nadal drżał.

- Ręce ci się trzęsą - powiedział.

- Mniej niż twoje.

- Idź się przebrać - polecił.

- Muszę się upewnić, że...

- Idź. - Mówił cicho, ale słyszała w jego głosie stanowczość.

Zawahała się, a po chwili skinęła głową.

- Nie ruszaj się.

- Jak mam się nie...

- Dosyć.

- Victoria - mówił zmęczonym głosem. - Nie mógłbym się ruszyć, nawet gdybym chciał. A akurat nie chcę.

- To dobrze.

- Idź już! Uniosła ręce.

- Idę, już idę.

Gdy odeszła, poprawił się pod kocem. Boże, jak zimno. Kiedy szedł popływać, nawet do głowy mu nie przyszło, że rozpęta się taka burza. Zacisnął zęby, ale i tak szcękęły. Nie



podobało mu się, że jest zależny od Victorii, zwłaszcza gdy ona sama zmarła. Najlepiej czuł się w roli jej rycerza - silnego, dzielnego, ofiarnego i odzianego w lśniącą zbroję. Teraz był mokry, zmarznięty i wyglądał żałośnie. Na domiar złego, gdy w końcu zobaczyła go nagiego, nie miał się czym pochwalić.

- Nie odkryłeś się? - zawołała z drugiego pokoju. - Jeśli wyjdiesz z łóżka...

- Leżę na miejscu!

Usłyszał burknięcie przypominające „to dobrze”. Uśmiechnął się. Uzależnienie od Victorii ma swoje dobre strony.

Mocniej opatulił się kocem w nadziei, że w końcu się rozgrzeje. Z zimna prawie nie czuł rąk, więc wsunął je pod pośladki, ale nic to nie pomogło, bo tam miał równie zimno. W końcu przykrył się na głowę i zaczął chuchać w dłoń. Poczł chwilową ulgę.

Najpierw rozległy się kroki, a potem usłyszał:

- Co ty tam robisz?

Wychylił głowę tylko tyle, żeby widzieć Victorię.

- Tak jest cieplej. - Nagle spojrzał na dziewczynę. - Co ty masz na sobie?

Zrobiła zdziwioną minę.

- Przypominam ci, że nie pozwoliłeś mi zabrać żadnych zapasowych ubrań.

Żałował, że zmarznięte usta nie chcą ułożyć się w uśmiech.

- Mam tylko tę koszulę od ciebie. A kocem okryłam się dla przyzwoitości. - Z surową miną poprawiła nieforemną pelerynę.

Wyglądał na wniebowziętego, gdy jęknął:

- Chyba jestem bardziej chory, niż przypuszczam.

- Jak to? - Podeszła do łóżka, usiadła na brzegu i odgarnęła mu włosy z czoła. - Masz gorączkę?

Pokręcił głową, nie wyglądał na chorego.

- Więc o co chodzi?

- O ciebie - wyksztusił.

Wytrzeszczyła oczy.

- O mnie?

Tak. O twoją koszulę nocną. Zmarszczyła brwi.

Nic innego nie mam.

- Wiem. Ziściło się moje najśmielsze marzenie. A ja jestem tak cholernie słaby, że nawet nie mogę cię pożądać.

Odchyliła się do tyłu i złożyła ręce na piersiach.

- Dobrze ci to zrobi.

- To tylko twoje przekonanie.

- Rozgrzałeś się trochę? - zapytała bez współczucia. Pokręcił głową.

Wstała.

- Idę na dół zrobić ci bulion. Mam nadzieję, że w kuchni jest coś do jedzenia.

Spojrzał na nią bezrozumnie.

- Coś do jedzenia - powtórzyła. - W kuchni.

- Chyba tak - odparł bez przekonania.

Popatrzyła z niedowierzaniem.

- Porywasz mnie i zapominasz zaopatrzyć dom w jedzenie?

Jego usta ułożyły się w niemrawy uśmieszek.

- Tak jakby.

- Robert, to kompletnie wbrew twoim zasadom. Nie wiem, co o tym myśleć. Nigdy w życiu nie zapomniałeś o najmniejszym drobiazgu.

- Wysłałem do administratora wiadomość, że przyjeżdżam i że ma przygotować domek. Na pewno kupił coś do jedzenia. - Zawahał się i przełknął ślinę. - W każdym razie mam taką nadzieję.

Victoria wstała z surową miną guwernantki.

- Umiesz gotować? - zapytał.

- Tylko ciekawe co.

- Coś znajdziesz.

Bez słowa wyszła z pokoju.

Robert leżał w łóżku, drżał i czuł, że dopada go choroba. Przy Victorii poprawiało mu się samopoczucie. Ubrana w jedwabną koszulę - a już zaczynał żałować tego zakupu - odwracała myśli od zimnych sopli, które kiedyś nazywał palcami u nóg.

Kilka minut później Victoria znów pojawiła się w drzwiach. W obydwu dłoniach trzymała parujące kubki. Robert pokraśniał na twarzy.

- Bulion? - zapytał. Nawet nie pamiętał, kiedy ostatnio miał taką ochotę na bulion.

Uśmiechnęła się słodziutko. Trochę za słodko.

- Masz szczęście, Robert.

Pociągnął nosem w nadziei na przyjemny zapach.

- Dziękuję ci, Victorio, za... - Przerwał, gdy wręczyła mu kubek. - Co to jest?

- Wrzątek.

- Ugotowałaś mi wodę? Czy tylko na tyle może liczyć chory człowiek?

- Nie jesteś chory, tylko zmarznięty. A wrzątek to rzeczywiście gotowana woda. Na pewno cię rozgrzeje.

Westchnął.

- Nie ma na dole nic do jedzenia?

- Nic a nic.

Napił się wody i rozkoszował ciepłem rozchodzącym po wnętrzu. Nagle, nie odrywając ust od kupa, podniósł wzrok.

- A herbata?

- Ani krztyny.

Znow napił się wody.

- Nie sądziłem, że doczekam dnia, w którym w angielskim domu zabraknie herbaty.

Uśmiechnęła się.

- A teraz ci ciepłej? Skinął głową i oddał kubek.

- Mam nadzieję, że jest jeszcze trochę.

Odebrała kubek, wstała i podeszła do okna. Łało jak z cebra.

- Nie sądzę, aby zabrakło nam wody. Trochę gotuje się na piecu, a na zewnątrz stoi wiadro.

Spojrzał na nią karcąco.

- Chyba nie masz zamiaru wychodzić z domu w taką pogodę? Zmokniesz.

Uśmiechnęła się i machnęła ręką.

- O mnie się nie martw. Stanę pod daszkiem i tylko wyciągnę rękę. - Ruszyła do wyjścia.

- Zaczekaj.

Odwróciła się.

- A tobie nie zimno? - zapytał. - Cały czas troszczysz się tylko o mnie. Nie chcę, żebyś się przeziębiła.

- Woda mi pomogła.

- Ale ręce jeszcze ci się trzęsą. - Zabrzmiało to niemal jak oskarżenie.

- Nie, nic mi nie jest. Naprawdę. Jeszcze chwila i całkiem się rozgrzeję.

Zrobił groźną minę, ale zanim zdążył coś powiedzieć, wyszła z pokoju. Wróciła po kilku minutach. Koc zsunął jej się z ramion i Robert starał się ignorować kształty opięte niebieską koszulą. Nie umiał sobie wyobrazić nic piękniejszego. W myślach snuł najśmielsze fantazje erotyczne, ale ciało odmawiało reakcji.

Siarczyście przeklął przemarznięcie.

- Mówiłeś coś? - zapytała, podając mu swój kubek z wodą.

- Nic, co by nadawało się dla twoich uszu.

Uniosła ze zdziwieniem brwi, ale nie wypytywała dalej. Przez kilka minut panowało milczenie. Victoria usiadła w nogach łóżka Roberta.

Nagle wstała tak gwałtownie, że Robert prawie upuścił kubek.

- A gdzie MacDougal? - zapytała, poprawiając koc na ramionach.

- Odesłałem go do Londynu.

Wyraźnie jej ulżyło.

- Uff. Nie chciałabym, aby ktoś mnie zobaczył w takim stanie.

- No tak. Ale gdyby tu był, moglibyśmy posłać go po jedzenie.

W reakcji na te słowa zaburczało jej w brzuchu. Spojrzał na nią z ukosa.

- Jesteś głodna?

- O, troszeczkę - skłamała.

- Jeszcze się na mnie gniewasz?

- O, troszeczkę - powiedziała tym samym tonem. Roześmiał się.

- Nie miałem zamiaru cię głodzić.

- Tak, za najważniejszy cel obrałeś porwanie.

- Jak wiesz, moim najważniejszym celem było skłonienie cię do małżeństwa.

- Hm.

- Co oznacza to „hm”? Chyba nie wątpisz w moje intencje?

Westchnęła.

- Nie, nie wątpię. Za dużo w tobie entuzjazmu.

Dłuższą chwilę panowała cisza. Obserwował, jak odstawia kubek na nocnym stoliku i zaciera rękę.

- Jeszcze ci zimno, prawda?

Skinęła głową i przyciągnęła nogi do tułowia, żeby tracić jak najmniej ciepła.

- Wejdz do łóżka - zaproponował. Powoli odwróciła głowę w jego stronę.

- To oczywiście dowcip.

- Jeżeli połączymy twoje ciepło z moim, to obojgu nam zrobi się cieplej.

Ku jego zdumieniu roześmiała się.

- Nie podejrzewałam cię o tyle inwencji.

- Ja nie zmyślam. Wiesz, że na uniwersytecie studiowałem nauki przyrodnicze. Do moich ulubionych przedmiotów należała dynamika ciepła.

- Robert, odmawiam dalszych kompromisów.

- Och, Torie, daj spokój. Dalej już nie możesz się posunąć. - Po urażonej minie poznał, że dotknął ją tymi słowami. - Chciałem tylko powiedzieć - kontynuował - że jeśli ktoś się dowie, że spędziłaś ze mną noc, to będzie podejrzewał najgorsze. Nasze postępowanie nie ma teraz znaczenia. Ono nikogo nie będzie obchodzić.

- Mnie będzie.

- Victoria, ja cię nie uwodzę. Nawet gdybym chciał, to nie mogę. Cały jestem zimny jak lód. Uwierz mi, że... Że nie jestem w swej szczytowej formie.

- Jeszcze ci zimno? - zapytała.

Ledwie powstrzymał się od uśmiechu. Ależ oczywiście! Ona nie będzie chciała wejść do łóżka, żeby rozgrzać siebie. Ale wielkodusznie postąpi tak dla jego dobra.

- Jak w lodówce - powiedział i dla lepszego efektu kilka razy szczyknął zębami.

- A jak wejdziesz do łóżka, zrobi ci się cieplej? - Spojrzała niepewnie.

Skinął głową ze szczerą miną, ponieważ właściwie wcale nie kłamał. Ciepło drugiego ciała w łóżku naprawdę go rozgrzeje.

- I mnie też będzie cieplej?

Spojrzał przenikliwie.

- Okłamałaś mnie, prawda? Nadal jest ci zimno. Biegasz po domu, żeby mną się zaopiekować, a o sobie wcale nie pomyślałaś. - Przesunął się kawałek na łóżku i wyciągnął do niej rękę. Spod koca wyłonił się jego umięśniony tors.

- Robert!

Złapał ją za bosą stopę.

- O mój Boże! - zawołał. - Przecież ty jesteś zimniejsza ode mnie.

- To tylko stopa. Od podłogi...

- Ale już!

Wsunęła się pod koc. Robert objął ją ręką i pociągnął na swoją stronę łóżka.

- To na pewno nie jest konieczne! - zaprotestowała.

- Owszem, jest.

Wstrzymała oddech, gdy ją do siebie przytulał. Przyłgnęła plecami do jego ciała, dzieliła ich tylko jedwabna tkanina. Nie miała pojęcia, że wyląduje z nim w łóżku. Tak nią pokierował, że nawet nie wiedziała, jak to się stało.

- I tak mi zimno - oznajmiła złośliwie.

Gdy odpowiedział, poczuła w uchu gorąco jego słów.

- Nie szkodzi. Cała noc przed nami. Ugodziła go łokciem między żebra. Mocno.

- Au! - Cofnął się i rozmasował sobie mostek. - Za co?

- „Cała noc przed nami” - papugowała. - Doprawdy jesteś niewdzięczny, Robert. Ja ci wyświadczam przysługę i...

- Wiem.

- ... i kładę się koło ciebie i... - Uniosła głowę. - Co mówiłeś?

- Powiedziałem: „wiem”. Wyświadczasz mi wspianą przysługę. Już mi cieplej.

Te słowa trochę ją uspokoiły, nie wiedziała, co powiedzieć, więc tylko chrząknęła. Zdawała sobie sprawę, że to nie najblaskotliwsza odpowiedź.

- Ale stopy nadal masz zimne jak lody. Skrzywiła się.

- Promienią zimnem, co?

- Zimno nie promieniuje - rzekł, przybierając nagle akademicki ton. - Zimne przedmioty odbierają ciepło od otaczającego je powietrza, co sprawia wrażenie, jakby promieniowały zimnem. Ale w rzeczywistości promieniuje tylko ciepło.

- Aha - odpowiedziała głównie po to, aby wiedział, że słuchała.

- To dość powszechna pomyłka.

Wydawało się, że na tym wygaśnie ich rozmowa, a Victoria pozostanie w pozycji wyjściowej, czyli obok kompletnie nagusieńkiego mężczyzny. Sama ubrana w skandalicznie krótką koszulę nocną. Szczyt wszystkiego. Spróbowała odsunąć się chociaż o kilka centymetrów, ale rękę, choć zmarzniętą, miał bardzo silną. Najwyraźniej nie zamierzał wypuścić jej na drugą stronę łóżka.

- Idę spać - powiedziała stanowczo i zamknęła oczy.

- Naprawdę? - zapytał, a z tonu jego głosu wynikało, że jej to się nie uda.

- Naprawdę - odparła z nadal zamkniętymi oczami. Nie liczyła, że zaśnie w najbliższym czasie, ale zamierzała udawać. - Dobranoc.

Dwadzieścia minut później Robert popatrzył na nią zaskoczony. Miała zamknięte oczy, a jej pierś unosiła się i opadała w spokojnym rytmie.

- Ona naprawdę zasnęła - mruknął pod nosem. Nie chciał jej wypuszczać z uścisku, ale zdrętwiała mu ręka, więc zabrał ją, westchnął, odwrócił się i zamknął oczy.

Leżąca Victoria otworzyła oczy i pozwoliła sobie na przebiegły uśmiezek.

Gdy obudziła się nazajutrz rano, na jej ramieniu spoczywała naga ręka, a na biodrze równie naga noga. Na myśl, że obydwie kończyny należą do nagiego mężczyzny, serce mocniej jej zabiło.

Ostrożnie wyswobodziła się i wstała z łóżka. Gołe ciało wystające spod nocnej koszuli okryła kocem. Właśnie zbliżała się do drzwi, gdy usłyszała chrapnięcie Roberta.

Chwyciła klamkę w nadziei, że zdąży się wyrwać, zanim on otworzy oczy, ale natychmiast usłyszała zaspane:

- Dzień dobry.

Nie miała wyjścia, musiała się odwrócić.

- Dzień dobry, Robercie.

- Mam nadzieję, że dobrze spałeś.

- Jak suseł - skłamała. - A teraz przepraszam, bo idę się przebrać.

Przeciągnął się, ziewnął i powiedział:

- Przypuszczam, że z twojego wczorajszego stroju zostały strzępy.

Przypomniała sobie, jakie przejścia miało wczoraj jej ubranie. Pod wpływem deszczu, wiatru, skał i słonej wody stało się niezdatne do noszenia. Mimo to uznała, że jest lepsze i stosowniejsze niż to, w czym teraz chodzi. Powiedziała o tym Robertowi.

- Szkoda - uznał. - Ta niebieska koszula na tobie przyprawia mnie o zawrót głowy.

Pociągnęła nosem i szczelniej okryła się kocem.

- Wiem, że jest nieskromna. Na pewno właśnie dlatego ją kupiłeś.

- Właściwie - powiedział zamyślony - wyglądasz w niej znacznie rozkoszniej, niż przypuszczałem.

Uznała słowo „rozkoszniej” za eufemizm innego określenia i szybko wyszła z pokoju. Nie chciała być przedmiotem dwuznacznych uwag Roberta. A co gorsza, bała się, że znów zaczyna ją uwodzić. Przerazała ją myśl, jak by się zachowała, gdyby ponownie spróbował ją pocałować.

Zapewne odwzajemniłaby się pocałunkiem. Co za koszmar!

Weszła do swojego pokoju. Na łóżku leżała jej zrujnowana sukienka. Zesztywniała od słonej wody i Victoria musiała ją długo naciągać i rozprostowywać, zanim nadała się do założenia. Koszulę nocną zostawiła jako halkę. Jej własna zrobiła się szorstka, a w ramiączko zaplątał się wodorost.

Gdy w końcu stanęła przed lustrem, mimowolnie jęknęła. Wyglądała okropnie. Szopa z włosów. Aby je jako tako ułożyć, musiałaby zmyć słoną wodę, a podczas pobieżnych oględzin domku nie znalazła ani kawałka mydła. Sukienka niemiłosiernie pognieciona, w czterech miejscach rozerwana - nawet w pięciu, jak się okazało po dokładniejszych oględzinach rąbka. Mimo to Victoria wyglądała lepiej niż przedtem.

A jeśli Robertowi się nie spodoba, to trudno. W końcu to on ją porywał, a nie ona jego.

Robert zawsze szczerze mówił, co myśli, toteż teraz nie zamierzał owijać w bawełnę faktu, że jej wygląd znacznie odbiega od normalnego.

- Wyglądasz, jakby psy cię napadły - rzekł, gdy spotkali się na korytarzu. On również się ubrał, ale w przeciwieństwie do niej wyglądał nieskazitelnie. Domyślała się, że miał zapasowe ubrania tutaj w domku, więc nie musiał specjalnie pakować się na takie podróże jak teraz.

Przewróciła oczami i powiedziała:

- Twoje komplementy nie zdadzą się na nic.

Z wesołą miną poszedł za nią do kuchni.

- Naprawdę? Więc jak trafić do twego serca? Zastosuję się do każdej rady.

Nie zastanawiała się długo.

- Przez żołądek.

- Tak? Naprawdę to wystarczy, aby ci zaimponować?

Trudno było zachować powagę przy jego rubaszości, ale robiła, co mogła.

- Na dobry początek - powiedziała, a potem jakby na potwierdzenie słów głośno zaburczało jej w brzuchu.

Zrobił rozgrymaszoną minę.

- Też tak myślę. - Poklepał się po żołądku. Brzuch sprawiał wrażenie wklęsłego. Wczoraj wieczorem było za zimno na uwodzenie Victorii, dzisiaj rano jest na to zbyt głodny.

Spojrzał na jej minę. Sprawiała wrażenie, że oczekuje na odpowiedź. Jakby coś powiedziała, a on nie dosłyszał.

- Eee... Mówiłaś coś?

Skrzywiła się i powtórzyła:

- Ja w takim stanie nie mogę wyjść z domu.

Przed oczami nadal majaczył mu obraz, na którym razem z Victorią w końcu się kochają, ale w połowie aktu muszą przerwać osłabieni głodem.

- Robert. - Zaczynała się niecierpliwić. - Musimy kupić coś do jedzenia. A ja



potrzebuję nowego ubrania.

- Dobrze - powiedział, mruknął i uśmiechnął się. - Ja pójdę. Ale muszę zażądać zapłaty.

- Oszalałeś? - zawołała głosem zbliżonym do krzyku. - Najpierw mnie porywasz, ignorujesz moje słowa, potem prawie ratuję ci życie, a ty chcesz, żebym ci płaciła za jedzenie?

Uśmiechnął się jedną stroną ust.

- Tylko jeden buziak. - Zanim zdążyła zareagować, pochylił się i głośno ją pocałował. Zaplanował, że będzie to tylko taki niewinny, wesoły buziak, ale gdy ich usta się zetknęły, dopadło go pragnienie, które zagłuszyło głód dręczący żołądek od samego rana. Viktoria idealnie mieściła się w jego objęciach - drobna, miękka, ciepła i bardziej kobieca, niż sobie wymarzył.

Poczuł cudowne gorąco, gdy zetknęli się językami. Ona poddała mu się... Nie, to nie było poddanie, tylko odwzajemnienie uczucia.

Poczuł ten pocałunek w najodleglejszym zakątku duszy.

- Znów mnie pokochasz - szepnął. A potem położył brodę na jej głowie i przytulił ją mocniej. Czasami taki gest wystarcza. Czasami wystarcza, gdy ma się w ramionach wszystko, czego się potrzebuje. Jego ciało nie płonęło pożądaniem, spodni nie rozsadzała erekcja. Po prostu chciał ją przytulać.

Stali w ten sposób całą minutę. Gdy potem odsunęli się od siebie, zauważył na jej twarzy zmieszanie. Zanim odezwała się słowami, których nie chciał usłyszeć, uśmiechnął się i powiedział:

- Twoje włosy pachną... wodorostami.

Tym sobie zasłużył na walnięcie w głowę pustym woreczkiem po cukrze, który właśnie trzymała w dłoni. Roześmiał się tylko i podziękował Bogu, że nie miała pod ręką akurat wałka.

Jakąś godzinę po wyjściu Roberta Victoria zdała sobie sprawę, że obydwójce zapomnieli o jednej ważnej rzeczy. Karetę MacDougal zabrał do Londynu, a z tego, co wiedziała, nie było nawet konia, na którym mógłby pojechać do miasteczka. Poprzedniego dnia nie obejrzała posiadłości zbyt dokładnie, ale na pewno nie widziała żadnej stajni.

Nie przejmowała się specjalnie tym, że Robert musiał pójść do miasteczka pieszo. Zrobiła się piękna pogoda, po wczorajszej burzy nie zostało ani śladu, a trochę wysiłku fizycznego na pewno dobrze mu zrobi. Zastanawiała się jednak, w jaki sposób przyniesie zakupy do domu. Obydwójce byli porządnie głodni, więc potrzebowali dużo jedzenia. A poza

tym należało kupić jedną albo dwie sukienki dla Victorii.

Potrząsnęła głową i postanowiła się nie martwić. Robert jest człowiekiem pomysłowym i lubi układać różne plany. Była pewna, że da sobie radę z takim drobnym problemem.

Wąłęsała się po domu, oglądając dokładnie to, co poprzedniego dnia przejrzała tylko pobieżnie. Domek był uroczy i nie potrafiła sobie wyobrazić, że Robert mógł mieszkać gdzie indziej, choć przypuszczała, że przywykł do przestronniej szych pomieszczeń. Westchnęła rozżalona. Ona niczego więcej nie pragnie prócz takiego domku.

Ładny, przytulny, z pięknym widokiem na morze. Czego jeszcze chcieć?

Poczuła, że zaczyna się roztkliwiać, więc skarciła się w myśli i wróciła do inspekcji domku. Wiedziała, że zaglądając do szuflad i szafek, narusza prywatność Roberta, ale nie czuła wyrzutów sumienia. Mimo wszystko on ją porwał. Jako ofiara miała pewne prawa.

A w dużej mierze, większej niż chciała przyznać, szukała kawałków swojego życia. Czy Robert zachował jakieś pamiątki po ich narzeczeństwie i miłości sprzed lat? Nie było większego sensu zakładać, że nawet jeśli coś zachował, to przewiózł akurat do tego domku, ale nie mogła się powstrzymać od szukania.

Znów się w nim zakochała. Znów ją zdobył tak, jak zapowiadał. Zastanawiała się, czy to da się jeszcze odwrócić. Bo z całą pewnością nie chciała go kochać.

Wróciła do jego pokoju i otworzyła drzwi do łazienki. W kącie stała wanna. Czyżby wzrok ją mylił? Przyjrzała się uważniej. Na dnie wanny leżało nieco rozpuszczone mydło, którego ktoś - zapewne Robert - zapomniał wyjąć. Chyba nigdy w życiu nie była tak wdzięczna za nieporządek. Włosy miała sztywne jak druty. Możnaść splukania soli wydała jej się rajem na Ziemi.

Roberta nie będzie jeszcze kilka godzin. Ma więc dużo czasu na gorącą kąpiel. Stękając z wysiłku, wyciągnęła wannę z łazienki do pokoju, w którym przez okna wpadały promienie słońca. Jednak w pewnej chwili poczuła skrępowanie na myśl, że miałyby się kąpać w jego prywatnym pomieszczeniu, więc przeciągnęła wannę do siebie. Spróbowała oderwać mydło od metalu, ale sprawiało wrażenie stopionego z dnem. Postanowiła na razie dać sobie spokój. Na pewno je rozmiękczy gorąca woda.

Mniej więcej pół godziny później, po kilku rundach z dołu do góry, wanna była pełna parującej wody. Na sam widok Victoria drżała z rozkoszy. Rozebrała się w pośpiechu i weszła do wanny. Gorąca woda drażniła skórę, ale była tak czysta i przyjemna, że Victoria poczuła się jak w siódmym niebie.

Postępując z rozkoszy, stopniowo zanurzała się w kąpeli. Obserwowała, jak

rozpuszczają się białe plamki soli na skórze. Zanurzyła się pod wodę i zmoczyła włosy. Po dłuższej chwili radosnego moczenia lewą nogą próbowała oderwać mydło od dna.

Ani drgnęło.

- No dalej - mruknęła. - Minęło już dwadzieścia minut.

Wiedziała, że rozmawia z kostką mydła, ale uznała, że po wszystkim, co przeszła przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny, ma prawo do odrobiny dziwactwa. Zmieniła nogi i napała prawą stopą.

- Rusz się! - rozkazała, zapierając się piętą o kostkę mydła. Ale ono było śliskie i stopa spadała.

- A niech to diabli! - zaklęła i usiadła. Musiała jednak użyć rąk. Wbiła w oporne mydło paznokcie i pociągnęła. Po chwili wpadła na lepszy pomysł i przekreśliła śliską kostkę. W końcu już jej się wydawało, że mydło zaczyna się odrywać. Po dalszych kilku sekundach ciągnięcia i kręcenia nareszcie kawałek urwała.

- No! - zawołała z triumfem w głosie, chociaż przeciwnikiem była głupia kostka mydła. - Zwycięstwo! Zwycięstwo! Zwycięstwo!

- Victoria! Zamarła.

- Victoria, z kim ty rozmawiasz?

To Robert. Jak mu się udało w tak krótkim czasie pokonać drogę do miasteczka i z powrotem? A przecież jeszcze musiał zrobić zakupy. Zajęło mu to zaledwie godzinę. A może minęły już dwie?

- Ze sobą! - odrzyknęła. Boże on już wrócił, a ona nie zdążyła nawet umyć włosów. Do licha. Musi to zrobić. Na schodach rozległy się kroki.

- Nie ciekawi cię, co kupiłem?

Nie miała do tego głowy. Musiała się umyć. Wyrывая się z myślowej pustki, krzyknęła po prostu:

- Nie wchodź tutaj! Kroki umilkły.

- Co się stało?

- Nic... Ja... Ja tylko...

Minęła dłuższa chwila, a w końcu doleciały z dołu słowa Roberta:

- Planujesz jakoś zakończyć to zdanie?

- Kąpię się. Znów długa cisza i:

- Rozumiem.

- Wolałabym, żebyś nie... - Zakrztusiła się.

- Żebyś nie co?

- No, żebyś mnie nie widział.

Jęknął tak głośno, że wyraźnie usłyszała przez drzwi. Siedząc w wannie, nie mogła o nim nie myśleć i...

- Podać ci ręcznik?

Przestraszyła się. Najbardziej tego, że on może odkryć jej myśli, które wędrowały w niebezpiecznym kierunku.

- Nie - odparła. - Mam.

- Jaka szkoda.

- Zrobiłam sobie z prześcieradła - odezwała się głównie dlatego, że czuła się w obowiązku coś powiedzieć.

- Chcesz mydło?

- Było w wannie.

- A może coś zjesz? Przyniosłem paszteciki. Kiszki zagrały marsza, ale odparła:

- Zjem później, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Chcesz czegokolwiek? - w jego głosie słychać było niemal rozpacz.

- Nie, raczej nie. Chociaż...

- Chociaż co? - zapytał natychmiast. - Czego ci potrzeba? Przyniosę ci z radością. Z rozkoszą. Zrobię wszystko, żeby ci dogodzić.

- Kupiłeś mi może sukienkę? Muszę się w coś przebrać. Mogłabym założyć tę starą, ale cała przesiąkła solą.

- Jedną chwileczkę. Nie ruszaj się. Nigdzie nie odchodź.

- Gdzie ja miałabym pójść w takim stanie? - powiedziała do siebie, patrząc na nagie ciało.

Chwilę później usłyszała Roberta wbiegającego na korytarz.

- Już jestem! - powiedział. - Oto sukienka! Mam nadzieję, że będzie pasować.

- Każda lepsza od tej starej. Ach... - Otworzyła usta na widok poruszającej się klamki. - Co ty wyprawiasz? - krzyknęła.

Na szczęście klamka zamarła w bezruchu. Najwyraźniej nawet Robert znał granice przyzwoitości.

- Przyniosłem ci sukienkę - oznajmił. Ale w jego głosie wyczuła nutkę pytającą.

- Uchyl trochę drzwi i wrzuć sukienkę do środka - poinstruowała.

Nastąpiła chwila milczenia, a potem:

- Nie mogę wejść? - Nie!

- Ech! - stęknął jak rozczarowany uczeń.

- Chyba nie myślałeś, że pozwolę ci wejść, gdy się kąpię.
- Miałem nadzieję... - Jego słowa przeszły w ciężkie westchnienie.
- Wrzucić sukienkę do środka. Spełnił jej polecenie.
- A teraz zamknij drzwi.
- Może chcesz, żebym przyniósł też paszteciki?

Jednym spojrzeniem oceniła dystans pomiędzy drzwiami a wanną. Żeby odebrać paszteciki, musiałaby wyjść z wanny. Nie podobał jej się ten pomysł, ale na myśl o pasztecikach żołądek odzywał się głośnym burczeniem.

- Możesz je położyć na podłodze?
- Nie ubrudzą się?
- Nic nie szkodzi. - Taka była głodna, że naprawdę jej to nie przeszkadzało.
- No dobrze. - Kilka centymetrów nad podłogą pojawiła się jego ręka. - W którą stronę?
- Słucham?
- W którą stronę popchnąć, żebyś je dosięgła?

Zdaniem Victorii proste zadanie zamieniło się w skomplikowane przedsięwzięcie i zastanawiała się, czy w drzwiach nie ma czasem jakiejś dziurki. Może Robert ją zagaduje i cały czas podgląda? Może widzi jej nagość? Może...

- Victoria?

Przypomniała sobie, że on do wszystkiego, co robi, podchodzi z naukową precyzją. I teraz pyta, w którą stronę przesunąć paszteciki.

- Jestem na godzinie pierwszej - powiedziała, wyjęła rękę z wanny i otrząsnęła z wody.

Ręka Roberta powędrowała w prawą stronę, a potem popchnęła tacę z pasztecikami po drewnianej podłodze. Taca zatrzymała się tuż przy metalowej ścianie wanny.

- Strzał w dziesiątkę! - zawołała. - A teraz możesz zamknąć drzwi.

Zero reakcji.

- Mówiłam, że możesz zamknąć drzwi!

Rozległo się kolejne głębokie westchnięcie, a po nim szczęk opadającej klamki.

- Poczekam w kuchni - poinformował słabym głosem.

Nie mogła odpowiedzieć z pełnymi ustami.

Robert ciężko usiadł na stołku i ponuro spuścił głowę nad kuchennym stołem. Najpierw był przemarznięty. Potem był głodny. A teraz... szczerze mówiąc, teraz znajduje się w znakomitej formie, Victoria leży naga w wannie, a on...

Stęknął. Źle się czuł w takiej sytuacji.

Zajął się rozpakowywaniem zakupionych produktów. Do Ramsgate rzadko przywoził ze sobą wielu służących i choć nie był przyzwyczajony do prac domowych, tutaj bardziej czuł się jak w domu niż w Castleford lub Londynie. Poza tym niewiele miał do wypakowania. Większość towarów zamówił z dostawą do domu, a ze sobą zabrał tylko produkty gotowe do natychmiastowego zjedzenia.

Rozpakowywanie zakończył wrzuceniem dwóch bułek do pojemnika na pieczywo, z powrotem usiadł na stołku i starał się nie wyobrażać sobie, co Victoria robi na górze.

Bezskutecznie. Poczł przyływ takiego gorąca, że musiał otworzyć okno.

- Nie musisz myśleć cały czas o niej - mówił po cichu. - Nie ma takiej potrzeby. Po świecie chodzą miliony kobiet, a ona jest tylko jedną z wielu. Poza tym są jeszcze planety:

Merkury, Wenus, Ziemia, Mars...

Szybko skończyły mu się planety i żeby odciągnąć czymś myśli od Victorii, zaczął recytować systematykę Linneusza.

- Królestwo, gromada, potem...

Przerwał. Czy to jej kroki? Nie, musiało mu się wydawać. Westchnął i kontynuował.

- ... rząd, rodzaj, a dalej... - Cholera, co było dalej?

Aby ożywić pamięć, zaczął walić pięścią w stół.

- Cholera! Cholera! Cholera! - kłął przy każdym uderzeniu. Zdawał sobie sprawę, że trochę za bardzo denerwuje się z tak błahego powodu, ale naprawdę gryzło go coś o wiele bardziej skomplikowanego. Tam na górze w wannie siedzi Victoria, a on... - Typ! - zawołał. - Typ, a potem gatunek!

- Co mówiłeś?

Odwrócił się za siebie. W drzwiach stała Victoria z jeszcze mokrymi włosami. Sukienka, którą kupił, była na nią wyraźnie za długa i ciągnęła się po podłodze, ale poza tym pasowała doskonale. Odchrząknął.

- Wyglądasz... - Musiał jeszcze raz odchrząknąć. - Wyglądasz zabójczo.

- Bardzo dziękuję - odpowiedziała. - O czym tu mówiłeś?

- O niczym.

- Przysięgłabym, że słyszałam, jak mówisz o jakimś typie, co miał pakunek.

Patrzył na nią przekonany, że część rozumu uciekła mu z głowy w podbrzusze, bo nie miał zielonego pojęcia, co ona powiedziała.

- Co takiego?

- Nie wiem. To ty mówiłeś.

- A skąd. Ja mówiłem „typ i gatunek”.

- A. - Zawahała się. - Teraz wszystko jasne. Tylko chyba nadal nic nie rozumiem.

- To są... - Spojrzał na nią. Czekwała na odpowiedź z nieco rozbawioną miną. - To są terminy naukowe.

- Rozumiem - powiedziała niespiesznie. - Ale czy istnieją jakieś powody, dla których wykrzykiwałeś je na całe gardło?

- Tak - odparł, koncentrując wzrok na jej ustach. - Jak najbardziej.

- Naprawdę?

Zrobił krok w jej stronę. Potem następny.

- Tak. Bo widzisz, chciałem oderwać myśli od pewnej rzeczy.

Nerwowo oblizwała wargi i zaczerwieniła się.

- Ach, rozumiem.

Podszedł bliżej.

- Ale nie udało się. Podszedł jeszcze bliżej.

- Nic a nic? - zapytała cicho.

Pokręcił głową. Byli już tak blisko siebie, że niemal stykali się nosami.

- Nadal cię pragnę. - Przeprasząco wzruszył ramionami. - Nic na to nie poradzę.

Stała nieruchomo i tylko patrzyła. On uznał, że to lepsze niż jednoznaczne odrzucenie.

Położył jej dłoń na biodrze.

- Szukałem w drzwiach jakiejś dziurki. Nie wyglądała na zaskoczoną, gdy szepnęła:

- Znalazłeś? Pokręcił głową.

- Nie. Ale mam bujną wyobraźnię. Oczywiście... - Pochylił się i musnął jej wargi delikatnym pocałunkiem. - ... nie umywa się do rzeczywistości. Ale wystarczyło, żeby doprowadzić mnie do obecnego stanu skrajnego i przedłużającego się dyskomfortu.

- Dyskomfortu? - powtórzyła. Popatrzyła bez zrozumienia.

- Uhm. - Pocałował ją raz jeszcze. Również delikatnie, bez narzucania się.

I tym razem nie cofnęła się przed nim. Jego nadzieje rosły równie mocno jak podniecenie. Trzymał jednak swoje żądze na wodzy. Czuł, że aby uwieść Viktorię, musi posłużyć się zarówno czynami, jak i słowami. Pogładził ją po policzku i szepnął:

- Mogę cię pocałować? Okazała zdziwienie.

- Już pocałowałeś. Niespiesznie się uśmiechnął.

- Teoretycznie chyba można... - Jeszcze raz musnął ustami jej wargi. - ... to uznać za pocałunek. Ale zbrodnią przeciwko mowie jest nazywanie również pocałunkiem tego, co mam na myśli.

- Co to znaczy?

Poruszyła go jej ciekawość.

- No... przecież wiesz - rzekł z uśmiechem. - Ale odświeżę ci pamięć.

Połączyli się ustami. Całował ją gorąco, pieszcząc jej wargi.

- Mniej więcej chodziło mi o coś takiego.

Wyczuwał, że poddała się jego namiętności. Serce Victorii biło mocniej, z każdą chwilą oddychała coraz szybciej. Pod tkaniną sukienki czuł rozpaloną skórę ukochanej. Gdy całował jej szyję, odchyliła głowę do tyłu.

Wiedział, że jej opór słabnie.

Przesunął dłoń po plecach dziewczyny i mocno przycisnął ją do siebie. Nie mógł już dłużej ukrywać swojego fizycznego podniecenia, a ponieważ nie odsunęła się, przyjął to jako znak milczącej zgody. - Chodźmy na górę - szepnął jej do ucha. - Chodźmy, będziemy się kochać.

Nie struchlała w jego ramionach, ale w nienaturalny sposób pozostawała bez ruchu.

- Victorio - szepnął cicho.

- Nie prosz mnie o to - powiedziała, odwracając głowę. Zaklął w duszy.

- Jak długo mam jeszcze czekać? Nic nie odpowiedziała. Przycisnął ją mocniej.

- Jak długo?

- Nie jesteś ze mną uczciwy. Wiesz, że nie mogę tak po prostu... To nie w porządku.

Puścił ją tak gwałtownie, że aż się zdziwiła.

- Victoria, wszystko jest w jak najlepszym porządku. Tylko ty nie chcesz tego dostrzec. - Spojrzał na nią z resztką pożądania, ale czuł się zbyt zagniewany i rozzłoszczony, aby zauważyć udrękę na jej twarzy. A potem odwrócił się plecami i wyszedł.



Victoria zamknęła oczy, ale nie mogła zamknąć uszu. Po domu rozniósł się odgłos pośpiesznych kroków Roberta, po których rozległo się głośne trzaśnięcie drzwiami do pokoju.

Oparła się o kuchenną ścianę. Czego ona tak się boi? Przecież nie może dłużej zaprzeczać, że zależy jej na Robertcie. Nic tak nie raduje jej serca jak jego uśmiech. Ale kochanie się z nim to poważna sprawa. Nic nie mogła poradzić na to, że pozostała w niej odrobina urazy żywionej przez tak wiele lat. W pewnym momencie uraza ta stała się częścią jej samej, a nic jej tak nie przerażało jak utrata poczucia własnej tożsamości. Właśnie dzięki temu poczuciu przetrwała ostatnie lata. „Jestem Victoria Lyndon”, powtarzała sobie po szczególnie ciężkim dniu. „I nikt mi tego nie zabierze”.

Zakryła dłońmi twarz i ciężko oddychała. Miała zamknięte oczy, ale nadal widziała szczerą twarz Roberta. Nadal słyszała jego głos powtarzający „kocham cię”. A potem poczuła jeszcze, że dłonie pachną tak jak on - mieszaniną skóry i drewna sandałowego. Przeżywała rozterkę.

- Muszę stąd wyjść - powiedziała cicho i ruszyła w stronę drzwi prowadzących do ogródka na tyłach domku. Gdy znalazła się na dworze, głęboko odetchnęła świeżym powietrzem. Uklękła na trawie i dotknęła kwiatów.

- Mamo - szepnęła. - Słyszysz mnie?

Nieba nie przecięła błyskawica, ale szósty zmysł kazał jej się odwrócić i ujrzała Roberta w oknie. Siedział na parapecie plecami do niej. Garbił się ponuro.

Zraniła go. Kurczowo trzymała się swojej urazy, bo tylko na niej mogła polegać. Ale w ten sposób raniła jedyną osobę, którą...

Złamała kwiat na dwoje. Czy chciała powiedzieć „kocham”?

Poczuła, że jakaś niewidzialna siła zmusza ją do wstania. W jej sercu pojawiło się nowe uczucie. Nie była pewna, czy to miłość, ale było delikatne i dobre, a przede wszystkim zagłuszało urazę. Czuła się teraz bardziej wolna niż dotychczas.

Podniosła wzrok do okna. Robert wciąż siedział z twarzą w dłoniach. To nie w porządku. Nie powinna przysparzać mu cierpienia. On jest dobrym człowiekiem. Czasami bywa zbyt dominujący, pomyślała z uśmiechem, ale jest dobry.

Wróciła do domku i po cichu wymknęła się do swego pokoju.

Przez całą minutę siedziała nieruchomo na łóżku. Czy zdobędzie się na ten krok? Zamknęła oczy i skinęła głową. Potem wzięła głęboki oddech i sięgnęła do zapięcia sukienki.

Ubrała się w jedwabną koszulę nocną i wygładziła ją po bokach. Czuła się odmieniona.

W końcu sama przed sobą przyznała się do tego, o czym wiedziała od początku - że pragnie Roberta. Pragnie go i chce mieć pewność, że on także jej pragnie. Miłość wiązała się z cierpieniem, ale pożądała Roberta i temu zaprzeczyć nie mogła. W pełni świadoma tego, na co się decyduje, przekręciła klamkę drzwi pokoju Roberta. Drzwi były zamknięte na klucz.

Żeby się upewnić, jeszcze raz przekręciła klamkę. Naprawdę zamknięte.

Wprost nie mogła w to uwierzyć. To ona podejmuje jedną z najdonioślejszych decyzji w życiu, a on zamyka za sobą drzwi na cholerny klucz.

Przemknęło jej przez myśl, że powinna zrezygnować i dalej cierpieć w samotności. Nie dowie się, co stracił, łądak jeden. Ale wtedy uświadomiła sobie, że ona także się nie dowie, co straciła. A poza tym chciała znów czuć się kochana.

Podniosła rękę i zapukała do drzwi.

Zaskoczony Robert podniósł głowę. Wydawało mu się, że ktoś porusza klamką przy drzwiach, ale doszedł do wniosku, że to po prostu skrzypi stary budynek. W najśmielszych marzeniach nie wyobrażał sobie, że to z własnej woli idzie do niego Victoria.

Ale po chwili usłyszał coś dziwnego. Pukanie. Czego ona może chcieć?

Szybkim krokiem przeszedł przez pokój i otworzył drzwi.

- Co ty jeszcze... - Wstrzymał oddech. Sam nie wiedział, czego się spodziewał, ale na pewno nie tego. Stała w powabnej koszuli, którą jej podarował, i tym razem nie okrywała się kocem. Niebieski jedwab uwydatniał wszystkie kształty, głęboki dekolot ukazywał rowek między piersiami, a długie rozcięcie na boku odsłaniało nogę.

Ciało Roberta zareagowało natychmiast. Jakimś cudem udało mu się wypowiedzieć jej imię. Nie przyszło mu to łatwo, bo w ustach miał kompletnie sucho.

Stała przed nim z dumną miną, ale trzęsły jej się ręce.

- Podjęłam decyzję - odezwała się cichym głosem.

Pochylił głowę, nie był pewien, czy uda mu się przemówić.

- Ja ciebie też pragnę - powiedziała. - O ile nie zmieniłeś zdania.

Zamarł w bezruchu. Nie wierzył własnym uszom i to go sparaliżowało. Ona opuściła głowę.

- Przepraszam - szepnęła, źle interpretując jego zachowanie. - Zachowałam się jak nieokrzesana. Zapomnij o...

Urwała w pół zdania, bo nagle przycisnął ją do siebie i nerwowo głaskał po całym ciele. Chciał mieć ją całą, chciał przytulić do siebie i nigdy nie wypuścić. Powstrzymywała go

tylko obawa, że przestraszy ją swoją gwałtownością. Oddychając nierówno, odsunął ją kilka centymetrów od siebie.

Patrzyła na niego wielkimi, błękitnymi, niepewnymi oczami.

Zdobył się na uśmiech.

- Oczywiście, że cię pragnę - powiedział.

W pierwszej sekundzie nie zareagowała. A po chwili się roześmiała. Jej głos brzmiał jak muzyka i bardziej poruszył duszę Roberta niż najpiękniejsza modlitwa. Z nabożną delikatnością ujął w dłonie jej twarz.

- Kocham cię, Torie. I zawsze będę kochał.

Przez dłuższą chwilę nic nie mówiła. Wreszcie stanęła na palce i łagodnie pocałowała go w usta.

- Nie chcę mówić „zawsze” - wyszeptała. - Proszę cię, nie...

Przerwał jej namiętym pocałunkiem. Nic nie przeszkadzało mu, że ona jeszcze nie jest gotowa na „zawsze”. Wkrótce będzie. On ją przekona, że ich miłość jest uczuciem, które przetrwa wieki. Uczyni to dłońmi, ustami i słowami.

Przesuwał dłońmi po całej długości jej ciała, pod jego palcami ugiął się cienki jedwab.

- Pokażę ci, czym jest miłość - szepnął. Pochylił się i przyłożył usta do miękkiej skóry jej piersi. - Będę kochać się tutaj.

Przesunął usta na jej szyję.

- I tutaj.

Ścisnął dłońmi jej pośladki.

- I tutaj.

Zareagowała zmysłowym, niskim jękiem wydobywającym się z głębi serca. W jednej chwili Robert wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka. A kładąc na pościeli, powiedział:

- Będę cię kochał wszędzie.

Victoria wstrzymała oddech. Czuła na sobie ogień jego oczu i miała wrażenie, że one widzą jej duszę. Potem położył się obok i zatraciła się w ciepłe jego ciała i chwilowym uniesieniu. Robert był silny, twardy, rozgrzany i zniewalający. Czuła się jak odurzona.

- Chcę cię dotknąć - szepnęła, ledwie wierząc w swoją śmiałość.

Ujął jej dłoń i położył na swym torsie. Miał rozpaloną skórę, pod palcami czuła bicie jego serca.

- Dotykaj - mruczał. - Dotykaj, czego tylko chcesz.

Porwana ciekawością usiadła na podwiniętych nogach.

W oczach Roberta dostrzegła niepewność, uśmiechnęła się i powiedziała:

- Ciii.

Przesunęła palce po jędrnej skórze brzucha, reakcja jego mięśni ją hipnotyzowała. Wiedziała, że Robert z całych sił stara się zachować kontrolę nad swoim ciałem. Ogarnęło ją dziwne poczucie, że oto nad nim panuje, że może doprowadzić go do stanu takiego podniecenia - oddychał nierówno i ciężko, napinał wszystkie mięśnie.

Poczuła się ośmielona, a jednocześnie ogarnęła ją dzika beztroska. Nagle zapragnęła zdobyć cały świat. Pochyliła się do przodu, podniecając Roberta swoją bliskością, a potem wyprostowała się, ledwie utrzymując równowagę. Przesunęła rękę dalej, aż natrafiła na pasek bryczesów. Robert westchnął i położył jej dłoń na ręce.

- Jeszcze nie - wymamrotał z trudem. - Nie opanowałbym... Jeszcze nie...

Zabrała rękę.

- Powiedz, co mam robić. Co tylko chcesz.

Patrzył na nią i nie mógł wykrztusić ani słowa.

Pochyliła się nad nim.

- Cokolwiek chcesz - szepnęła. - Wszystko.

- Pogłaszcz mnie jeszcze raz - udało mu się w końcu wydusić. - Obiema rękami.

Wyciągnęła dłonie i zatrzymała je centymetr przed jego ramionami.

- Tutaj?

Skinął głowę, wstrzymał oddech, a ona przesunęła dłoń po jego ręce. Zatrzymała się na bicepsie.

- Silny jesteś.

- Przy tobie jestem silny - rzekł. - Wszystko, co we mnie dobre, mam dzięki tobie. Z tobą staję się kimś więcej, niż jestem. - Bezradnie wzruszył ramionami. - Mówię bez składu. Nie wiem, jak to wyjaśnić. Brakuje mi słów. Do oczu Victorii napłynęły łzy. Emocje ścisnęły jej serce. Przesunęła dłoń na kark Roberta. - Pocałuj mnie - poprosiła. Spełnił jej życzenie. I to jak! Na początku był delikatny i drażnił się z nią bezlitośnie, gdy jej całe ciało prosiło o więcej. A potem, kiedy Victoria już wiedziała, że nie wytrzyma tej zmysłowej tortury ani chwili dłużej, objął ją rękami i przyciągnął stalowym uściskiem.

Podciągnął jej jedwabną koszulę pod pępek. Silną nogą rozsunął uda, aż poczuła, że tkanina jego bryczesów ociera się o jej łono. Miała wrażenie, że pod wpływem upojenia wzniosłaby się w powietrze, gdyby jej mocno nie trzymał.

- Pragnę cię - wydusił. - Boże, jak ja cię pragnę.

- Jeszcze - błagała.

Nadal podciągał jedwabną koszulę, aż w końcu zdjął ją przez głowę i rzucił niepotrzebną na podłogę. Victorię ogarnął nagły wstyd i odwróciła głowę, bo nie mogła znieść, że on na nią patrzy. Poczwała na brodzie jego palce, które delikatnie odwróciły jej głowę ku niemu.

- Kocham cię - powiedział głosem cichym, ale namiętym.

Milczała.

- Wkrótce mi odpowiesz - dodał, biorąc ją w ramiona. - Nie martwię się o to. Poczekam. Na ciebie mogę czekać wieki.

Nie wiedziała, jak on to zrobił, ale w ciągu kilku sekund przestała ich dzielić tkanina bryczesów. Stykali się nagimi ciałami. Victoria czuła wspaniałą bliskość Roberta.

- Boże, jakaś ty piękna. - Podparł się na ramieniu i spojrzał z góry.

Pogładziła go po policzku.

- Ty też.

- Piękny? - zapytał wesołym głosem. Skinęła głową.

- Wiesz, że marzyłam o tobie przez te wszystkie lata?

- Naprawdę?

Gdy poczuła jego dłoń, czule ściskającą ją w talii, wciągnęła głębiej powietrze.

- Najpierw nie mogłam się powstrzymać - przyznała. - A później nie chciałam się powstrzymać.

Z gardła Roberta wydobył się gniewny pomruk.

- Ja o tobie też marzyłem. Ale nigdy nie było tak jak teraz. Tak wspaniale. - Pochylił głowę, a jego usta znalazły się o włos od jej piersi. - W marzeniach nie mogłem poczuć twego zapachu.

Poruszyła biodrami, gdy objął ustami jej sutek i pieścił z czułością. Bezwiednie uniosła rękę i wsunęła między jego gęste włosy.

- Och, Robercie - jęknęła.

Wyszeptał coś w kierunku jej piersi. Nie zrozumiała znaczenia słów, ale zaraz doszła do wniosku, że to nieważne. Kreślił językiem esy - floresy po jej skórze, rozkosznie drażnił oddechem. Przesunął usta do jej szyi.

- Chcę więcej, Torie - wyszeptał. - Chcę wszystko.

Poczwała go na sobie. Był twardy i gorący. Jednocześnie niewygodny i dziwnie dopasowany. Wsunął pod nią dłonie i przygarnął do siebie.

- Zacznę powoli - szeptał. - Chcę, żeby wszystko było jak najlepiej.

Usłyszała w jego głosie rozszalałe emocje i zdała sobie sprawę, ile go kosztowało

wykrztuszenie tych słów. Uniosła dłoń i przesunęła kciukiem po jego brwiach.

- Na pewno będzie idealnie - odparła szeptem. - Nieważne, co zrobisz.

Spojrzał na nią. Na całym ciele drżał z pragnienia, wydawało się, że eksploduje miłością. Nie mógł uwierzyć, że Victoria przyjmuje go bez żadnych zastrzeżeń. Była otwarta i szczerą; miała to, czego oczekiwał nie tylko od kobiety, ale od całego życia.

Przecież to ona była jego życiem. Nie obchodziło go nic więcej. „Kocham tę kobietę”, chciało mu się krzyczeć. „Kocham ją!”

- Może trochę zabołec - powiedział. Pogładziła go po policzku.

- Ty mnie nie skrzywdzisz.

- Nie chcę, ale... - Nie dokończył zdania. Wszedł w nią. Tylko odrobinę, ale czuł się tak cudownie, że zaniemógł.

- O Boże! - westchnęła Victoria.

On tylko mruknął. Na nic więcej nie mógł się zdobyć. Zmusił się, aby trwać nieruchomo, póki Victoria nie rozluźni mięśni. Było to niemal niemożliwe. Każdy nerw błagał o dostarczenie ulgi. Musiał zacisnąć zęby i włożyć wszystkie siły w to, żeby utrzymać swą żądzę na wodzy. Ale udało mu się.

A wszystko dlatego, że ją kochał. Miłość to zadziwiające uczucie.

Wreszcie wszedł w nią do samego końca i pozwolił sobie na dreszcz pełnej i skończonej rozkoszy.

- Teraz jesteśmy jednym - szepnął, odgarniając kosmyk włosów z jej czoła. - Ty i ja jesteśmy jedną osobą.

Pokiwała głową i wzięła głęboki oddech. Czuła się niezmiernie dziwnie. Była sobą, a jednocześnie kimś innym. Stanowili z Robertem jedno ciało. Nie umiała sobie tego za bardzo wyobrazić. To najdziwniejsze, a zarazem najbardziej naturalne uczucie, jakiego kiedykolwiek w życiu doświadczyła. Czuła, że dosłownie eksploduje, jeżeli on choćby drgnie. A mimo to pragnęła czegoś więcej.

- Boli cię? - zapytał szeptem. Pokręciła głową.

- To... To takie dziwne. Zaśmiał się.

- Będzie lepiej. Obiecuję.

- Nie jest źle - powiedziała, aby dodać mu otuchy. - Nie myśl, że...

Jeszcze raz się zaśmiał i przyłożył palce do jej ust.

- Ciii. Pokażę ci.

Zaczął się w niej poruszać.

Ona to wyczuła i odruchowo objęła go nogami.

- Och, Victoria - jęknął.

Powolutku narzucał rytm, a Victoria wtórowała mu, kierując się instynktem. Zaczęło w niej narastać jakieś niezwykle napięcie. Nie wiedziała, czy to ból, czy rozkosz, ale w tej chwili było jej to obojętne. Wiedziała tylko, że dokąś dąży i jeżeli wkrótce tam nie dotrze, to na pewno stanie się coś strasznego.

A gdy nagle dotarła do celu, po raz pierwszy w życiu naprawdę zrozumiała, co oznacza pełne pojednanie się ze światem.

Robert przyśpieszył za nią, a potem znieruchomiał. Przez kilka minut żadne z nich nie było w stanie się odezwać.

Robert położył się na boku i pociągnął za sobą Victorię. Delikatnie pocałował ją w usta.

- Bardzo bolało? Pokręciła głową.

- Nie byłem za ciężki?

- Nie. Lubię czuć na sobie twój ciężar. - Zaczerwieniła się. - Dlaczego zamknąłeś drzwi na klucz?

- Co?

- Dlaczego zamknąłeś drzwi na klucz?

Odwrócił się, spojrzał na nią i zajrzał w niebieskie oczy pełne ciepła i troski.

- Pewnie z nawyku. Zawsze zamykam drzwi na klucz. Naprawdę. Nie chciałem się od ciebie odgradzać. - Na jego ustach pojawił się leniwy uśmiech. - Raczej lubię twoje towarzystwo.

Zachichotała.

- Właśnie to zademonstrowałeś.

Zrobił poważną minę.

- Już nigdy pomiędzy nami nie będzie żadnych zamkniętych drzwi. W naszym związku nie ma miejsca na żadne bariery. Ani na drzwi, ani na kłamstwa, ani na nieporozumienia.

Emocje ścisnęły jej gardło i nie była w stanie nic powiedzieć. Zdołała tylko skinąć głową. Objął ją i przysunął bliżej siebie.

- Nie wstajesz, co? Wiem, że jest środek dnia, ale moglibyśmy się przespać.

- Tak - odparła łagodnie. A potem wtuliła się w jego ramiona, zamknęła oczy i zapadła w spokojny sen.

Gdy Victoria obudziła się godzinę później, w odległości zaledwie kilku centymetrów od swojej twarzy ujrzała rozanieloną twarz Roberta. Leżał z głową opartą na łokciu. Domyślała się, że obserwował ją przez cały czas, gdy spała.

- Dzisiaj - oznajmił zadowolony - jest najlepszy dzień do zawarcia małżeństwa.

Była pewna, że się przesłyszała.

- Co takiego?

- Do zawarcie małżeństwa. Wzięcia ślubu. Mąż i żona.

- Ty i ja?

- Nie. Właściwie chodzi mi o te jeże z ogrodu. Muszą się połączyć świętym węzłem małżeńskim, bo od wielu lat żyją w grzechu. A ja dłużej tego nie zniosę.

Nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

- Pomyśl - mówił dalej Robert - jak godne potępienia są te wszystkie nielegalnie żyjące ze sobą jeże. Ich rodzice rozmnażali się jak króliki. Albo może jak jeże.

- Robert, to poważna sprawa.

Z jego spojrzenia zniknęła wesołość i spojrzał jej prosto w oczy.

- Nigdy nie byłem poważniejszy niż teraz.

Milczała przez chwilę, dobierając odpowiednie słowa.

- Nie sądzisz, że dzisiaj to trochę za szybko? Małżeństwo to poważna sprawa. Musimy się głęboko zastanowić.

- Prawie o niczym innym nie rozmyślałem przez większą część minionego miesiąca.

Victoria usiadła i okryła nagie ciało.

- A ja nie. Ja jeszcze nie jestem gotowa do podjęcia takiej decyzji.

Jego twarz stężała.

- Trzeba było się zastanowić, zanim zapukałaś tu do drzwi.

- Wtedy myślałam tylko o tym...

- O czym? - zapytał ostro.

- Że zraniłam twoje uczucia - wyszeptwała. - I chciałam...

W ułamku sekundy wyskoczył z łóżka. Położył ręce na biodrach i spojrzał na nią zagniewany, zapominając, że nie ma na sobie ani skrawka ubrania.

- Kochałaś się ze mną z litości? - krzyknął. - Nie!

- Spójrz na mnie! - polecił cierpkim tonem.



- Czy mógłbyś przedtem coś na siebie włożyć?

- Trochę za późno na skromność - burknął, ale podniósł bryczesy z podłogi i założył.

- Nie zrobiłam tego z litości - powiedziała, podnosząc w końcu wzrok. Chociaż zamiast w oczy patrzyła raczej na sufit, ściany, a nawet na stojący w kącie dzban. - Zrobiłam to, bo po prostu tego chciałam. I nie myślałam o niczym innym.

- Trudno uwierzyć, że ty, osoba wysoko ceniąca trwałość uczuć, zdecydowałaś się na krótki romansik.

- Nie myślałam o tym w ten sposób.

- A więc w jaki?

Spojrzała mu w oczy i dostrzegła jego rozterkę, którą próbował kryć pod gniewem. Zdała sobie wtedy sprawę, jak ważna jest dla niego jej odpowiedź.

- Nie myślałam głową - zaczęła łagodnie - tylko sercem. Spojrzałam w twoje okno. Wyglądałeś tak smutno...

- Już o tym raczyłaś wspomnieć - wtrącił z gorczyą.

Zamilkła na chwilę, aby mógł dokończyć i kontynuowała:

- Nie chodziło tylko o ciebie. Również o mnie. Pewnie po prostu chciałam poczuć się kochana.

W jego oczach zaświtał promyk nadziei.

- Przecież jesteś kochana - powiedział gorąco, żarliwie sięgając po jej rękę. - I możesz tak się czuć do końca życia, jeżeli tylko sama sobie na to pozwolisz. Wyjdź za mnie.

Wyjdź za mnie, a uczynisz mnie najszczęśliwszym człowiekiem świata. Wyjdź za mnie, a znajdziesz spokój i zadowolenie. I... - dodał głosem zamieniającym się w szept: - ... miłość. Bo z całą pewnością żaden mężczyzna nie kochał kobiety tak głęboko i szczerze, jak ja kocham ciebie.

Walczyła ze łzami cisnącymi się do oczu, ale wzruszyła się tak bardzo, że jej policzki szybko stały się mokre i słone.

- Robert - zaczęła, niepewna, co chce powiedzieć. - Od tak dawna nie...

- Przecież możesz być w ciąży - wtrącił. - Pomyślałaś o tym?

- Nie - przyznała, z trudem przetykając ślinę. - Ale...

- Wyjdź za mnie - powtórzył, coraz mocniej ściskając jej rękę. - Dobrze wiesz, że tak powinniśmy postąpić.

- Dlaczego tak do mnie mówisz? Przecież wiesz, jak nienawidzę, gdy próbujesz mi wmawiać, że czegoś chcę.

Westchnął z lekkim rozdrażnieniem.

- Nie o to mi chodziło. Przecież wiesz.

- No wiem, tylko że...

- Że co? - zapytał łagodnie. - Co cię powstrzymuje, Torie?

Rozejrzała się dokoła, czuła się niezbyt pewnie.

- Sama nie wiem. Małżeństwo to taka poważna sprawa. A jeśli popełnię błąd?

- Jeśli to błąd, to już go popełniłaś - rzekł, spoglądając na łóżko. - Ale to nie błąd. W małżeństwie nie zawsze będzie łatwo, ale życie bez ciebie... - Poglądził ją po włosach. Widać było, że nie umie ubrać myśli w słowa. - Życie bez ciebie jest niemożliwe. Nie wiem, jak to inaczej powiedzieć. Zagryzła dolną wargę. Powoli zaczęła rozumieć, że ona czuje to samo. Po tym wszystkim, co przeżyli wspólnie w minionym miesiącu, nie potrafiła sobie wyobrazić życia bez jego figlarnych uśmiechów, bez jego błysku w oku albo bez widoku jego wiecznie potarganej czupryny. Podniosła wzrok, patrzyli sobie w oczy.

- Mam pewne wątpliwości - zaczęła.

- To całkiem ludzkie - dodał jej otuchy.

- Ale widzę też kilka powodów, dla których myśl o małżeństwie mi się podoba. - Mówiła powoli, ważąc każde słowo. Szybko spojrzała na Roberta, spodziewając się, że znów uwięzi ją w uścisku. Ale stał nieruchomo, rozumiejąc dokładnie, że Victoria musi się wygadać.

- Przede wszystkim - mówiła - jak zauważyłeś, istnieje kwestia dziecka. Postąpiłam bardzo nieodpowiedzialnie, nie biorąc tego pod uwagę, ale stało się i teraz już nic nie można z tym zrobić. Myślę, że moglibyśmy po prostu poczekać kilka tygodni i przekonać się...

- Tego bym nie zalecał - wtrącił szybko Robert.

Odpowiedziała mu uśmiechem.

- Nie, nie wyobrażam sobie, że pozwolisz mi wrócić do Londynu, i nie wyobrażam też sobie, że gdybym tu została...

- Szczerze przyznaję, że nie zdołam trzymać się z dala od ciebie - powiedział bez ogródek.

- Również nie będę kłamać i twierdzić, że... - zarumieniła się - ... nie jestem zadowolona z uwagi, jaką mi poświęcasz. Wiesz, że zawsze tak było. Nawet siedem lat temu.

Uśmiechnął się porozumiewawczo.

- Ale istnieją też inne powody, dla których powinniśmy lub nie powinniśmy brać ślubu.

- Powinniśmy.

- Słucham? - Zmarszczyła brwi.

- Powinniśmy brać ślub, a nie „nie powinniśmy”.

Z trudem powstrzymała się od śmiechu. Gdy bardzo czegoś chciał, potrafił być równie uroczy jak mały piesek.

- Obawiam się, że nie pozwolisz mi samodzielnie podjąć decyzji.

- Postaram się szanować twoje życzenia - obiecał solennie. - Jeżeli okażę się wrednym egoistą, to możesz zdzielić mnie torebką po głowie.

Wbiła w niego wzrok.

- Poproszę to na piśmie.

- Oczywiście. - Podszedł do sekretarzyka, wysunął szufladę, wyjął pióro i atrament.

Victoria gapiła się z otwartymi ustami, jak pisze oświadczenie, a potem umieszcza na dole zamaszysty podpis. Wrócił do niej, wręczył jej papier i powiedział:

- Proszę bardzo.

Spojrzała na tekst i przeczytała:

- „Jeżeli okażę się wrednym egoistą, to pozwalam swojej ukochanej żonie, Victorii Mary Lyndon Kemble... „ - Podniosła wzrok. - Kemble?

- Tak, o ile mam coś do powiedzenia. - Wskazał na papier. - Pozwoliłem sobie wpisać późniejszą datę, czyli z przyszłego tygodnia. Do tego czasu będziesz już nazywać się Kemble.

Victoria wstrzymała się od komentarza na temat jego pewności siebie i czytała dalej:

- Popatrzmy: „... Victorii Mary Lyndon, hm, Kemble zdzielić mnie po głowie dowolnie wybranym przez nią przedmiotem”. - Podniosła zdziwiony wzrok. - Dowolnym przedmiotem?

Wzruszył ramionami.

- Jeżeli naprawdę okażę się wrednym egoistą, to możesz mnie okładać nawet czymś cięższym niż torebka.

Tłumiąc śmiech, przeszła do noty końcowej:

- „Podpisano, Robert Phillip Arthur Kemble, hrabia Macclesfield”.

- Nie znam się za bardzo na prawie, ale to chyba legalny dokument.

Victoria popłakała się ze śmiechu. Wolną ręką szybko otarła łzy.

- Właśnie dlatego chcę za ciebie wyjść - powiedziała, trzymając w górze kartkę papieru.

- Dlatego, że pozwoliłem ci okładać się po głowie dowolnym przedmiotem?

- Nie - powiedziała, głośno pociągając nosem. - Bo nie wiem, co by się ze mną stało, gdybyś ty mnie nie rozśmieszał. Stałam się zbyt poważna. Ale nie zawsze tak było.

- Wiem - rzekł łagodnie.

- Nie mogłam się śmiać przez siedem lat. Zapomniałam, jak to się robi.

- Ja ci przypomnę. Pokiwała głową.

- Wiem, Robercie. Wiem o tym.

Usiadł na brzegu łóżka i czule ją do siebie przytulił.

- Potrzebuję cię, kochana Torie. Dobrze o tym wiem.

Po chwili rozkoszowania się ciepłem jego ramion odsunęła się i zapytała:

- Mówiłeś poważnie o tym, żeby dzisiaj wziąć ślub?

- Całkiem poważnie.

- Przecież to niemożliwe. Najpierw trzeba dać zapowiedzi.

Uśmiechnął się przebiegle.

- Załatwiłem specjalną dyspensę.

- Co? - ze zdziwienia otworzyła usta. - Kiedy?

- Ponad tydzień temu.

- Trochę przedwcześnie, nie sądzisz?

- W końcu wszystko się udało, prawda?

Starła się zrobić surową minę, ale nie potrafiła ukryć uśmiechu w oczach.

- Obawiam się, mój panie, że za takie postępowanie ktoś mógłby cię uznać za wrednego egoistę.

- Mógłby czy uznaje? Muszę to wiedzieć, bo od tego zależy dobro mojej czaszki.

Nie mogła się powstrzymać od chichotu.

- Sam wiesz. Ale chyba mogłabym zgodzić się zostać twoją żoną.

- Czy to znaczy, że wybaczasz mi porwanie?

- Jeszcze nie.

- Naprawdę?

- Tak. Wstrzymam się z wybaczeniem aż do chwili, kiedy będę to mogła w pełni wykorzystać.

Tym razem Robert wybuchnął śmiechem. Gdy próbował opanować oddech, szturchnęła go w ramię i powiedziała:

- Tak czy inaczej dzisiaj nie możemy się pobrać.

- A to dlaczego?

- Mamy już późne popołudnie. A ślub powinien odbyć się rano.

- Niemądra zasada.

- Mój ojciec zawsze jej przestrzega. Wiem to dobrze, bo gdy udzielał ślubu, musiałam napędnąć powietrzem miechy organów.

- Nie wiedziałem, że w naszej wiosce są organy.

- Nie ma. To było w Leeds. Ale zdaje się, że zmieniasz temat.

- Nie - powiedział, przysuwając twarz do jej szyi. - To tylko krótka dygresja. A co do porannych ślubów, to przypuszczam, że ta zasada dotyczy zwyczajnych ślubów. A ze specjalną dyspensą możemy robić, co nam się podoba.

- Chyba powinnam być wdzięczna losowi, że zesłał mi tak zorganizowanego mężczyznę.

Robert westchnął radośnie.

- Przyjmuję twoje komplementy niezależnie od formy, w jaką je ubierasz.

- Naprawdę chcesz jeszcze dzisiaj wziąć ślub?

- Nie potrafię wymyślić ciekawszego zajęcia. Nie mamy kart do gry, a wszystkie książki z biblioteczki już przeczytałem.

Uderzyła go poduszką.

- Mówię poważnie.

Sekundę zabrało mu złapanie ją za nadgarstki i przygnięcie do łóżka całym ciężarem ciała. Spojrzał jej prosto w oczy.

- Ja też.

Odetchnęła i uśmiechnęła się.

- Wierzę ci.

- Poza tym jeśli dzisiaj się z tobą nie ożenię, znów grzech cudzołóstwa.

- Czyżby?

- Oczywiście. A ty jesteś bogobojną kobietą, było nie było córką pastora, więc też nie chcesz grzeszyć. - Nagle zrobił poważną minę. - Zawsze sobie przysięgałem, że jeśli będziemy się kochać, to jako mąż i żona.

Uśmiechnęła się i pogłaskała go po policzku.

- No i nie udało się dotrzymać postanowienia.

- Ale jeden raz to żaden grzech. - Zajął się jej uchem. - Powiniennem jednak włożyć ci obrączkę na rękę, zanim ponownie ogarnie mnie pożądanie.

- A teraz cię nie ogarnia? - zapytała z powątpiewaniem, wyczuwając, jak bardzo jest podniecony.

Znów się roześmiał. Błądził ustami w okolicach jej podbródka.

- Wesoło mi będzie z tobą w małżeństwie.

- No... To chyba wystarczający powód do oświadczyn. - Westchnęła, próbując ignorować ogarniający ją spazm rozkoszy.

- Uhhmm... tak. - Całując namiętnie, drażnił ją i doprowadzał do drżenia. Nagle odwrócił się i wstał z łóżka. - Lepiej teraz przestać - rzekł z przebiegłym uśmiechem - bo za moment się nie opanuję.

Victoria chciała krzyknąć, że nic ją to nie obchodzi, ale zadowolona się rzuceniem w niego poduszką.

- Nie chcę cię więcej wykorzystywać - powiedział, odpierając jej atak. - I muszę przypomnieć - pochylił się i ostatni raz pocałował ją w usta - o tym. Na wypadek, gdybyś chciała się rozmyślić.

- Właśnie to rozważam - odparła. Była pewna, że wyraźnie widać jej bezradność.

Robert roześmiał się i przeszedł na drugą stronę pokoju.

- Na pewno miło ci będzie się dowiedzieć, że czuję się tak samo niezręcznie i tak samo nienasycony jak ty.

- Mnie absolutnie nic nie jest - oznajmiła, zadzierając nosa.

- Ależ oczywiście, że nic - drażnił się z nią, sięgając po torbę podróżną, którą pozostawił na stole. Victoria już miała błysnąć ciętą ripostą, gdy Robert spochmurniał i zaklął:

- Cholera!

- Czegoś zapomniałeś? - zapytała. Podniósł głowę i spojrzał w jej stronę.

- Brałaś coś z tej torby?

- Ależ skąd... - Zaczerwieniła się na wspomnienie, że myszkowała w jego rzeczach. - No tak, właściwie przeglądałam tu różne rzeczy, ale zanim dotarłam do tej torby, znalazłam wannę.

- Nic mnie to nie obchodzi - rzekł lekceważąco. - Możesz sobie wrywać nawet klepki z parkietu. Co moje, to twoje. Ale w tej torbie były ważne dokumenty. I zniknęły.

Victorię ogarnęło niespodziewane uczucie zadowolenia.

- Co to za dokumenty?

Zanim odpowiedział, rzucił jeszcze jedno przekleństwo.

- Specjalna dyspensa.

Victoria zdawała sobie sprawę z niestosowności swojego zachowania, ale nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

Robert położył ręce na biodrach i odwrócił się w jej stronę.

- To nie jest śmieszne.

- Przepraszam - powiedziała, chociaż w jej głosie nie było słychać żalu. - Ale ty tak...

O rany! - Znów zaniosła się śmiechem.

- Musiała zostać w drugiej torbie - rzekł. - Cholera! Otarła zażawione oczy.

- A gdzie masz drugą torbę?

- W Londynie.

- Rozumiem.

- Najdalej za godzinę musimy wyjechać. Zdumiała się bezgranicznie.

- Do Londynu? Teraz?

- Nie widzę innego wyjścia.

- Ale jak my się tam dostaniemy?

- Zanim MacDougal wyjechał do Londynu, ćwierć mili stąd zostawił kareta. Miejscowy dziedzic to człowiek gościnnie. Na pewno znajdzie dla nas wolnego konia.

- Chcesz powiedzieć, że tylko ja nic nie wiedziałam o twoich planach?

- Nie pytałaś. - Wzruszył ramionami. - A teraz proponuję, żebyś się ubrała. Chociaż wyglądasz wspaniale, na dworze jest trochę chłodno.

Szczelnie okryła się pościelą.

- Sukienkę mam w drugim pokoju.

- Udajesz skromniśnię?

Zmarszczyła brwi, markując oburzenie.

- Przepraszam, ale nie jestem taka postępową jak ty. Nie mam doświadczenia w tego typu sprawach.

Uśmiechnął się i z uczuciem pocałował ją w czoło.

- Przepraszam. No, przepraszam. Za dobrze się bawisz, żeby się boczyć. Zaraz przyniosę ci sukienkę. I... - dodał otwierając drzwi: - ... nie będę przeszkadzał, gdy się będziesz przebierać.

Pół godziny później jechali już do Londynu. Robert z trudnością powstrzymywał się od śpiewania. Wracając z kareta pod domek, dosłownie wykrzyczał „Alleluja” Haendla. Pewnie nawet udałoby mu się dokończyć pieśnię, gdyby nie spłoszył koni. Teraz się uspokoił, bo uznał że lepiej nie narażać na takie tortury uszu narzeczonej... Swojej narzeczonej! Uwielbiał to słowo. Uwielbiał o tym myśleć.

Tak go rozpieła radość, że nie potrafił stłumić jej w sobie i gdy tylko się zapomniał, zaczął wesoło podgwizdywać.

- Nie wiedziałam, że umiesz gwizdać - powiedziała Victoria.

- Nie umiem śpiewać - odparł - więc sobie gwizdżę.

- Chyba jeszcze nigdy nie słyszałam, żebyś podgwizdywał... - Zastanowiła się. - Nie pamiętam.

Uśmiechnął się.

- Od wielu lat nie byłem taki szczęśliwy.

Po chwili milczenia powiedziała:

- Och. - Wyglądała na zadowoloną, a on czuł się zadowolony, że ona tak wygląda.

Kilka następnych minut gwizdał, fałszując, a potem uniósł głowę i zapytał:

- Zdajesz sobie sprawę, jak wspaniale znowu czuć taką spontaniczność?

- Słucham?

- Gdy się poznaliśmy, biegaliśmy nocą po lesie. Byliśmy dzicy i beztroscy.

- Było wspaniale - przyznała.

- A teraz... Sama wiesz, jakie prowadzę uporządkowane życie. Tak jak wspomnieliśmy, jestem najlepiej zorganizowanym człowiekiem w Wielkiej Brytanii. Zawsze układam plany, zawsze je realizuję. Miło znów zrobić coś spontanicznego.

- Porwałeś mnie - wytknęła mu. - To całkiem spontaniczne.

- Niezupełnie. Zapewniam cię, że wszystko skrupulatnie zaplanowałem.

- Hm, ale o jedzeniu zapomniałeś - zauważyła z nutką złośliwości.

- A tak, o jedzeniu - bąknął. - Drobne przeoczenie.

- Przedtem wcale nie wydawało się takie drobne.

- Nie umarłaś z głodu, no nie?

Szturchnęła go w ramię.

- I zapomniałeś o specjalnej dyspensie. Jeśli przyjąć, że najważniejszym celem porwania było doprowadzenie do ślubu, to można uznać, że to poważna luka w planie.

- Nie zapomniałem o specjalnej dyspensie, tylko zapomniałem jej zabrać. Ale miałem taki zamiar.

Wyjrzała przez okno. Na dworze zaczynało się zmierzchać. Nie mieli szans, aby tego wieczoru dotrzeć do Londynu, ale mogli pokonać ponad połowę drogi.

- Właściwie to się cieszę, że zapomniałeś tej dyspensy.

- Pewnie chcesz jak najdłużej odkładać to, co i tak jest nieuniknione - powiedział. Żartował, ale wyczuła, że odpowiedź będzie dla niego ważna.

- Wcale nie - odparła. - Jak już podejmę decyzję, to chcę jak najszybciej wprowadzić ją w życie. Ale miło czasem popatrzeć, jak się nie układa.

- Jak to? Wzruszyła ramionami.

- Jesteś taki doskonały, przecież wiesz.

- Coś mi to nie brzmi jak komplement. A poza tym wcale nie jestem doskonały. Gdyby tak było, to dlaczego tyle czasu zajęło mi przekonanie cię do ślubu?



- Właśnie dlatego, że jesteś doskonały - powiedziała z uśmiechem. - Zaczynałam się niepokoić. Bo po co miałabym robić cokolwiek, skoro ty i tak zrobisz to lepiej?

Uśmiechnął się i przytulił ją do siebie.

- Znam wiele rzeczy, które robisz lepiej.

- O, naprawdę? - Starła się zbytnio nie podniecać tym, że gładzi ją po udzie.

- Uhm. Lepiej całujesz. - Na dowód tych słów zbliżył usta do jej ust.

- Twoja szkoła.

- Lepiej wyglądasz bez ubrania.

Zarumieniła się, ale w jego obecności czuła się wystarczająco swobodnie, aby powiedzieć:

- To kwestia gustu. Odchylił się i westchnął.

- No dobrze. Lepiej szyjesz. Zmrużyła oczy.

- Masz rację.

- I z pewnością więcej wiesz na temat dzieci - dodał. - Gdy zostaniemy rodzicami, zawsze będę polegał na twoim zdaniu. Ja bym wyuczył dzieci wszystkich trzech praw Newtona, zanim jeszcze wyszłyby z kołyski. To nie na miejscu. Musisz mnie nauczyć dziecięcych rymowanek.

Jego słowa ścisnęły Victorię serce. Kiedy pracowała w zakładzie, przekonała się, ile radości może dać jej samodzielność. Bała się, że w małżeństwie może to utracić. A teraz Robert mówi, że liczy się z jej zdaniem.

- Poza tym masz złote serce - powiedział, dotykając jej policzka. - Ja często zamykam się w sobie. A ty zawsze najpierw dostrzegasz potrzeby innych ludzi. To rzadki i wspaniały dar.

- Och, Robert. - Przytuliła się do niego, bo nagle zatęskniła za ciepłem jego ramienia. Jednak zanim ją objął, karetę wpadła w dziurę na drodze i Victoria upadła.

- Och! - zawołała zaskoczona.

- Auuu! - zawył Robert z bólu.

- Co ci się stało? - zapytała pospiesznie.

- Twój łokieć - jęknął.

- Co? A, przepraszam... - Karetę jeszcze raz podskoczyła na wyboju, a jej łokieć wbił mu się jeszcze głębiej w brzuch. A przynajmniej jej się wydawało, że to brzuch.

- Błagam... zabierz... szybko...

Zaczęła się gramolić i udało jej się zabrać łokieć.

- Przepraszam - powtórzyła. Przyjrzała mu się uważnie. Był zgięty wpół i mimo

półmroku widziała, że zzieleniał na twarzy. - Robert? - zapytała niepewnie. - Nic ci się nie stało?

- Zaraz mi przejdzie.

Bacznie obserwowała go przez kilka sekund, a potem zapytała:

- Uderzyłam cię w brzuch? To był przypadek. Nie prostując się, odpowiedział:

- Victoria, to męski ból.

- Oooo - zachłysnęła się. - Nie miałam pojęcia.

- Nic dziwnego - mruknął.

Minęła kolejna minuta i Victoria wpadła na przerażającą myśl.

- Ale to tak chyba nie na zawsze? Pokręcił głową.

- Błagam, nie rozśmieszaj mnie.

- Przepraszam.

- Przestań przeproszać.

- Ale jest mi przykro.

- Chłód, głód, a potem śmiertelna rana - mówił, wstrzymując oddech. - Czy ktoś mógł mieć większego pecha niż ja?

Victoria nie widziała powodu, żeby odpowiadać. Wyglądała uważnie przez okno i obserwowała hrabstwo Kent. Przez prawie dziesięć minut Robert nie wydawał żadnego dźwięku, a potem, gdy już myślała, że zasnął, poczuła klepnięcie na ramieniu.

- Tak? - Odwróciła się. Miał roześmianą twarz.

- Już mi lepiej.

- A, to dobrze - odparła. Nie była pewna, jaki komentarz pasuje do takiej sytuacji.

Przysunął się bliżej, w jego oczach czaiło się pragnienie.

- Właściwie czuję się o wiele lepiej. Wolałaby, żeby przestał być tak tajemniczy.

- No dobrze, cieszę się.

- Nie jestem pewien, czy rozumiesz.

Chciała odpowiedzieć, że jest pewne, że nie rozumie, ale zanim zdążyła otworzyć usta, Robert podciągnął jej nogi na siedzenie i położył ją na plecach. Spróbowała wyszeptać jego imię, ale uciszył ją pocałunkiem.

- Jestem w znacznie lepszej formie - powiedział przy jej ustach. - Znacznie... - Pocałunek. - Znacznie... - Pocałunek. - ... lepszej. - Uniósł głowę i obdarzył ją rozmarzonym uśmiechem. - Mam ci zademonstrować?

- Tutaj? - zachichotała. - W karecie?

- Czemu nie?

- Bo... Bo... Bo to nieprzyzwoite! - Starła się usiąść z powrotem. - Na pewno nieprzyzwoite.

Robert uniósł głowę. W jego niebieskich oczach błyskały figlarne ogniki.

- Czyżby? Nie sądzę, aby twój ojciec wygłaszał na ten temat kazanie.

- Robert, jestem pewna, że to nieobyczajne.

- Oczywiście - powiedział, głaszcząc jej szyję. Była ciepła, miękka i wciąż pachniała jego mydłem o zapachu drewna sandałowego. - Normalnie nie folgowałbym sobie w karecie, ale chcę ci zapewnić spokój ducha.

- A, więc to dla mego dobra?

- Tak bardzo się bałaś, że zrobiłaś mi krzywdę.

- Ależ skąd - odparła, próbując złapać oddech. - Zapewniam cię, że jestem w stu procentach pewna, że wy - dobrzałeś.

- Ale ja chcę, żebyś nie miała żadnych wątpliwości. - Sięgnął dłońmi do jej kostek i zaczął przesuwać do góry, zostawiając na pończochach dwa gorące ślady.

- Wierzę ci!

- Ciii, pocałuj mnie. - Pochylił się do jej ust, dłońmi gładził już łagodne zaokrąglenie jej bioder. Potem wsunął ręce pod nią i ścisnął miękkie pośladki.

- Myślałam... - Odchrząknęła. - Myślałam, że nie chcesz powtarzać tego przed ślubem.

- Tak, ale wtedy - mówił do kącika jej ust - byłem pewien, że wieczorem będziemy już małżeństwem. Wtedy było miejsce i czas na skrupuły.

- A teraz nie ma?

- W żadnym razie. - Znalazł nagą skórę na udzie, lekko uściśnął i usłyszał westchnienie zachwytu. Nic tak nie rozpałało jego namiętności, jak westchnienia i jęki rozkoszy Victorii. Czuł, że przywiera do niego całym ciałem, wsunął ręce pod jej plecy i nerwowo zaczął odpinać guziki. Potrzebował jej... Potrzebuje jej w tej chwili.

Zsunął górną część sukienki. Nadal miała na sobie jedwabną koszulę nocną. Zbyt niecierpliwy, aby odpinać także koszulę, przyłożył usta do jej piersi i przez wilgotniejącą tkaninę czuł sztywniejący pod językiem sutek.

Na chwilę podniósł głowę i przyjrzał się uważnie Victorii. Kruczoczarne włosy miała

potargane i rozrzucone na siedzeniu, ciemnoniebieskie oczy niemal poczerniały z pożądania.

- Kocham cię - wyszeptał. - Zawsze będę cię kochać.

Wiedział, że ona też chce to powiedzieć, wciąż jednak nie mogła się przełamać. Nie przejmował się. Wiedział, że w końcu zrozumie, że go kocha. Nie mógł jednak znieść jej rozterki, więc delikatnie przyłożył palec do jej ust.

- Nic nie mów - szepnął. - Wiem, że mnie pragniesz.

Gdy w końcu, nasyciwszy się sobą, oprzytomnieli, nie mógł uwierzyć w to, co zrobił. Kochał się z Victorią w ciasnej, jadącej karecie. Byli na wpół rozebrani, wymięci. On nawet nie zdjął butów. Przez moment pomyślał, że powinien ją przeprosić, ale nie zrobił tego. Jak ma przeproszać, skoro ciało Victorii - nie, Torie - wciąż jeszcze płonie z rozkoszy.

Mimo to czuł, że powinien coś powiedzieć, więc uśmiechnął się tylko i rzekł:

- Całkiem ciekawe przeżycie.

Otworzyła usta, poruszyła wargami, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie wy dobyła z siebie ani dźwięku.

- Victoria? Coś się stało? - pytał.

- Dwa razy - wykszusiła oszołomiona. - Dwa razy przed ślubem. - Zamknęła oczy i pokiwała głową. - Dwa razy to nic nie szkodzi.

Robert odrzucił głowę do tyłu i parsknął śmiechem.

W końcu tak wyszło, że dwa nie było liczbą dokładną. Zanim Robertowi udało się wsunąć złotą obrączkę na czwarty palec lewej ręki Victorii, liczba ta urosła do czterech. Po drodze do Londynu musieli się zatrzymać w oberży. Nie uzgadniając tego nawet z Victorią, natychmiast oznajmił właścicielowi, że są małżeństwem, i zażądał izby z dużym, wygodnym łóżem.

A później ogłosił, że grzechem byłoby, aby takie ładne i solidne łóżko marnowało się puste.

Pobrali się niemal natychmiast po przyjeździe do Londynu. Ku rozbawieniu Victorii, Robert kazał jej czekać w karecie, a sam pobiegł do domu po specjalną dyspensę. Wrócił za niecałe pięć minut i natychmiast wyruszyli do rezydencji wielbnego lorda Stuarta Pallistera, najmłodszego syna markiza Chippingworth, i kolegi szkolnego Roberta. Wielbny lord udzielił im szybkiego ślubu, a cała ceremonia trwała dwa razy krócej, niż to zajmowało ojcu Victorii.

Gdy w końcu wrócili do domu Roberta, czuła się bardzo skrupowana. Dom był wielki, chociaż za życia ojca Robert zajmował tylko jedną z mniejszych posiadłości rodzinnych. Mimo to dom imponował elegancją, a Victoria miała świadomość, że mieszkać w części

rodzinnej takiej rezydencji to coś zupełnie innego niż żyć w pokoiku guwernantki na poddaszu.

Bała się także, że cała służba będzie tylko udawać szacunek do niej. Córka pastora! Guwernantka! Nie będą słuchać jej poleceń. Musiała koniecznie zrobić na nich dobre wrażenie - jeżeli wypadnie źle, będzie musiała to odrabiać przez wiele lat. Szkoda tylko, że nie wiedziała, jak ma tego dokonać.

Robert chyba rozumiał jej rozterki. Gdy jechali kareta od lorda Pallistera do domu, dotknął jej ręki i powiedział:

- Zostaniesz przedstawiona jako pani hrabina. Tak będzie znacznie lepiej.

Przyznała mu rację, lecz mimo to, gdy wchodziła po schodach, bez powodzenia starała się zapanować nad drżeniem rąk. Obrączka ślubna nagle zaczęła ciążyć jej na palcu.

Robert zatrzymał się przed drzwiami.

- Ty cała drżysz - powiedział, biorąc ją za rękę odzianą w rękawiczkę.

- Jestem zdenerwowana - przyznała.

- Dlaczego?

- Czuję się jak na jakiejś maskaradzie.

- A ty jesteś w kostiumie... - zachęcał. Roześmiała się nerwowo.

- Hrabiny. Skinął głową.

- Victorio, to nie kostium. Naprawdę jesteś hrabiną. Moją hrabiną.

- Nie czuję tego.

- Kwestia przyzwyczajenia.

- Łatwo powiedzieć. Ty się urodziłeś do takich spraw. Ja nie mam najmniejszego pojęcia, jak sobie z tym poradzić.

- Przecież siedem lat byłaś guwernantką. Na pewno nauczyłaś się czegoś od lady... Nie, cofam to. - Zmarszczył brwi - Staraj się nie naśladować lady Hollingwood. Po prostu bądź sobą. Prawdziwa dama wcale nie musi zadzierać nosa i robić wyniosłą minę.

- No dobrze - powiedziała niepewnie.

Robert chwycił za klamkę, ale drzwi otworzyły się, zanim zdążył popchnąć. Lokaj złożył głęboki ukłon i mruknął:

- Panie hrabio.

- Chyba zawsze czeka na mnie w oknie - szepnął Victorii do ucha. - Ani razu nie udało mi się samemu nacisnąć klamki.

Mimowolnie się zaśmiała. Robert tak bardzo dbał o jej spokój, że postanowiła go nie zawieść. Może i jest przerażona, ale zamierzała zostać idealną hrabiną. Choćby miała to

przyplącić życiem.

- Yerbury - rzekł Robert do lokaja, podając mu kapelusz. - Pozwól, że ci przedstawię moją żonę. Oto hrabina Macclesfield.

Jeżeli Yerbury był zaskoczony, to w żaden sposób tego nie okazał.

- Najszczęśliwsze gratulacje - odezwał się, a potem zwrócił się do Victorii. - Pani hrabino, będę pani służyć z największą przyjemnością.

Na te słowa omal nie zachichotała ponownie. Myśl, że ktoś może jej służyć, wydawała jej się kompletnie absurdalna. Ale obiecała sobie zachowywać się stosownie, więc opanowała się i ograniczyła do przyjaznego uśmiechu.

- Dziękuję, Yerbury. Jestem zaszczycona, że znajdę się pod twoją opieką.

W surowych oczach Yerbury'ego pojawił się cieplejszy błysk, gdy powiedziała „pod twoją opieką”. Potem zdarzyła się rzecz nie do pomyślenia. Yerbury kichnął.

- Och! - zawołał. Wyglądał, jakby chciał się zapaść pod ziemię. - Pani hrabino, tak strasznie mi przykro.

- Nie przesadzaj, Yerbury - odparła. - To tylko kichnięcie.

Zanim skończyła, kichnął jeszcze raz.

- Dobry lokaj nigdy nie kicha. - Po czym kichnął cztery razy pod rząd.

Victoria jeszcze nigdy w życiu nie widziała bardziej strapionego człowieka.

- Nie przejmuj się, Yerbury - powiedziała przyjaźnie. - Lepiej pokaż mi kuchnię. Znam doskonałe lekarstwo. Raz dwa się wyleczysz. Wtedy na twarzy Yerbury'ego odmalowało się więcej emocji niż przez całe minione czterdzieści lat i prowadząc panią na tyły domu, nie przestawał dziękować.

Robert uśmiechnął się i zniknął w holu. Skoro niecałe dwie minuty zajęło jej zauroczenie Yerbury'ego, przewidywał, że do rana cała służba będzie jeść jej z ręki.

Minęło kilka dni, a Victoria stopniowo przyzwyczajała się do zmian w swoim życiu. Nie przypuszczała, aby kiedykolwiek nauczyła się wydawać służącym polecenia w najdrobniejszych sprawach. Dostatecznie dużo czasu spędziła w ich kręgach, aby zdawać sobie sprawę, że także są ludźmi, mają swoje marzenia i nadzieje. I chociaż służba nie dowiedziała się o pochodzeniu Victorii, najwyraźniej wyczuwała, że młoda hrabina darzy ich szczególną atencją.

Pewnego razu, gdy Robert i Victoria jedli śniadanie, jedna ze szczególnie gorliwych służących uparła się, że podgrzeje swojej pani czekoladę, bo nie jest dostatecznie gorąca. Gdy służąca zabrała filiżankę, odezwał się Robert:

- Torie, oni chyba życie by za ciebie oddali.

- Nie żartuj!

- Wcale nie jestem pewien, czy dla mnie zrobiliby to samo.

Już miała powtórzyć swój komentarz, gdy do jadalni wszedł Yerbury.

- Panie hrabio, pani hrabino - odezwał się. - Przyszła pani Brightbill z panną Brightbill. Mam powiedzieć, że państwa nie ma w domu?

- Tak, Yerbury, dziękuję - rzekł Robert, wracając do gazety.

- Nie! - zawołała Victoria.

Yerbury natychmiast się zatrzymał.

- Ciekawe, kto tu właściwie rządzi? - mruknął Robert, widząc, jak lokaj ignoruje jego polecenie, a stosuje się do życzenia żony.

- Robert, to nasza rodzina - powiedziała Victoria. - Musimy je przyjąć. Zranilibyśmy uczucia twojej cioci.

- Moja ciotka ma wystarczająco grubą skórę. A ja chciałbym czasami побыć sam na sam z żoną.

- Nie sugeruję, że mamy cały Londyn zapraszać na herbatę. Ale swojej cioci mógłbyś poświęcić kilka minut. - Victoria znów spojrzała na lokaja. - Yerbury, wprowadź je, proszę. Być może przyłączą się do śniadania.

Robert jęknął, ale Victoria wiedziała, że wcale nie jest zły. Kilka sekund później do jadalni weszła pani Brightbill i Harriet. Robert natychmiast wstał z miejsca.

- Mój drogi, drogi siostrzeńcze! - zapiszczała pani Brightbill. - Niedobry z ciebie chłopak.

- Mamo - wtrąciła Harriet, spoglądając nieśmiało na Roberta. - Chyba już nie można nazywać go chłopakiem.

- Nonsens, mogę go nazywać, jak mi się podoba. - Odwróciła się do Roberta i zrobiła srogą minę. - Czy ty zdajesz sobie sprawę, jak rozzłościłeś ojca?

Robert odczekał, aż kobiety usiądą, i z powrotem zajął miejsce.

- Ciociu, ojciec złości się na mnie od siedmiu lat.

- Nie zaprosiłeś go na ślub!

- Nikogo nie zapraszaliśmy.

- To nie ma nic do rzeczy.

Harriet odwróciła się do Victorii i powiedziała, zasłaniając usta dłonią:

- Mama uwielbia przypadki szczególne.

- A co tu jest szczególnego?

- Uzasadnione oburzenie - odparła Harriet. - Nie może być nic lepszego.

Victoria spojrzała na męża, który z zadziwiającą cierpliwością znosił gderanie ciotki.

- Jak długo on to wytrzyma? - zwróciła się do Harriet.

Dziewczyna zmarszczyła brwi i po chwili odpowiedziała na pytanie.

- Moim zdaniem zbliża się do kresu.

Jakby na potwierdzenie tych słów Robert walnął pięścią w stół, aż zabrzęczała zastawa.

- Wystarczy - eksplodował.

W drzwiach prowadzących do kuchni pojawiła się przerażona służąca.

- To znaczy, że nie podawać już czekolady? - zapytała cichutko.

- Nie! - Victoria poderwała się na nogi. - Pan nie mówił do ciebie, Joanno. A my z przyjemnością się napijemy, prawda, Harriet?

Nastolatka ochoczo skinęła głową.

- Mama na pewno także, prawda, mamó? Pani Brightbill odwróciła się na krześle.

- Czego ty tam chcesz, Harriet?

- Czekolady - odparła cierpliwie córka. - Też się napijesz?

- Oczywiście - powiedziała pani Brightbill i pociągnęła nosem. - Żadna rozsądna kobieta nie odmawia czekolady.

- A moja mama zawsze szczyli się swoim rozsądkiem - szepnęła Harriet do Victorii.

- Oczywiście - oznajmiła głośno Victoria. - Przecież twoja mama jest rozsądna.

Pani Brightbill złożyła ukłon.

- Mogę ci wybaczyć, Robercie - mówiła wzburzona - że nie zaprosiłeś mnie i Harriet na ślub, ale tylko dlatego, że w końcu poszedłeś po rozum do głowy i wybrałeś za żonę wspaniałą pannę Lyndon.

- Wspaniała panna Lyndon - rzekł dobitnie Robert - nazywa się teraz lady Macclesfield.

- Oczywiście - odparła. - I twierdzą, że jak najszybciej powinieneś wprowadzić ją do towarzystwa.

Victoria poczuła ucisk w żołądku. Zdobyć sobie przychylną służbę to jedno, ale odnaleźć się w towarzystwie to zupełnie coś innego.

- Sezon już się kończy - zauważył Robert. - Lepiej poczekać do przyszłego roku.

- Do przyszłego roku?! - wykrzyknęła oburzona pani Brightbill. - Czyś ty zwariował?

- Najbliższym przyjaciółom mogę przedstawić Victorię podczas kolacji i innych drobnych przyjęć. A po co zabierać ją na wielkie bale, skoro potrzebujemy nieco prywatności.

Victoria uczepiła się nadziei, że Robert postawi na swoim.



- Nonsens - rzuciła ciotka. - Cały świat wie, że jesteś w Londynie. Jak będziesz ją ukrywał, to dasz do zrozumienia, że się jej wstydzisz. I że musiałeś się ożenić.

- Cioteczka dobrze wie, że to nieprawda. - Nie krył gniewu.

- Naturalnie. Ja to wiem, Harriet wie. Ale my jesteśmy tylko dwie. A reszta?

- Tak, ale zawsze wysoko cenię zdolność cioteczki do dystrybucji informacji.

- Mówi, że mama dużo gada - powiedziała Harriet do Victorii.

- Wiem, wiem - odparła Victoria i zaraz zawstydziała się swoich słów.

Harriet zauważyła jej zakłopotanie.

- Nie przejmuj się. Nawet mama wie, że jest najgorszą plotkarą.

Victoria uśmiechnęła się i wróciła do obserwacji szermierki słownej rozgrywanej po drugiej stronie stołu.

- Robert - mówiła pani Brightbill z dłonią na sercu - to nawet mnie się nie uda. Musisz przedstawić nową żonę w towarzystwie przed końcem sezonu. I to nie jest moja opinia. To po prostu jest fakt.

Robert westchnął i spojrzał na Victorię. Starła się ukrywać przerażenie i chyba musiało jej się udać, bo Robert westchnął jeszcze raz - ze znużeniem - i powiedział:

- Dobrze, cioteczko. Raz się pokażemy. Ale tylko raz. W końcu jesteśmy młodymi małżonkami świeżo po ślubie.

- Ależ to romantyczne - szepnęła Harriet, wachlując się dłonią.

Victoria natychmiast uniosła filiżankę z czekoladą do ust, aby ukryć fakt, że w żadnym razie nie potrafi zdobyć się na uśmiech. Ale w ten sposób tylko się zdradziła, że trzęsą jej się ręce. Odstawiła więc filiżankę i spuściła oczy.

- Oczywiście - powiedziała pani Brightbill. - Będę musiała zabrać Victorię na zakupy. Musi sobie kupić nową suknię. Powinna mieć przewodnika, który pomoże jej w doborze stosownych artykułów.

- Mamo! - wtrąciła Harriet. - Z całą pewnością kuzynka Victoria potrafi sama dobrać sobie strój. Przecież przez kilka tygodni pracowała u madame Lambert w najbardziej ekskluzywnym zakładzie krawieckim w Londynie.

- Fe! - powiedziała pani Brightbill. - Nawet mi o tym nie przypominaj. Z całych sił musimy się postarać ukryć ten drobny epizod.

- Nie wstydzę się swojej pracy - odezwała się cicho Victoria.

- I nie powinnaś - odparła pani Brightbill. - Nie ma nic złego w uczciwej pracy. Ale po co o tym mówić?

- Nie sądzę, aby dało się tego uniknąć - zauważyła Victoria. - W zakładzie

obsługiwałam dużo wielkich dam. Madame lubiła, gdy pracowałam z klientkami. Któraś na pewno mnie rozpozna.

Pani Brightbill westchnęła z ciężkim sercem.

- Tak, tego nie da się uniknąć. Co ja mam robić? Jak nie dopuścić do skandalu?

Robert postanowił wrócić do śniadania i zajął się omletem.

- Cioteczka na pewno doskonale wywiąże się z zadania - rzucił tylko.

Harriet odchrząknęła.

- Wszyscy będą wyrozumiali, jak się dowiedzą o romantycznej historii Roberta i Victorii. - Westchnęła. - Młodzi kochankowie, rozdzieleni przez okrutnego ojca... Najlepsze z moich francuskich powieści nie są bardziej wzruszające.

- Nie mam zamiaru szargać dobrego imienia markiza - oświadczyła pani Brightbill.

- Lepiej jego niż Victorii - wtrącił Robert. - On ponosi większą winę za naszą rozłąkę niż my.

- Wszyscy jesteśmy jednakowo winni - odezwała się stanowczo Victoria.

- Nie ma znaczenia, czyja wina - powiedziała pani Brightbill. - Ja tylko staram się nie dopuścić do skandalu. Myślę, że Harriet ma całkiem dobry pomysł.

Dziewczyna ukloniła się.

- Powiedz mi tylko, gdzie i kiedy mam być - rzekł znudzony Robert.

- Ja cię pouczę, co masz mówić. Nic się nie bój. Myślę, że do naszych celów najlepszy będzie jutrzejszy bal u Lindworthych.

- Jutrzejszy? - wydusiła Victoria.

- Tak - odparła pani Brightbill. - Będą wszyscy. Nawet mój najdroższy Basil.

Victoria zamrugła oczami.

- A kto to jest Basil?

- Mój brat - wyjaśniła Harriet. - Rzadko bywa w Londynie.

- Im więcej rodziny, tym lepiej - uznała pani Brightbill. - Gdyby Victoria nie znalazła uznania, będziemy musieli zewrzeć szyki.

- Nikt nie ośmieli się obrazić Victorii - zagroził Robert. - Chyba że chce mieć ze mną do czynienia.

Harriet nie potrafiła ukryć zdumienia.

- Victoria, on cię naprawdę musi kochać - pisnęła.

- Oczywiście, że ją kocham - rzucił. - Myślisz, że zawracałbym sobie głowę porwaniem, gdybym jej nie kochał?

Victoria poczuła w piersiach jakieś ciepłko - coś do złudzenia przypominającego

miłość.

- Mojemu drogiemu, drogiemu, drogiemu Basilowi też nikt nie będzie chciał wchodzić w drogę - dodała pani Brightbill.

Victoria posłała mężowi ukradkowy uśmiech i szepnęła:

- Zdaje się, że darzy go większym uczuciem niż ciebie. On jest trzy razy drogi, a ty tylko dwa.

- I za to dzień w dzień dziękuję Stwórcy - mruknął.

Pani Brightbill spojrzała podejrzliwie.

- Nie wiem, co wy tam między sobą mówicie, ale nic mnie to nie obchodzi. W odróżnieniu od niektórych tu obecnych ja potrafię skoncentrować myśli na interesującym nas celu.

- Czyli na czym, cioteczko? - zapytał Robert.

- Na zakupach. Jeżeli Victoria chce mieć jutro stosowną suknię, to musi dzisiaj koniecznie pójść ze mną na zakupy. Madame będzie miała trudności z tak krótkim terminem, ale cóż poradzić?

- Cioteczko - odezwał się Robert znad filiżanki kawy. - Może zapytasz najpierw Victorię, czy ma czas.

Victoria podziękowała uśmiechem, że się za nią wstawia. Potrafił naprawdę różnymi sposobami demonstrować miłość.

- Co cię tak bawi? - zapytał podejrzliwie.

Victoria także zdała sobie sprawę, że bardzo go kocha. Nie wiedziała, jak i kiedy mu o tym powiedzieć, ale nie miała wątpliwości. Nie wyobrażała sobie życia bez niego.

- Victoria - przerwał jej zamyślenie.

- A tak. - Nieco zdezorientowana powróciła do rzeczywistości. - Tak, oczywiście, że pójde z ciocią Brightbill na zakupy. Dla mojej nowej cioteczki zawsze znajdę czas.

Pani Brightbill podchwyciła czuły ton.

- O, moje drogie dziecko. To zaszczyt, że nazywasz mnie cioteczka. Zupełnie jak mój drogi, drogi Robert.

Jej drogi, drogi Robert wyglądał, jakby miał jej serdecznie dosyć.

Victoria położyła dłoń na ręce pani Brightbill.

- Ja też jestem zaszczycona - powiedziała.

- A widzisz - zaczęła Harriet. - Wiedziałam, że będziemy rodziną. Nie mówiłam?

Pani Brightbill okazała się prawdziwą mistrzynią organizacji. Pędziła Victorię od sklepu do sklepu z niemal zegarmistrzowską precyzją. Łatwo było się domyślić, po kim Robert ma zdolność planowania i koncentrowania się na wykonywaniu zadań. Gdy cioteczka Brightbill miała misję, nic nie było w stanie odwieść jej od realizacji.

Normalnie udałoby im się kupić stosowną suknię w dość krótkim czasie, ale tym razem krawiecka przeszłość Victorii podziałała na jej korzyść. Pracowniczkę madame Lambert ucieszyły się na jej widok i dokładały starań, aby jej suknia wypadła nadzwyczajnie.

Podczas całej krzątaniny Victoria była prawie nieobecna myślami. Wiedziała już, że kocha Roberta i wciąż się zastanawiała, w jaki sposób mu to wyznać. Nie powinna mieć trudności - wiedziała, że on ją kocha i obojętnie, jak mu to powie, będzie zachwycony. Ale chciała, żeby to wypadło idealnie. Lecz trudno było snuć tego rodzaju plany, gdy cztery szwaczki z każdej strony opinały ją szpilkami.

Dodatkowych trudności nastroczał fakt, że cioteczka Brightbill rozkazywała wszystkim dokoła jak generał.

Oczywiście powinno to nastąpić nocą, ale nie chciała, aby miało to miejsce w chwili namiętności. Zamierzała z całkowicie jasnym umysłem wyjawić mu, że miłość do niego opiera się na czymś więcej niż tylko na pożądaniu.

Trwały ostateczne przygotowania do balu, a ona jeszcze mu o tym nie powiedziała. Siedziała przy toalecie, zastanawiała się, jak to zrobić, a służąca układała jej fryzurę. Rozległo się pukanie do drzwi i bez czekania na odpowiedź wszedł Robert.

- Dobry wieczór, kochanie - powiedział i pochylił się, żeby pocałować ją w głowę.

- Nie we włosy! - krzyknęły chórem Victoria i służąca.

Robert zatrzymał się kilka centymetrów od głowy.

- Wiedziałem, co robię, decydując się tylko na jeden bal. To dla dobra twoich włosów.

Victoria uśmiechnęła się. Właściwie była gotowa wyznać mu miłość tu i teraz, ale nie chciała tego robić przy służącej.

- Wyglądasz dzisiaj nadzwyczaj cudownie - rzekł, siadając na sąsiednim krześle. - Sukienka pasuje idealnie. Powinnaś częściej chodzić w tym kolorze. - Przyjrzał się uważnie.

- Jak się ten kolor nazywa?

- Malwowy.

- Ach, oczywiście. Ciekawe, dlaczego kobiety wymyślają tyle dziwnych nazw

kolorów. Nie wystarczyłyby różowy?

- Można powiedzieć, że czymś musimy zająć czas, gdy mężczyźni rządzą światem.

Uśmiechnął się.

- Pomyślałem, że do nowej sukienki przyda ci się jakiś drobiazg. Nie byłem tylko pewien, czy będzie pasować do malwowego... - Wyjął zza pleców puzderko i otworzył je. - Ale powiedziano mi, że brylanty pasują do wszystkiego.

Victoria otworzyła usta. Służąca otworzyła jeszcze szerzej. Robert miał wypieki na twarzy i wyglądał na nieco zmieszanego.

- Och, Robert! - Z niepewnością wyciągnęła rękę w stronę błyszczącego naszyjnika w komplecie z kolczykami. - Jeszcze nigdy nie widziałam czegoś równie cudownego.

- Ja widziałem. - Poglądził ją po policzku.

Dyskretna służąca, Francuzka, opuściła pokój.

- Muszą być niezwykle drogie - powiedziała Victoria i dotknęła ich z zachwytem w oczach.

Robert wyjął naszyjnik z pudełka i założył jej na szyję.

- Mogę? - Skinęła głową, a on stanął za nią. - A na cóż innego miałbym wydawać pieniądze?

- Nie... nie wiem - wyjąkała. Mimo protestów dobrze się czuła z drogocennymi kamieniami na szyi. - Na pewno jest wiele ważniejszych rzeczy.

Podał jej kolczyki do założenia.

- Victorio, ty jesteś całym moim życiem. Lubię kupować ci prezenty. W przyszłości możesz spodziewać się następnych.

- Ale ja nie mam nic dla ciebie.

Uklonił się wytwornie i pocałował ją w dłoń.

- Wystarczy mi twoja obecność - rzekł. - Chociaż...

- Chociaż? - Ona również chciała mu dać to, czego pragnie.

- Mogłabyś mi podarować dziecko - powiedział nieśmiało.

Zaczerwieniła się.

- Cóż, przy tym tempie nie powinno być większych problemów.

- Świetnie. A jeżeli można dalej prosić, to przydałaby się dziewczynka, taka podobna do ciebie...

- Na to nie mam wpływu - odparła ze śmiechem. Nagle spoważniała. Na końcu języka miała wyznanie miłości.

Jednak nie chciała, aby pomyślał, że łączy miłość z wdzięcznością, więc postanowiła

odłożyć wyznanie na później. Zapali pachnącą świeczkę, poczeka na odpowiedni nastrój...

- Nad czym się tak nagle rozmarzyłaś? - zapytał, biorąc ją pod brodę.

Uśmiechnęła się tajemniczo.

- A tak, bez powodu. Tylko przygotowałam na wieczór małą niespodziankę.

- Naprawdę? - W jego oczach pojawił się błysk. - Podczas balu czy później?

- Później.

Popatrzył zmysłowo spod w półprzymkniętych powiek.

- Nie mogę się doczekać.

Godzinę później czekali na wejście do pałacu Lindworthych. Pani Brightbill i Harriet stały tuż za nowożeńcami. Postanowili, że wszyscy czworo przyjadą jedną kareta.

Robert spojrział zatroskany na żonę.

- Jeszcze się denerwujesz? Popatrzyła zaskoczona.

- Skąd wiesz, że się denerwowałam?

- Gdy wczoraj ciocia Brightbill oznajmiła, że idziemy na bal, zbladłaś.

Uśmiechnęła się nieznacznie.

- Tak bardzo było widać?

- Tylko ja zauważyłem. - Uniósł jej dłoń do ust i złożył długi pocałunek. - Ale nie odpowiedziałaś, czy jeszcze się denerwujesz.

Lekko pokręciła głową.

- Nie byłabym człowiekiem, gdybym się trochę nie denerwowała. Ale nie, nie boje się.

W tej chwili Robert był z niej tak bardzo dumny, że zastanawiał się, czy rodzina widzi, jak wypina pierś.

- Skąd ta zmiana nastawienia? Spojrzała mu prosto w oczy.

- Dzięki tobie.

Mógł się zdobyć tylko na to, aby jej natychmiast nie uściskać. Boże, jak on ją kocha. Miał wrażenie, że kocha ją od początku świata.

- Jak to? - zapytał. Wiedział, że z jego oczu można wyczytać stan serca, ale wcale się tym nie przejmował.

Nerwowo przełknęła ślinę.

- Wiem, że jesteś ze mną - mówiła cicho. - Wystarczy mi, że jesteś przy mnie. Ty nie pozwolisz, żeby coś mi się stało.

Gorączkowo ścisnął jej dłoń.

- Torie, życie bym za ciebie oddał. Przecież wiesz.

- Ja za ciebie też - odparła. - Ale po co tak mówić. Jestem pewna, że mamy przed sobą

szczęśliwe i spokojne życie.

Popatrzył na nią uważniej.

- Mimo to, chciałbym...

- Hrabia i hrabina Macclesfield!

Oboje aż podskoczyli, gdy odźwierny Lindworthów ich wywołał. Stało się. Jeszcze przez wiele lat będzie się mówić w towarzystwie o tym, że gdy Victoria i Robert pokazali się wielkiemu światu, praktycznie nie byli w stanie oderwać od siebie wzroku. W tłumie zapanowało milczenie. W pewnym momencie odezwał się czyjś śmiech:

- Oto małżeństwo z miłości. O ile takie istnieją!

Robert uśmiechnął się i objął żonę ramieniem.

- Chyba moglibyśmy mieć gorsze wejście. Uśmiechnęła się kącikiem ust.

I tak zaczął się wieczór.

Trzy godziny później Robertowi nie było już tak wesoło. Dlaczego? Bo całe trzy godziny upłynęły mu na obserwowaniu, jak towarzystwo lustruje jego żonę. A zwracali na nią baczna uwagę wszyscy. Szczególnie mężczyźni.

Jeżeli jeszcze jeden przekłety fircyk przyjdzie pocałować ją w rękę... Mruknął do siebie i powstrzymał się przed rozluźnieniem krawata. Przeżywał piekło, gdy musiał stać z przyklejonym uśmiechem, podczas gdy księżę Ashbourne - powszechnie znany hulaka - prawil Victorii komplementy.

Poczuł na ramieniu dłoń ciotki Brightbill.

- Staraj się hamować - szepnęła.

- Widzi cioteczka, jak on na nią patrzy? - syknął. - Mam ochotę...

- I poprzestań na ochocie - odpowiedziała pani Brightbill. - Victorii idzie znakomicie, a Ashbourne nigdy nie zadaje się z mężatkami. Poza tym kręci się koło jakiejś Amerykanki. A teraz przestań psioczyć i uśmiech na twarz.

- Przecież się śmieję - powiedział przez zaciśnięte zęby.

- To ma być śmiech? Strach człowieka oblatuje na taki śmiech.

Robert słodko wyszczerzył do niej zęby.

- Przestać się martwić. - Ciocia poklepała go po ramieniu. - Idzie nasz drogi Basil.

Namówię go, żeby poprosił Victorię do tańca.

- Ja z nią będę tańczył.

- Nie. Ty już z nią tańczyłeś trzy razy. Zaraz zaczniesz się gadanie.

Zanim Robert zdążył odpowiedzieć, obok nich pojawił się Basil.

- Cze, mama, cze, kuzyn - przywitał się.

Robert skinął głową, nie odrywając wzroku od Victorii.

- Dobrze się bawisz na pierwszej potańcówce z nową śliczną żoną? - zagadnął Basil.

Robert zmierzył go wzrokiem. Zupełnie zapomniał, że od zawsze Basil był jednym z jego ulubionych krewniaków.

- Zamknij się, Brightbill - wypalił. - Dobrze wiesz, że krew mnie zalewa.

- No tak, to przez piękną żonę. Czy to nie dziwne, że uwodziciele rezygnują z panien ze względu na ich niewinność, a nie mają skrupułów względem mężatek, które ślubowały przed Bogiem wierność jednemu mężczyźnie?

- Do czego zmierzasz, Brightbill?

Robert spojrzał na dłonie, jakby chciał sprawdzić, czy będą zdolne zacisnąć się na szyi kuzyna.

- Do niczego - rzeki Basil, wzruszając ramionami. - Ale twój plan wycofania się na jakiś czas z towarzystwa wydaje się całkiem słuszny. Zauważyłeś, jak faceci na nią patrzą?

- Basil! - upomniała go pani Brightbill. - Przestań drażnić kuzyna. - I zwróciła się do Roberta: - On tylko żartuje.

Robert wyglądał tak, jakby za chwilę miał eksplodować. Ciocia Brightbill wykazywała się niezwykłą odwagą, nadal trzymając mu dłoń na ramieniu.

Basil uśmiechał się pod nosem wyraźnie zadowolony, że udało mu się rozdrażnić Roberta.

- A teraz przepraszam, ale muszę złożyć wyrazy szacunku swojej najlepszej rodzinie.

- Myślałem, że ja jestem twoją najlepszą rodziną - rzekł szyderczo Robert.

- Nawet się nie równasz - odparł niespiesznie Basil i z żalem pokręcił głową.

- Basil! - odezwała się przyjaźnie Victoria, gdy kuzyn męża pojawił się obok niej. - Miło cię spotkać.

Robert stracił panowanie nad sobą i w dwóch krokach dopadł Victorii.

- Robert! - powiedziała, a jemu się zdawało, że odezwała się dwa razy mniej przyjaznym głosem niż do Basila.

- Bawiłem właśnie towarzystwem twoją żonę - rzekł Basil.

- Żebyś za bardzo nie zabawił - warknął Robert.

Victoria otworzyła ze zdziwienia usta.

- Robert, jesteś zazdrosny? - zapytała.

- Nie, skądże - skłamał.

- Nie ufasz mi?

- Tobie ufam. Ale jemu nie.



- Mnie? - Basil zrobił niewinną minę.

- Żadnemu z nich nie ufam - mruknął.

Harriet, która do tej pory stała w milczeniu obok Victorii, szturchnęła ją i powiedziała:

- Widzisz, mówiłam, że cię kocha.

- Dosyć tego! - powiedział Robert. - Ona o tym wie. Możesz mi wierzyć.

- Wszyscy ją kochamy - rzekł z szerokim uśmiechem Basil.

Robert prychnął.

- Rodzina to zaraza.

Victoria położyła mu dłoń na ramieniu.

- Jestem potwornie zmęczona - powiedziała. - Masz coś przeciwko temu, abym wyszła na chwilę i odpoczęła?

Natychmiast spojrział zatroskanym wzrokiem.

- Jesteś chora? Jeśli tak, trzeba wezwać...

- Nie jestem chora - odparła spokojnie. - Chcę tylko pójść do toalety. Chciałam się uprzejmie wymówić.

- A. Odprowadzę cię - rzekł Robert.

- Nie przesadzaj. To na końcu korytarza. Wrócę, zanim zauważysz, że mnie nie ma.

- Zawsze zauważam, gdy cię nie ma. Poglądziła go po policzku.

- Mówisz takie słodkie rzeczy.

- Nie dotykaj go! - zawołała pani Brightbill. - Ludzie pomyślą, że się kochacie!

- A cóż w tym złego? - zapytał Robert, odwracając głowę.

- W zasadzie nic. Ale miłość wyszła z mody.

Basil zachichotał.

- Wdepnąłeś w niezłą farsę, kuzynie.

- I nie ma szans na ucieczkę - dorzuciła Harriet.

Victoria wykorzystała tę wymianę zdań, żeby się wymknąć.

- Przepraszam - mruknęła i idąc wzdłuż poręczy okalającej salę balową, dotarła do podwójnych drzwi prowadzących na hol. Bez trudu znalazła toaletę, bo pani Brightbill już wcześniej jej pokazała odpowiednie drzwi.

Damska toaleta składała się z dwóch części. Victoria minęła pomieszczenie z lustrami, weszła do właściwej umywalni i zamknęła za sobą drzwi. Usłyszała, że ktoś wszedł do łazienki za nią, więc spieszyła się, aby ustąpić miejsca następnej kobiecie. Szybko wygładziła spódnice i z przyjaznym uśmiechem otworzyła drzwi.

I zaraz mina jej zrzędła.

- Dobry wieczór, lady Macclesfield.

- Lord Eversleigh! - Ze zdziwienia otworzyła usta. To ten drań, który zaatakował ją w domu Hollingwoodów.

- Zapamiętałaś mnie - rzucił z ironicznym uśmiechem. - Jestem zaszczycony.

- Co pan tu robi? To damska toaleta.

Wzruszył ramionami.

- I tak drzwi są zamknięte na klucz. Wszystkie chętne mają szczęście, że w drugiej części domu Lindworthy zrobili jeszcze jedną łazienkę.

Victoria minęła go i dopadła drzwi. Nie ustąpiły.

- Poszukaj sobie klucza - powiedział beztrąsko. - Jest u mnie.

- Szaleniec!

- Nie - rzekł, przyciskając ją do ściany. - Jestem tylko wściekły. Nikt nie będzie ze mnie robił durnia.

- Mój mąż cię zabije - powiedziała ściszym głosem. - Wie, gdzie jestem. Jak cię tu znajdzie...

- To dojdzie do wniosku, że przyprawiamy mu rogi - dokończył za nią, gładząc jej nagie ramię z odpychającą delikatnością.

Victoria wiedziała, że Robert nigdy tak o niej nie pomyśli. Zwłaszcza że zna Eversleigha.

- Zabije cię - powtórzyła.

Przesunął dłonią w dół i objął ją w talii.

- Ciekawe, jak ci się udało zaciągnąć go przed ołtarz? Szczwana z ciebie guwernantka.

- Łapy przy sobie - syknęła.

Zignorował ją i gładził po biodrze.

- Rzeczywiście jesteś urocza - mówił. - Ale za bardzo nie nadajesz się na żonę dziedzica tytułu markiza.

Victoria starała się ignorować ucisk w żołądku.

- Powtarzam: zabierz ode mnie swoje łapska.

- A bo co? - rzekł z wesołym uśmiechem. Nie wierzył, że Victoria może mu w jakikolwiek sposób zaszkodzić.

Z całej siły nadepnęła mu na stopę, a gdy zawył zaskoczony, uderzyła go kolaniem w krocze. Natychmiast padł na podłogę. Jęcząc. Victoria otrzepała ręce i uśmiechnęła się usatysfakcjonowana.

- Nauczyłam się co nieco od poprzedniego razu - oznajmiła.

Zanim zdążyła coś dodać, rozległo się walenie do drzwi. Pomyślała, że to Robert, zaraz też usłyszała, jak woła ją po imieniu.

Szarpnęła klamką, ale drzwi nie ustąpiły.

- Cholera - zaklęła, przypomniawszy sobie, że to Eversleigh je zamknął. - Chwileczkę, Robert.

- Co się tam, do diabła, dzieje? - zapytał. - Całe wieki cię nie ma.

W rzeczywistości wcale nie minęło dużo czasu, ale Victoria nie zamierzała się sprzeczać. Zależało jej tylko na tym, żeby wydostać się z toalety.

- Wszystko w porządku - powiedziała do drzwi. Potem odwróciła się i spojrzała na Eversleigha wijącego się na podłodze. - Dawaj klucz.

Mimo żalosego stanu, ten tylko szyderczo się uśmiechnął.

- Z kim ty rozmawiasz? - krzyknął Robert.

Zignorowała go.

- Klucz! - zażądała, spoglądając wściekle na Eversleigha. - Bo przysięgam, że kopnę jeszcze raz.

- Co tam kopniesz? - dopytywał się Robert. - Victorio, nalegam, abys otworzyła drzwi. Zniecierpliwiona Victoria położyła dłonie na biodrach i odkrzyknęła:

- Jakbym miała cholerny klucz, to bym otworzyła! - I zwróciła się do Eversleigha: - Klucz!

- Nigdy.

Już zamierzała spełnić groźbę, gdy Robert krzyknął:

- Torie, odsuń się od drzwi. Wyważam.

- Robert, nie musisz... - Odskoczyła w ostatniej chwili, aby nie oberwać drzwiami.

W wejściu stanął Robert. Na jego twarzy malował się wysiłek pomieszany ze złością. Drzwi kołysały się na zawiasach.

- Nic ci się nie stało? - zapytał, dopadając jej. W tej samej chwili spojrzał pod nogi. Niemal spurpurowiał z wściekłości. - Co on robi na podłodze? - wycodził przez zęby.

Victoria nie zdołała powstrzymać się od śmiechu.

- Ja go powaliłam - oznajmiła z dumą.

- Jak tego dokonałaś? - zapytał zaskoczony.

- Pamiętasz podróż kareta z Ramsgate?

- Ze szczegółami.

- Ale na początku - szybko dodała zarumieniona. - Gdy... Eee... Gdy przez przypadek uderzyłam cię...

- Pamiętam - przerwał jej. Mówił surowym głosem, ale Victoria słyszała w nim nutkę rozbawienia.

- No właśnie. Uznałam, że to samo zaszło w przypadku Eversleigha.

- Nie potrzeba więcej wyjaśnień - mówił przez śmiech Robert. - Zawsze byłaś pomysłowa, moja droga. I za to cię kocham.

Westchnęła, kompletnie zapominając o obecności Eversleigha.

- Ja też cię kocham. Bardzo cię kocham.

- Jeśli mogę przerwać tę ujmującą scenkę... - odezwał się Eversleigh.

- Nie możesz, bo cię uciszę - rzucił i odwrócił wzrok do żony. - Och, Victorio, naprawdę?

- Całym sercem.

Chciał ją objąć ramieniem, ale uznał, że Eversleigh nie musi na to patrzeć.

- Jest tu gdzieś okno? - zapytał, rozglądając się po łazience.

Victoria skinęła głową.

- Wystarczy, żeby zmieścił się człowiek? Wydęła usta.

- Raczej tak.

- Jakie szczęście. - Robert podniósł Eversleigha za kołnierz i pasek od spodni, a potem zatańczył do okna. - Chyba ci mówiłem, że jeśli jeszcze raz zaatakujesz moją żonę, to rozniosę cię na kawałki.

- Wtedy nie była twoją żoną - wtrącił Eversleigh.

- Masz dużo szczęścia, ty łajdaku. Ślub wprowadził mnie w wyborny humor i tylko dlatego cię nie zabiję. Ale jeżeli jeszcze raz zbliżysz się do mojej żony, to pošlę ci kulkę w łeb. Czy to jasne?

Być może Eversleigh skinął głową, ale trudno było powiedzieć, bo wisiał już za oknem.

- Czy to jasne? - zagrzmiął Robert.

Victoria zrobiła krok do tyłu. Nie miała pojęcia, że jej mąż jest tak rozwścieczony. Zwykle potrafił znakomicie panować nad emocjami.

- Tak. I niech cię cholera! - wrzasnął Eversleigh.

Robert go puścił.

Victoria podskoczyła do okna.

- Wysoko tu jest? - zapytała.

Robert wyjrzał na dwór.

- Nie za bardzo. Ale nie wiesz czasem, czy Lindworthyowie mają psy?

- Psy? Nie wiem. Dlaczego pytasz?

Uśmiechnął się.

- Z ciekawości. Straszny gnój tam na dole. Lokaj się napracuje, gdy będzie Eversleighowi mył włosy.

Obydwoje parsknęli śmiechem. Victorii udawało się przerwać tylko po to, aby nabrać powietrza.

- Przesuń się, też chcę popatrzeć! - rzuciła ze śmiechem Victoria.

Wyjrzała przez okno w chwili, gdy Eversleigh odchodził, potrząsając głową i przeklinając. Odwróciła się tyłem do okna.

- Pewnie strasznie śmierdzi - powiedziała.

Robert spoważniał.

- Victorio - zaczął nieśmiało. - Czy to, co mówiłaś... Czy...

- Tak, mówiłam poważnie. - Wzięła go za rękę. - Naprawdę cię kocham. Tylko wcześniej nie było okazji, żeby to powiedzieć.

Zmrużył oczy.

- Musiało dojść do takiego incydentu, żebyś mogła mi wyznać miłość?

- Nie! - Ale po chwili lepiej zastanowiła się nad jego słowami. - A właściwie w pewien sposób tak. Zawsze bardzo się bałam zależności od innych. Ale zrozumiałam, że życie u twego boku nie oznacza, że nie mogę sama dbać o siebie.

- Z Eversleighem nieźle ci poszło.

Zadarła lekko głowę i pozwoliła sobie na uśmiezek satysfakcji.

- Prawda, nie? A wiesz, że bez ciebie to by mi się nie udało?

- Victoria, sama tego dokonałaś. Przecież mnie tu nie było.

- A właśnie, że byłeś. - Położyła jego rękę na swoim sercu. - Tutaj. Stąd dodawałeś mi sił.

- Torie, jesteś najsilniejszą kobietą, jaką znam.

Nawet nie próbowała powstrzymać łez, które popłynęły po policzkach.

- Z tobą jest o wiele lepiej niż bez ciebie. Robert, tak bardzo cię kocham.

Pochylił się, żeby ją pocałować, ale przypomniał sobie o wyważonych drzwiach. Podszedł do głównych drzwi i zamknął je na klucz.

- No - odezwał się swawolnym tonem. - Teraz mam cię całą dla siebie.

- Bez dwóch zdań, panie hrabio. Bez dwóch zdań.

Po kilku minutach Victorii udało się przerwać pocałunek i odsunąć.

- Robert - odezwała się. - Czy wiesz...

- Ciii. Próbuje cię całować, a tu cholernie mało miejsca.

- Tak, ale czy wiesz...

Uciszył ją pocałunkiem. Victoria poddawała się przez kolejną minutę, ale w końcu znów się odsunęła.

- Chcę ci powiedzieć...

- Co? - zapytał z teatralnym westchnięciem.

- Któregoś dnia dzieci zapytają nas o najważniejszy moment w życiu. Będą chciały wiedzieć, gdzie do niego doszło.

Robert uniósł głowę i rozejrzał się po ciasnej toalecie.

- Kochanie, będziemy musieli skłamać. - Zachichotał. - Powiemy, że wyjechaliśmy do Chin, bo inaczej nie uwierzą.

Jeszcze raz ją pocałował.

## EPILOG

Kilka miesięcy później przez okno karety Victoria obserwowała płatki śniegu. Razem z Robertem wracali z kolacji w Castleford. On nie chciał składać ojcu wizyty, ale ona twierdziła, że powinni pojednać się z rodzinami, skoro myślą o założeniu swojej własnej.

Ze swoim ojcem Victoria pogodziła się dwa tygodnie wcześniej. Początki były trudne i nadal nie dało się powiedzieć, że stosunki pomiędzy nimi układają się dobrze, ale przynajmniej pierwsze lody zostały przełamane. Po wizycie w Castleford wyczuwała, że Robert ze swoim ojcem osiągnęli ten sam etap porozumienia.

Westchnęła cicho i odwróciła się do wnętrza karety. Robert spał, jego długie rzęsy sięgały policzków. Gdy wyciągnęła rękę, żeby odgarnąć mu z czoła kosmyk włosów, otworzył oczy.

Ziewnął.

- Zasnąłem?

- Tylko na chwileczkę - powiedziała, po czym sama ziewnęła. - To chyba zaraźliwe.

- Ziewanie? - Uśmiechnął się. Z otwartą buzią skinęła głową.

- Nie spodziewałem się, że tak długo zabawimy - rzekł. - Ja się cieszę. Chciałam, żebyś spędził trochę czasu z ojcem. To dobry człowiek. Trochę zagubiony, ale cię kocha. A to najważniejsze.

Przysunął ją do siebie.

- Victorio, nigdy w życiu nie spotkałem kogoś z większym sercem niż twoje. Jak możesz mu przebaczyć, skoro cię tak potraktował?

- Ty mojemu przebaczyłeś - zauważyła.

- Tylko dlatego, że mi kazałaś.

Puknęła go w ramię.

- W najgorszym razie możemy wyciągnąć jakąś naukę z ich błędów. Przecież będziemy mieć własne dzieci.

- Jeśli na upartego szukasz lepszej strony... - mruknął.

- Mam nadzieję, że już wkrótce będziemy mogli się sprawdzić - zauważyła.

Robert widocznie jeszcze się do końca nie przebudził, bo nie odczytał aluzji, tylko bezmyślnie pokiwał głową.

- Już wkrótce - powtórzyła. - Może na początku lata. Nie był otepiały na tyle, żeby drugi raz przeoczyć aluzję.

- Co takiego? - Rozdziawił usta i usiadł wyprostowany. Skinęła głową i położyła dłoń na brzuchu.

- Jesteś pewna? Nie byłaś kapryśna. Nie zauważyłem też, żebyś rano wymiotowała.

Uśmiechnęła się rozbawiona.

- Jesteś rozczarowany, że nie zwracam śniadań?

- Nie, oczywiście, że nie, tylko...

- Tylko co?

Dostrzegła błysk łzy, która zakręciła mu się w oku. Zaskoczyło ją, że Robert nie odwrócił głowy. Pochylił się i lekko pocałował ją w policzek.

- Kiedy w końcu się pobraliśmy, myślałem, że nie zaznam większego szczęścia. Ale teraz jestem jeszcze szczęśliwszy.

- Od czasu do czasu dobrze się pomylić. - Uśmiechnęła się. Robert nagle zeszywniał i wbił w nią wzrok. - Co się stało?

- Pomyślisz, że zwariowałem? - zapytał z lekkim zakłopotaniem.

- Być może. Ale w sympatyczny sposób - droczyła się.

- Przysiągłbym, że księżyc do mnie mrugnął. Victoria wyjrzała przez okno. Księżyc unosił się nisko na nocnym niebie.

- Pewnie minęliśmy gałąź drzewa - powiedział cicho.

- To ciekawe - odezwała się uśmiechnięta Victoria - że księżyc krok w krok chodzi za człowiekiem.

- Z naukowego punktu widzenia...

- Wiem, wiem. Ale wolę myśleć, że za mną chodzi.

Robert jeszcze raz spojrział w niebo. Nie wiedział, co myśleć o tym mrugnięciu.

- Pamiętasz, jak ci obiecałem gwiazdkę z nieba? - zapytał. - Wszystko, co zechcesz, a do tego gwiazdkę z nieba.

Skinęła bez większego zainteresowania.

- Nie potrzebuję niczego więcej, niż mam w tej karecie. Gwiazdki z nieba też nie chcę.

Gdy Robert wyglądał przez okno na nocne niebo, księżyc mrugnął ponownie.

- Co jest? - Rozejrzał się w poszukiwaniu konaru drzewa, ale niczego nie dostrzegł.

Popatrzył w niebo, milcząco zachęcając księżyc do kolejnego mrugnięcia.

- Kochanie - odezwał się z odwróconą głową. - Tak?

- Chyba nie ma znaczenia, czy chcesz, czy nie.

- O czym ty mówisz?

- O gwiazdce z nieba. Już jest twoja.



Victoria ziewnęła, nawet nie chciało jej się otworzyć oczu.

- To dobrze.

- Ale... - Pokręcił głową. Zaczynał dziwaczeć. Żadna gwiazdka nie należy do Victorii.

Żaden księżyc nie chodzi za nią krok w krok. I na pewno do nikogo nie mruga.

Jednak przez dalszą część drogi wyglądał przez okno. Na wszelki wypadek.